

L. Heracki

RODZINA

rolska



MIESIĘCZNIK
LUSTROWANY
WARSZAWA

ROK XI CZERWIEC 1937

<http://rcin.org.pl>

Cena egz. 50 gr

Z · KSIĘGI · PIELGRZYMA

WIĘCEJ SŁOŃCA!

Powszechnie wiadomo, że ludzie lubią słońce. Na mieszkanie pod biegunem, gdzie mróz i mrok panują prawie nieustannie, niewiele znajdziemy ochotników. Natomiast, kto tylko może, z miłą chęcią wybiera się na południe, w słoneczne strony — na francuską, czy włoską Riwierę. A najzwyczajni śmiertelnicy, słabo obdarowani przez fortunę, gdy po miastach szukają mieszkania, szczególniejszą na to zwracają uwagę, żeby pokoje wychodziły na południe, żeby miały dużo słońca.

Powodów uzasadnić nie potrzeba. Każdy je doskonale rozumie, przynajmniej instynktem odczuwa. Miara światła i ciepła słonecznego jest miarą zdrowia i życia. Jak wszystko, co żyje, tak i człowiek musi garnąć się do słońca. Życie bez słońca — to więzienie, to grób.

Prawda o potrzebie słońca dla naszych mieszkań i ciał da się zastosować z powodzeniem do życia duszy. Musimy sercu i rozumowi, pamięci swej i wyobraźni, słowem, całemu jestestwu duchowemu, dać jak najwięcej słońca. Inaczej — dusza zmarnieje.

Ale tu właśnie zjawia się potężny szkopuł. Ludzie jakby się uwzięli na samych siebie — unikają „słońca”!

Wystarczy pobieżnie tylko przypatrzeć się życiu ogółu. Wszyscy, niemal dosłownie, postępują tak, jakby dokoła nich nic się dobrego nie działo, jakby życie składało się z samych cieni, z najczarniejszych mroków. Wszędzie można się spotkać z tym wadliwym nastawieniem oczu ducha. Ludzie zdają się z upodobaniem odszukiwać w polu swego widzenia same kłębki, nieszcześcia, katastrofalne zdarzenia. Gazety — drukowane echo życia codziennego — z przyjemnością zapełniają całe szpalty opisami morderstw, zwyrodnień, niepowodzeń, załamania w życiu osób i społeczeństw. A z daleko większym nasileniem sprawdza się to na niedrukowanej prasie — codziennych rozmowach ludzi. Niech się przygodnie spotkają dwaj znajomi. Na pytanie: — Co słychać? — na pewno zjeżdżą od razu na kryzys, biedę, niepowodzenia, kłębki, choroby, poruszą wszystkie dziury na niebie i na ziemi, wszystkie wady swych bliźnich i grzechy, wszystkie potknięcia się i niedociągnięcia rządu, wszystkie kłębki żywiołowe Europy, Azji, obu Ameryk... A tylko zagadnąć kogoś o jego własne życie. Zacznie natychmiast nową księgę „trenów Jeremiasza”! Jak mu źle, jaki jest nieszczęśliwy, jak tego nie ma, tamtego mu brak... Pensja za mała, życie za drogie, prowincja nie odpowiada jego zdolnościom, na wsi są nudy, w mieście dużym zaduch. Tu źle i tam nie dobrze. Zawsze najlepiej tam, gdzie nas nie ma.

Tak się do tego przyzwyczailiśmy, że uważamy to prawie za stan normalny. I mało komu na myśl przyjdzie, jak przynębiająco, jak fatalnie oddziaływa to na psychikę ludzką.

We wszystkim źle, źle i źle... Tylko płacz i narzekanie, niemal zgrzytanie zębów...

Już raz pewien filozof zauważył, że gdyby życie świata składało się z samego zła, to świat istnieć by przestał. Zło jest brakiem, jest kamieniem i cegłą, których nie przywieziono do budowy. Czyż można wznosić gmach świata, budowlę życia ludzkiego, z cegieł i kamieni, których nie ma? I czy można kształtować zdrowy stan psychiki, rozumu i woli, pamięci i wyobraźni, z przeżyć, wzruszeń, odczuć i myśli ujemnych?

Weźmy przeciętnego człowieka i przypatrzmy się, co on robi. Rozumuje, — ale rozum jego stale zwraca

się ku zdarzeniom życia nie od strony jasnej, tylko od ciemnej. A każdą rzecz można rozpatrywać podwójnie: — albo z tej strony, z której na nią słońce świeci, albo z przeciwnej gdzie na nią cień pada. Czemuż uparcie trzymać się strony zaciemnionej, a pomijać stronę jasną?!... Rozum porusza serce. Serce stworzone zostało dla dobra, dla przeżyć słonecznych. Kiedy więc rozum prowadzi je w mrok, każe w nich przebywać i żyć, serce od razu czuje się nieszczęśliwym, potyka się o cień, rozrania o mroki... Wyobraźnia, której rola w psychice ludzkiej sprowadza się do powielania i wyolbrzymiania zjawisk, podnosi od razu do stokrotnej potęgi i „ciemną zdobycz” rozum i „mroczne przeżycie” serca. A pamięć magazynuje to wszystko i tworzy lamus okropnych rupieci, zbieranych dzień po dniu, rok po roku, przez wiele, wiele lat... I jak w takim nastroju, przy takich „skarbach” wewnętrznych, może się dusza współczesnego człowieka czuć choć trochę szczęśliwa?

Same cienie i mroki! Ani odrobiny słońca! Poglądu na życie od strony jasnej!

A przecież w życiu każdego, nawet najbiedniejszego z ludzi są chwile jasne, chwile dobre i pogodne. Dziw nad dziwy — dlaczego mało kto o nich pamięta? Dlaczego pamięć ludzka przesiewa te blaski, a magazynuje cienie?! Ta dzika pedagogia osobista sprawia, że tyle dusz samowolnie wypędza się pod biegun, sypcha się do lochów więziennych i niemal do mogiły strąca. Nie ogrzewa ich ciepło, nie cieszy jasność słońca...

Daltonizm duchowy pod tym względem szerzy szalone kłębki w życiu ludzkim. Mniejszym źródłem radości dla ciała jest słońce fizyczne firmamentu, niż pogoda wewnętrzna dla szczęścia duszy. Tymczasem ogół poganających ludów tak ucieka od słońca! I od słońca wiary w cuda jasnych niebios i od słonecznego wejścia na życie własne. Woli patrzeć na niebo i ziemię przez czarne okulary.

A przecież tak niewielka to praca. Zamiast oglądania wszystkiego od strony ciemnej, zbliżamy się do zjawisk od strony jasnej, słonecznej, dobrej. Nie chodzi o to, żeby wcale nie widzieć cienia w życiu, broń Boże! Nie o różowe okulary, zamiast czarnych, tu chodzi. Tylko o to, żeby nie być jednostronnym widzem, zwłaszcza *ciemno-widzem*, ale na pierwszym miejscu *jasno-widzem*. I to, co się jasnego ujrzało, przeżyło, zapisywać na stałe w pamięci. Nie znam ani jednego fotografa, któryby gromadził do albumu zdjęcia brzydkie, ciemne, odrażające i wstrętne. Każdy zbiera *tylko* piękne, miłe, śliczne i wspaniałe. Nasze przeżycia to także zdjęcia. Pomińmy to, co ujemne, a składajmy do albumu pamięci tylko zdjęcia piękne, jasne.

Dajmy swej duszy — więcej słońca!



HERBATA PRZECZYSZCZAJĄCA
pobudza trawienie
PLANTOL
ZNAK TOW.
LAB. CHEM. MAG. A. BUKOWSKIEGO

R MIESIĘCZNIK ILUSTROWANY RODZINA POLSKA

ROK XI.

WARSZAWA – CZERWIEC 1937

Nr 6.

TADEUSZ JASTRZĘBIEC

ZIEMIO MOJA OJCZYSTA!...

Ziemió moja Ojczysta..., Ziemió Mazowiecka,
Jesteś mi taką drogą, jak matka dla dziecka,
Związany z tobą życiem — serce tobie składam,
Krwii tętnem mym gorącym tętno twoje badam!...

Zastuchany w dźwięk pieśni krainy Piastowej.
Wzrosłem w ciebie rodziną, jako pień dębowy,
Tysiąclecie go zdobi potęgą mocarną,
W pogańskich się jeszcze czasach rozwinęło ziarno...

Z tobą przetrwać dnie słońca, wichury i burze,
W zgrzebne szaty odziany, a czasem w purpurze,
Z tobą szedł w ciężkie boje, dla ciebie zwyciężał,
Tobie niósł chwałę zwycięstw i godność oręża.

Ciebie, Ziemió Ojczysta ukochał nad wszystko,
Byłaś mu pieśnią życia, domem i kołyską,
Blaskiem rzek, w dal rozlanych, lśniłaś, się jak zorza,
Zastuchał się w pieśń twoją, kiedy grały zboża!..

Wraz z tobą ku Niebiosom kładł słowa w podzięce,
Gdy hymn o chlebnym zbiorze śpiewały twe żeńce,
Zbratamy z tobą w jedno w rodzinnej zagrodzie
Mówił, że czuł się równy nawet wojewodzie...

Pługiem kiedy się worał w ciemne skiby twoje,
Czy kiedy broniąc granic ciężką wdziewał zbroję,
Czy gdy cię potem zrosił, czy cię krwią zrumienił,
Zawsze cię jeno kochał ponad wszystko ziemió!..

Ziemió moja Ojczysta..., Ziemió Mazowiecka!..
Z twojej skiby jam wzrastał, w pieśń twoją od dziecka
Zastuchany, gram jeno to., co szumią zboża
I pieśń moją, o Ziemió wznosi się w przestworza!..

I ze skowronków w niebie rozdźwięczonym chórem
Znowu się stroję w słońce, w szat kraśną purpurę,
Na piersi wkładam pancerz blasków światel złoty
I w orle zdobion myśli, w sokole tęsknoty. —

Zataczam ponad tobą, jak skrzydła, ramiona,
Takaś mi wtedy bliska, taka wymarzona,
Kędy spojrzę, gdzie zboża się zlocą dokoła,
Coś mnie wabi, coś ciągnie i tęsknotą woła!..

O wiem, gdzie tkwi tej pieśni czaru tajemnica,
Ziemió moja Ojczysta, tyś jako skarbnica,
Niewyczerpanych bogactw, których nikt nie stwarza,
One się same lęgną w sercu — gospodarza!..

SPOŁECZNA MYŚL KOŚCIOŁA

Wykształcony przedstawiciel cywilizacji ram obcych Japończyk, Chunczyk czy też Hindus, badając stosunki społeczne i polityczne wśród narodów białych i znając ogólne chociażby zasady chrystianizmu — ze zdziwieniem stwierdzić musi, iż nasze życie publiczne, odbiega bardzo daleko od wskazań Ewangelii i że właściwie, o ile chodzi o całokształt naszego życia, jesteśmy chrześcijanami raczej tylko z nazwy.

A jednak był okres w życiu narodów europejskich, gdy porządek społeczny i stosunki polityczne mimo licznych błędów i niedociągnięć, bądź co bądź opierały się na nauce Kościoła katolickiego. Był czas, gdy idea Boga i przestrzeganie Jego przykazań nie były uważane przez nikogo za „sprawę prywatną” gdy bezbożnictwo nie tylko nie mogło być tolerowane przez państwo, ale nawet państwo uważało je za zbrodnię również wymierzoną i przeciwko sobie.

Ten porządek podkopowały wynaturzony humanizm, pseudo-reformacja oraz prądy materialistyczne umysłowe XVIII i XIX stulecia. Powoli doszliśmy do tego, iż nastąpił rozdział niemal całkowity pomiędzy religią a życiem. Dopiero w ostatnich dziesięcioleciach jesteśmy świadkami doniosłego zwrotu ku religii, spowodowanego bankructwem światopoglądów laicyzacyjnych i odkryć w dziedzinie nauk fizycznych. Rozpoczął się już renesans katolicyzmu, ale minioną epoką pozostawiła po sobie zbyt głęboki ślad w umysłach ludzkich i trzeba sporo czasu dla przeorania wyjąłowionej przez laicyzm gleby.

Dziś mamy taką sytuację, że nawet katolicy praktykujący i starający się szczerze żyć według nakazów Chrystusa Pana — znajdują się w niewoli dawnych przyzwyczajęń, poglądów i metod postępowania. Widząc dokota siebie zło rozwielenione, niesprawiedliwości społeczne, ludzką krzywdę i wszelkiego rodzaju szkodnictwo moralne — pocieszają siebie rozumowaniem: Nie ja takie stosunki stworzyłem, nie jestem za nie odpowiedzialny. Nie ode mnie zależy zmiana istniejącego ładu zresztą jest to sprawa tak ogromnie, że nawet w ramach jednego państwa czy narodu nie da się załatwić pomyslnie.. Muszę więc tolerować zło zbiorowe i baczyć tylko, by osobiście zła tego nie zwiększać.

Ale takie zamykanie się w sobie prowadzi prostą drogą do usunięcia się od życia, które w dzisiejszych czasach płynie jak wartka, burzliwa rzeka.

Do naprawy stosunków zabierają się inni. Gdy uchylają się od tego chrześcijanie, na widowni zjawiają ich antagoniści. Oto komunizm głosi ewangelię nienawiści zagrażając nie tylko religii chrześcijańskiej, ale w ogóle podstawom naszej cywilizacji. Jest to światopogląd z gruntu fałszywy, wyraźne oszustwo, zmierzające przy pomocy otumanionych mas do celów nic wspólnego z dobrem powszechnym nie mających, ale jest to światopogląd bezwzględnie konsekwentny.

Nie możemy żadną miarą zachować się obojętnie wobec grożącego niebezpieczeństwa. Ale czy konsekwentnemu postępowaniu marksistów mamy przeciwstawić jedynie naszą kompromisowość ze złem, która zatrąwa organizm społeczny i którego zatrutym kwiatem jest właśnie komunizm. Gdyby bowiem nie było nadużyć pieniędza nie byłoby i czerwononych sztandarów w rękach poburzonych robotników.

Wielu katolików, mimo wszystko, czego są świadkami, chętnie powołują się na swoje „prawo”, na taką czy inną ustawę, która pozwala im postępować w życiu gospodarczym czy politycznym tak, jak im się podoba. A tymczasem gdyby byli konsekwentnymi katolikami, kierowałby się nie formalną normą prawa, które nie wszystko może ująć w przepis, i nie wszystko przewidzieć, ale głosem sumienia.

Pod wpływem szeregu pisarzy katolickich, działających w różnych krajach — zwiększyło się wśród inteligencji europejskiej zainteresowanie zagadnieniami religijnymi. Jeżeli chodzi o naszą Polskę, to w ostatnich latach niewątpliwie uświadomienie religijne posunęło się znacznie naprzód. Uczuciowa religijność tradycyjna i tzw. dewocja ustępują miejsca religijności głębszej. Ale jest i druga gorsza strona medalu. Wiele się u nas mówi o współpracy z kościołem, ale czy wielu przyswoiło już sobie społeczną naukę Kościoła? Czy wie, że Kościół katolicki ma najpewniejszą broń przeciw komunizmowi, bo program społeczny, oparty na bezwzględnej sprawiedliwości, godzący interes jednostki ludzkiej z interesem społeczności. Czy inteligencja nasza, nawet jej szczyty, interesuje się społecznymi encyklikami papieża, zwłaszcza „Rerum novarum” Leona XIII i „Quadragesimo anno” Piusa XI. Czy szuka odpowiedzi na palące pytania współczesności w ostatnich encyklikach o bezbożnym komunizmie, hitleryzmie i wystosowanej do Meksykańczyków? —

W Polsce dzisiejszej najgłębszą troskę rodziców stanowi problem szkolny. Wciąż się u nas coś reformuje. Lecz do rąk rodziców katolickich często dostaje się encyklika o chrześcijańskim wychowaniu młodzieży?

Trzeba, by wszyscy uświadomili sobie tę prawdę, że dziś już nie wystarcza sama znajomość katolicyzmu — trzeba znać społeczną naukę Kościoła, by móc i zwalczać wpływy bezbożniczo-komunistyczne i samemu pracować nad przebudową naszego życia zbiorowego w myśl wskazań Boskiego Mistrza.

Dla prawdziwych zaś społeczników katolików otwiera się niezmiernie pole pracy, bo Kościół nie narzuca programów, nie gubi się w szczegółach, nie krępuje myśli indywidualnej, lecz w swych wskazaniach kładzie mocne fundamenty przyszłego państwa Bożego na ziemi, które jedynie zdolne będzie przywrócić w życiu narodów i prawa Boże i prawa człowieka-jednostki, bez ujemy dla dobra powszechnego.





A REGINALD.

WOŁANIE O ZJEDNOCZENIE NARODU

Współczesne życie Polski jest chaotycznym i gorączkowym poszukiwaniem idei, która by zdołała zjednoczyć cały naród... Dziś, w obliczu *niebezpieczeństwa*, jakie nam grozi od obu ścian, wschodniej i zachodniej, za którymi kształtują się potęgi państwowe, rosnące właśnie na zwartych (choć błędnych) ideach, polskie poszukiwania myśli przewodniej przybrały charakter gorączkowy, paniczny.

Lecz okres, jaki od lat osiemnastu przeżywamy, jest nie tylko poszukiwaniem idei zjednoczenia żywołów polskich, ale także namiętną *pogonią za ideami obcymi*... Przeglądając gazety, widzimy oferty jeszcze nie przyjęte: azjatycki komunizm i germańską przeróbkę idei żydowskiej: rasizm i włoski faszyzm, na koniec równie duchowi polskiemu obcy nacjonalizm integralny, ideę pogańską, zrzucającą ze szczytu nakazów moralnych etykę chrześcijańską, a stawiającą na jej miejsce interes własnego plemienia. Gorączkowy zamęt poszukiwania idei obcych — oto stan, w jakim jesteśmy od chwili odzyskania Niepodległości” (por. „Integralna idea Polska”).

Ale jednak pomimo wszystko świadomość społeczna Polski zaczyna się coraz silniej skupiać koło istotnych, naczelných zagadnień życia. *Próby zjednoczenia ogarniają coraz większe masy*. Powstaje zrozumienie, że już najwyższy czas, aby zaprzestać waśni, jeżeli nie mamy

pogrążyć się w nieszczęściu. „Podstawowe zagadnienia życia Rzeczypospolitej i jej dalszego rozwoju — jak niedawno podkreślił min. Świątosławski — zaczynają górować nad wszystkimi troskami dnia codziennego, swą powagą i doniosłością przewyższają o wiele to wszystko, co wczoraj jeszcze mogło nas dzielić różnić, a nawet wzajemnie psychicznie odtrącać. Wierzmy wszyscy, że zbliża się ku nam chwila, gdy cały naród powołany do *spełnienia wielkich historycznych przeznaczeń*, otrząśnie się z waśni wzajemnych, ze wzajemnych rozdrażnień (por. przemówienie ministra Świątosławskiego w Poznaniu).

Dzisiejszym Polakom brak jednak wśród długiego szeregu idei i koncepcji zjednoczenia narodowego tego jednego, najważniejszego ruchu, któryby dążył do *powszechnej przemiany w psychice współczesnych ludzi*. Nie ma ruchu, któryby ustanowił niemal nową zasadę społeczno-państwową, któryby wychowałby ludzi *praktykujących głoszone hasła, umięjących zrezygnować z osobistych korzyści na rzecz ogółu*.

Bo w żadnym ustroju nie ma sprawiedliwości społecznej i jedności, póki nie żyją w nim sprawiedliwi i dobrej woli ludzie. *Człowiek bowiem stanowi podstawę, z której w każdym ustroju można wykrzesać maksimum sprawiedliwości i jedności*.

3 PIELGRZYMKI DO LOURDES

Pod Protektoratem Ich Ekscelencji Księży Biskupów Stanisława Adamskiego i Józefa Gawliny.

Zwiedzenie Wystawy Światowej w Paryżu i Wystawy Wszechniemieckiej w Düsseldorfie.

7 — 19. VI; 4 — 16. VII; 12 — 24. IX. Cena zł 360. Informacje i zapisy: LIGA KATOLICKA, Katowice, Piłsudskiego 58 oraz „FRANCOPOL”, Warszawa, Mazowiecka 9 i oddziały w Bielsku, Wzgórze 19, w Katowicach, Dworcowa 18, Lwowie, pl. Halicki 7 i Poznaniu, Św. Marcin 58.

Chcąc dziś wywołać wielki prąd zjednoczenia w narodzie, trzeba przede wszystkim zacząć realizować zasady sprawiedliwości społecznej. Patrzymy na dzisiejszą młodzież, która, ponad wszelkie różnice, jakie ją dzielą, woła o przemianę ustroju społecznego, o sprawiedliwy podział dóbr. Co prawda jedni tę sprawiedliwość społeczną rozpatrują w kosmopolitycznej płaszczyźnie, inni zwracają ją do platformy nacjonalistycznej, lecz wszelkie kierunki społeczne wśród młodych obracają się dookoła *problemu narodowego i kwestii społecznej sprawiedliwości*. Odczuwa się wołanie o nową drogę, o skupienie wszystkich sił narodu nad przemianą ustroju społecznego.

Młodzież szuka wielkiej idei zjednoczenia narodowego, odczuwa krzywdę społeczną. I to zjednoczenie musi nastąpić, i przemiana ustroju musi przyjść, bo los młodego pokolenia z roku na rok staje się bardziej tragiczny. Bezrobocie młodzieży wzrasta. Roczny przeciętny obecny przyrost młodzieży można określić na 700.000. Przyrost ten zamiast stać się pozytywną zdobyczą społeczną, może w naszych warunkach łatwo zamienić się w katastrofę, jeśli nie przyjdzie szybka i zdecydowana akcja.

Bezrobocie, a zwłaszcza wśród młodych, jest tragedią dla każdego nim dotkniętego. Do nędzy materialnej, braku środków żywności, mieszkania, niemożności utrzymania rodziny, dołączają się *cierpienia moralne*, poczucie beznadziejności, że pomimo posiadania rąk zdolnych do pracy i zdobytego wykształcenia, jest się usuniętym poza nawias społeczeństwa.

Ale w dążeniu do zjednoczenia narodu nie wystarczy brać w rachubę tylko sprawy ustrojowe, gospodarcze, lecz trzeba w równej mierze uwzględnić *czynniki duchowe*. Epoka obecna tylko na pozór nosi charakter wybitnie materialistyczny. W gruncie rzeczy takie zjawiska w życiu społecznym, jak wiara, poświęcenie, zapła, solidarność, bezinteresowność, czyli zjawiska duchowe, występują zawsze na scenę wszelkich rozgrywek społecznych w najbardziej niespodziewanych chwilach, ukazując się w *nieoczekiwanej potędze i sile*. Czynniki materialne i duchowe zazwyczaj przez organizatorów społecznych są sobie przeciwstawiane, w istocie rzeczy aż nadto często wiążą się z sobą i uzupełniają.

Dlatego, kto chce dziś zjednoczyć naród, musi sięgnąć do głębin duszy polskiej, musi uwzględnić wszystkie odrębności naszego charakteru narodowego. Dlaczego zjednoczenie sił społecznych w Polsce odbywa się z takim trudem? Gdyż my Polacy, pomimo wrodzonego idealizmu i wybitnej duchowości, „*duszę anielską wię-*

my w rubasznym czerepie” — jak powiedział trafni Słowacki.

Zygmunt Dębicki zauważył kiedyś, że w charakterze przeciętnego Polaka ścierają się dwa zasadnicze pierwiastki: „*dobrotliwa psyche Piasta-kołodzieja*, który własne serce dać gotów gościom zamiast kołacza, oraz swarliwa, niesforna, hyperkrytyczna, niezdolna do skoordynowanych czynów, *wiecznie protestująca dusza sejmikowicza*, z której się rodzi polska anarchia”.

Polak z natury wrażliwy jest na wszystko, co wzniosłe, co dąży do zjednoczenia, obrony kraju w imię najwyższych ideałów — ale ta jego *wrażliwość* łatwo przechodzi w *drażliwość*, czyli przeczulenie na punkcie ambicji, miłości własnej i spraw osobistych, skoro tylko nie czuwa i nie pracuje nad sobą... Wtedy próżność, samolubstwo i ambicja bierze w nim górę nad sprawą ogólną i zamiłowaniem dobra powszechnego. Polak, który ulegnie tej pokusie, łatwo staje się warchołem i prywatą staje się jego bożyszczem.

W tych brakach psychiki narodu polskiego leżą główne przeszkody do osiągnięcia zjednoczenia narodowego, którego naglącą potrzebę dziś wszyscy odczuwamy. W jaki sposób więc uleczyć i usunąć te chore przejawy duszy polskiej, które dziś mogą zamienić się w śmiertelną chorobę?

Przede wszystkim trzeba uporządkować świadomość zbiorową, ustalając najwyższy i wszystkich obowiązujący cel, do którego ma naród po zdobyciu niepodległości dążyć. Co jest celem narodu? jeżeli powiemy, że *potęgą jest pragnieniem*, tęsknotą, dążeniem narodu, zgoda na to. Ale jeśli powiemy, że *potęgą jest celem* narodu, mylimy się... Myśląc bowiem o świetnej przyszłości narodu, musimy przyjąć jego potęgę za środek i tylko za środek.

Jakie są więc *najgłębsze cele* narodu? Mogą być dwójakie: *zewnętrzne* — względem innych narodów, i *wewnętrzne* — względem własnych obywateli. I odpowiedź jest jasna: celem narodu zewnętrznym jest *służba idei sprawiedliwości międzynarodowej* i stanie na jej straży; celem wewnętrznym — jest *wytworzenie takich form i warunków współżycia narodowego*, osiągnięcia takiego poziomu kultury, by każdy obywatel miał jak najlepsze warunki *osiągnięcia doskonałości wewnętrznej* (por. „*Cele, które się przeocza*”).

Stąd *wniosek*, że zjednoczenia narodowego nie osiągnie się nigdy, jeżeli u podstawy programu tego zjednoczenia nie będzie postawiona wyraźnie sprawa doskonalenia wewnętrznego, duchowego poszczególnych obywateli. Czyli mówiąc innymi słowami, zjednoczenia narodu bez *oparcia o ideę religijną*, urabiającą wewnętrznie człowieka, *jest nie do pomyślenia*. Jeżeli naród nasz chce skupić swe siły dla wspólnych celów, chce osiągnąć zjednoczenie i potęgę, jeżeli chce dźwignąć i odrodzić się wewnątrz, to musi wrócić do wiary przodków i ojców swoich, musi uświadomić sobie swą duchowość.

A szczególnie, jeżeli chodzi o zjednoczenie katolików w Polsce, to jest to możliwe i uda się tylko pod warunkiem, że będzie nie narzędziem tej czy innej partyjnej polityki, ale narzędziem *wielkiego dzieła przeobrażenia państwa* w duchu Chrystusowym, że będzie się odbywać pod hasłem wprowadzenia w życie tych *reform społecznych*, które Kościół przez usta ostatnich papieży zaleca.

„Obóz Zjednoczenia Narodowego, który się obecnie tworzy, może osiągnąć swój rezultat wówczas tylko, jeżeli *szczerze, konsekwentnie* uderzy w struny duszy polskiej i katolickiej, *wiążąc dawne tradycje z nowymi potrzebami epoki*. Trzeba się oprzeć na tej potędze, która w chwilach *przełomu* okazywała się *ostatecznym ratunkiem* — a tą potęgą jest wiara katolicka w Polsce.

JÓZEF JANOTA-BZOWSKI

5)

KORZYŚCI DLA RODZICÓW, PŁYNAĆCE ZE WSPÓŁPRACY RODZINY I SZKOŁY

Do opieki lekarskiej i higienicznej, systematycznych ćwiczeń gimnastycznych w szkole oraz własnych osiedli wiejskich, posiadanych już przez dość wiele zakładów naukowych, a doskonale wpływających na zdrowie dzieci, przychodzą wówczas w pomoc nabywane przy wydatnym nieraz współdziałaniu przyszkolnych zrzeszeń rodzicielskich, różne urządzenia lecznicze, gabinety dentystryczne, wanny, natryski, sprzęt sportowy; tworzą się kolonie letnie i zimowe, urządzają obozy harcerskie i wycieczki, stwarzają się jednym słowem warunki idealne dla rozwoju młodych organizmów. Rodzice z dużą radością patrzą po dłuższym niewiedzeniu na rumiane, opalone twarzyczki dziecięce, na roześmiane oczy, na wyraz sprężystości i zdrowia, przebijający się w każdym ruchu dziecka. A w zdrowym ciele — zdrowa dusza, świeży umysł, mocna wola i chęć do życia. Cóż za porównanie z dolą tych dzieci i ich rodziców, którzy, nie zaznaję tych dobrodziejstw zorganizowanego życia szkolno-rodzicielskiego, gnieżdżą się po kilka rodzin w jednej ciasnej i dusznej izbie bez słońca, bez ciepła fizycznego i moralnego, bez jakiegokolwiek radości życia...

A sprawa dożywiania uczniów w szkole — tu już niemal wyłącznie staraniami, ofiarną pracą i środkami kół rodzicielskich, czy patronatów klasowych. Dla iluż dzieci ten kubek mleka, czy bułka, otrzymana w szkole, stanowi jedyny ranny, a może czasem i całodzienny posiłek! Czy stroskana matka nie błogosławi całą duszą tych rąk, które wycieńczonemu jej dziecku ten kubek do wybladłych warg przysuwają?

A akcja odzieżowa dla młodzieży... Znowu koło rodzicielskie czy patronat w atmosferze zrozumienia jego roli i poparcia przez szkołę staje do apelu na zew potrzeby społecznej. Rodzice — rodzicom, dzieci — dzieciom. Ubranko, sukienka, czy paletko wyrośnięte, bądź uznane za zniszczone w domu zamożniejszym, będzie szczytem marzeń dla innego dziecka, którego rodzice od kilku może lat jednego grosza na odzież ani dla siebie, dla dzieci, wydać nie mogli. Opiekunki klasowe potrafią takie ubranka wśród zamożniejszych rodziców wyszukiwać i uczynić z ich właścicieli chętnych ofiarodawców na rzecz bardziej potrzebujących. Niezależnie od tej ofiarności osobistej, z kasy koła rodzicielskiego asygnuje się co roku kilkaset, bądź więcej, złotych, zależnie od jej zasobności, na kupno dla niezamożnych uczniów mundurów, palt, czapek szkolnych, bielizny zwykłej i ciepłej, szalików, które ich chronią od zaziębienia, chustek do nosa, które je uczą porządku... Jedną strugą płyną grosze i ofiarność ludzi dobrej woli, drugą — gorące modlitwy rodziców za tych, którzy im w ciężkiej doli pomogli. Oni kiedyś może innym, biedniejszym wówczas od siebie, dopomogą.

Piękna praca. Nie tylko wspiera materialnie i krzepi duchowo, ale budzi szlachetne uczucia altruizmu i miłości bliźniego. Korzystają wszyscy: jedni rodzice, bo pomoc otrzymali, drudzy, bo czyn szlachetny na dobro swego zapisali rachunku, szkoła — bo przez współpracę z kołem rodzicielskim do dobrej przyczyniła się sprawy.

To samo można powiedzieć o korzyściach rodziców, odnoszonych w związku z dostarczaniem młodzieży po-

mocy szkolnych — wypożyczeniem, międzyklasową wymianą, bądź nabywaniem dla użytku niezamożnych uczniów podręczników, atlasów, słowników, książek, zeszytów i innych sprzętów, do nauki niezbędnych. Piękne pole dla ofiarności prywatnej obok funduszy, płynących na ten cel z kasy rodzicielskiego koła szkolnego.

Dowożenie dzieci i młodzieży do szkół z miejscowości bardziej oddalonych, bądź uprzystępnienie jej środków komunikacji z peryferij w większych miastach, to — dalsza korzyść dla dzieci, a wraz z nimi — dla rodziców za istnienia i pracy kół rodzicielskich oraz współpracy na ich terenie między domem i szkołą.

A wreszcie — żeby wymienić już tylko najważniejsze momenty — opłata wpisów szkolnych. Tu już mamy klasyczną współpracę rodziny i szkoły. I zorganizowani rodzice, i szkoła ze swoich ogólnych funduszy, czynią na ten piękny cel ofiary. I rodzice, i szkoła wspólnie naradzają się, w jaki sposób najsprawdliwiej rozporządzały fundusz podzielić. Niejednokrotnie szkoła z całym zaufaniem powierza kołu rodzicielskiemu, jako głębiej orientującemu się w środowisku rodziców, mandat kwalifikowania uczniów do ulg wpisowych, rezerwując sobie tylko głos z punktu widzenia postępów w nauce i sprawowania się uczniów.

Zbożna, dostojna praca. I znowu nie wiadomo, czy szukać szczęśliwszych wśród tych, których dzieci uzyskały dalszą możliwość nauki, czy wśród tych, którym wielkie wewnętrzne zadowolenie daje świadomość, że dobry uczynek spełnili.

Korzyści rodziców z istnienia central zrzeszeń rodzicielskich, jako szerszego terenu współpracy rodziny i szkoły.

I oto dobiegamy do końca naszych rozważań. Dla dopełnienia obrazu korzyści, płynących dla rodziców z współpracy rodziny i szkoły, pozostaje wspomnieć o roli centralnych — czy to regionalnych, czy ogólnokrajowych, organizacyj rodzicielskich, będących również na innej tylko, szerszej, płaszczyźnie terenem tej współpracy i pomnażających w sposób wydatny korzyści dla rodziców, w tej współpracy źródło swoje czerpiące.

Mówimy: „w sposób wydatny” — podobnie, jak w poszczególnych kołach rodzicielskich — przyjmując, jako założenie, układanie się w nich normalnych i harmonijnych warunków pracy, poparcie ze strony władz i zrozumienie celowości akcji zbiorowej ze strony zjednoczonych rodziców.

W praktyce w ostatnich kilku latach sprawa nie układała się tak pomyślnie. O ile kontakt z rodzicami niezorganizowanymi oraz poszczególne mniejsze przyszkolne komórki pracy rodzicielskiej, poczynając od patronatów klasowych, spotykają się z poparciem władz, o tyle silniejsze koła statutowe, a zwłaszcza centrale kół, widziane są niechętnie, a czasem nawet zdecydowanie zwalczane przez władze, co naturalnie hamuje ich działalność. Przejaw ten wiąże się ściśle z panującym w ostatnich latach systemem rządzenia bez udziału społeczeństwa.

Nie miejsce tu na głębsze roztrząsanie doniosłej roli centralnych organizacyj rodzicielskich, choćby tylko na odcinku współpracy rodziny i szkoły, oraz na ocenianie w szczegółach korzyści, z tej szerokiej współ-

pracy dla rodziców płynących; sprawa ta wymagałaby oddzielnego potraktowania. Ograniczymy się jedynie do wskazania paru zasadniczych w tym zagadnieniu momentów.

1) Centrala zrzeszeń rodzicielskich, zwłaszcza ogólnokrajowa, jest tym ogniskiem, które drogą kontaktu organizacyjnego ze znaczną ilością kół, działających każde z osobna w ścisłej łączności ze szkołą wchłania wszelkiego rodzaju informacje, poznaje miejscowe dążenia, dezyderaty, poglądy i metody działania, szereguje je i przetrawia, urabia sobie na ich podstawie pogłębianą porównawczą ocenę stosunków, uzyskując w ten sposób szeroką perspektywę. Uzyskany materiał pomnaża następnie przez własne obserwacje i wyprowadzenie wniosków syntetycznych. Ten cały wielki magazyn cudzego i własnego doświadczenia oddaje centrala do dyspozycji kołom stowarzyszonym i zorganizowanym w nich rodzicom w postaci dyrektyw, rad, wskazówek, opinii i instrukcji; popiera ich postulaty u władz; wpływa na odpowiednie urabianie opinii publicznej.

2) Statutowa centrala zrzeszeń rodzicielskich w porównaniu z pojedynczymi kołami ma nie tylko terytorialnie szerszy zasięg pracy, ale i o wiele szerszy zakres środków i metod działania. Wszystkie płynące dla rodziców dobrodziejstwa z współpracy domu i szkoły, o których była mowa przy kołach pojedynczych — przy zastosowaniu tych środków potęgują się i poszerzają.

3) Centrala z charakteru swego ma znacznie szerszy zasięg stosunków z najrozmaitszymi organizacjami krajowymi, zagranicznymi i międzynarodowymi, ma możliwość uczestniczyć w ich zjazdach, kongresach itp., czerpiać z ich bogatej skarbnicy, reprezentując na nich głos zorganizowanych w centrali rodziców i urabiając opinię w myśl ich postulatów ideowych. Mając siedzibę w stolicy, bierze centrala udział przez swych przedstawicieli w całym duchu umysłowej elity społecznej i dyskontuje te zdobycze kulturalne na dobro zorganizowanych rodziców.

4) Centrala zrzeszeń rodzicielskich ma możliwość docierania bezpośrednio i utrzymywać kontakt z najwyższymi władzami oświatowymi i w ogóle państwowymi. Tu głos rodziców, skoncentrowany w soczewce wspólnej organizacji, trafia bezpośrednio do najbardziej autorytatywnego czynnika, zyskując szanse skuteczniejszej realizacji przedstawianych opinii i dezyderatów.

5) Wreszcie — żeby już wspomnieć o rzeczach najważniejszych — centrala zrzeszeń rodzicielskich, jako przedstawicielstwo rodziny, mając w wyżej obrazowany sposób nawiązany i ugruntowany na wszystkich szczeblach pracy rodziców ścisły i życzliwy stosunek z najbliższym tej rodziny współpracownikiem i sprzymierzeńcem, jakim jest szkoła — skutecznie może zabiegać o koordynację wpływów pozostałych czynników wychowawczych. Celem tej koordynacji jest stworzenie w walce o tak ważny dla rodziców ideał wychowawczy jednego wspólnego frontu wszystkich czynników, wspólnego frontu wszystkich czynników, współdziałających w wychowaniu młodzieży. Bo podobnie, jak w walce orężnej wystarcza jeden słaby odcinek linii bojowej, aby fala nieprzyjacielska zalała kraj pomimo doskonałego zabezpieczenia innych terenów — tak i w tej walce o ideał wychowawczy brak czujności i sprawności działania któregośkolwiek z czynników, mających wpływ na kształtowanie ducha młodzieży, wystarcza, aby fala zła wtargnęła na teren wychowania. Jak tam, tak i tu, potrzebna jest służba łączności. Rodzina, państwo, Kościół, szkoła, środowisko młodzieży, czynniki społeczne, mogące oddziaływać na wytwarza-

nie zdrowej atmosfery życia publicznego — muszą sobie podać ręce, aby ten jednolity, zwarty i silny front wychowawczy zbudować i utrzymać.

Centralne organizacje rodzicielskie najżywiej w tej sprawie zainteresowane, a będące w bezpośredniej styczności ze wszystkimi wymienionymi czynnikami — mają wszelkie dane do tego, aby pełnić ową służbę łączności, móc się wydatnie do osiągnięcia tego celu przyczynić, zaskarbiając tym sobie wdzięczność rodziców i dobrą pamięć u przyszłych pokoleń.

* * *

Tak oto przedstawiają się w ogólnych zarysach korzyści rodziców z współpracy rodziny i szkoły, poczynając od jej pierwotnej postaci — kontaktu indywidualnego rodziców ze szkołą, aż do jej form, najwyżej zorganizowanych. Jak zaznaczyliśmy na wstępie, mając mówić o maksimum korzyści dla rodziców z współpracy domu i szkoły płynących, musieliśmy wyjść z założenia pewnego optimum warunków, tej współpracy towarzyszących, inaczej mówiąc, obracać się w sferze pewnej elity myśli rodzicielskiej. Elita ta jednak poczuwa się do obowiązku i ma łatwość promieniowania przez organizacje na otoczenie, wskutek czego opisane stosunki nie należą do wyjątków; wzięte są z praktyki życiowej i realnej rzeczywistości.

Korzyści rodziców, jak wynika z naszych rozważań, zająbiają się najściślej z korzyściami szkoły i młodzieży, tak że ich prawie oddzielić od siebie niepodobna. Słusznie ktoś określił graficzny symbol przyszkolnego zrzeszenia rodzicielskiego, jako trójkąt w kole: rodzina, szkoła i młodzież. Koło rodzicielskie — to idealna płaszczyzna ich bezpośredniego zetknięcia się w tej zgodnej współpracy na odcinku danej szkoły, centrala kół — na szerszym krajowym terenie.

Korzyści, wynoszone z tej współpracy, będą tym większe, im więcej obie strony współpracujące okazywać sobie będą wiary i zaufania, i im w ich współżyciu będzie mniej spraw, mogących tę wiarę i zaufanie, a tym samym harmonię ich stosunku, zakłócić.

Do spraw, wywołujących dziś, niestety, dość silne, choć nie zawsze uzewnętrzniające się, rozdzwigi, a tym samym zmniejszających korzyści, z współpracy rodziny i szkoły płynące, należy dająca się wyczuć w ostatnich latach wyraźna tendencja szkoły do osiągnięcia supremacji nad rodziną w zakresie wpływów na wychowanie dziecka. Wiąże się ona niewątpliwie z ogólnym, stosowanym w ostatnich latach, systemem rządzenia, odsuwającym społeczeństwo od głosu i inicjatywy.

Są pewne przesłanki, pozwalające przypuszczać, że system ten ulegnie korzystnej dla społeczeństwa zmianie. Z autorytatywnych ust najwyższych kierowników nawy państwowej padły ważne słowa o konieczności współpracy ze społeczeństwem.

Tę zmianę nastrojów odczuwa się w pewnej mierze i na terenie szkolno-rodzicielskim; tu jednak ta zalecana współpraca jest jeszcze w bardzo swoisty, jednostronny sposób rozumiana. Rodzice mają współpracować ze szkołą, ale kierunek wychowania ma należeć wyłącznie do szkoły bez względu na poziom intelektualny rodziców. Jej rzeczą jest dawać pouczenia, a rodziców — słuchać tych pouczeń. Organizacje rodzicielskie nie mają mieć głosu. Co więcej nie chce się zupełnie widzieć i uznać dotychczasowego blisko 20-letniego ich dorobku na polu współpracy rodziny i szkoły. To się przekreśla i zaczyna pracę na nowo pod wyłączną egidą szkoły.

LUDWIK BRUNON ŚWIDERSKI

ELIZA ORZESZKOWA

Matka chowała ją na wielką damę. Była właściwie jedynaczką, bo starsza jej siostrzyczka, Klemunia, wczesnie bardzo zachorowała na anemię, tak że się uczyć nawet nie mogła. Młodo też zgasła. Eliza została jedyną dziedziczką kwitnącej Milkowszczyzny. Matka więc marzyła dla niej o świetnym losie. Sama była arystokratką z ducha, należała do elity ziemiańskiej powiatu grodzieńskiego. Wychowaniem córki bezpośrednio, oczywiście, się nie zajmowała. Na to były bony, nauczycielki: znienawidzona Niemka, panna Fechner, i złota, dobra, mądra Michalina Kobylińska, której zaciągnięty w dzieciństwie dług wdzięczności spłaciła Orzeszkowa już jako sławna autorka przez uwiecznienie jej w „Pannie Antoninie”. Zresztą, nad wychowaniem czuwała pobożna babka, pani Elżbieta z Kaszubów Kamińska, której imię nosiła wnuczka.

Ojca nie znała wcale: zmarł, tknięty paraliżem przy biurku, w noc listopadową 1843 roku, osierocając dwu i półletnią dziewczynkę. Był to człowiek dzielny, energiczny, który opuściwszy dla chleba rodziną Pińszczyzną, własnymi rękoma doszedł do znacznego majątku. Wykształcony, światły umysł, potomek encyklopedystów francuskich, wielbiciel Voltaire'a, mówca loży wolnomularskiej na wschodzie Grodna — wywarł niewątpliwy i znaczny wpływ na umysłowość córki. Pozostawił bowiem po sobie bogatą, według swoich przekonań dobraną bibliotekę, która stała się uniwersytem znakomitej samouczki.

W domu otaczała Elizę atmosfera patriotyczna. Słowo Polska nie schodziło z ust. Do wyjścia na ulicę ubierano Elizę za krakowiankę.

Wczesnie zetknęła się Orzeszkowa z ludem białoruskim. Małą dziewczynką będąc zaprzyjaźniła się z córeczkami jakiegoś oficjalisty, z którymi — pod „kierunkiem” ogrodniczka Franka — uprawiała swój ogródek. Od niego usłyszał pierwsze bajki chłopskie, opowiadane po białorusku. Chętnie też rozmawiała przez sztachety z poczytliwym z pobliskiej stacji pocztowej, Romanem, który potem oddał jej i Polsce niewypłacalną usługę przewożąc Traugutta przez posterunki rosyjskie do Warszawy; w wiele lat później opisała go w pięknym opowiadaniu pt. „Romanowa”.

Nie lubiła natomiast już od dziecka wielkich dam. Gdy raz wspaniała, bogata, o potężnej tuszy pani z Bispingów Sweczyn zaczęła opowiadać o tym, jak to „le

bateau à vapeur z podróżnymi coula na dno de la rivière”, ośmioletnia dziewczynka nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. — „De quoi śmiesz się, mon enfant?” — spytała dystygowana dama, a mała Eliza nie mogąc powstrzymać swej radości musiała opuścić salon. Potem często wyśmiewać będzie makaronizmy i kpić z prowincjonalnej francuszczyzny.

Tworzyć zaczęła bardzo wczesnie — ku rozpaczy matki, która o takim losie myśleć nie chciała. Zrazu były to bajki opowiadane chorej Klemuni inscenizowane dla niej dramaty historyczne, potem nastąpiły pisane już pierwsze „arcydzieła”. — „Ziunia będzie autorką” — cieszyła się pocziwa Kobylińska. — „Niech Bóg broni!” odżegnywała się czując pogardę dla zawodu literackiego matka. „Proszę jej tym głowy nie nabijać”. Jedenastoletnią dziewczynkę odwiozła babka do Warszawy na pensję pp. sakramentek na Nowym Mieście. W klasztorze przebyła panna Pawłowska lat pięć. Tu też przez rok kolegowała z Marią Wasilowską (Konopnicką). „Ja cię, Elizo, pamiętam dobrze”, pisze w wiele lat potem poetka, „miałaś cerę bladą, obfite ciemne włosy i poważne spojrzenie. Nie byłaś dzieckiem”. Już w jednym z pierwszych swych opowiadań, w „Początku powieści”, przedstawi Orzeszkowa w ogólnym zarysie takie wychowanie klasztorne, jakie sama otrzymała (w postaci Loli Zytowskiej); szeroko nastroje i życie sióstr odda w „Ascetce”.

W maju 1857 roku zabrała matka Elizę z klasztoru, by ją już w styczniu roku następnego wydać za mąż za Piotra Orzeszkę, pana na Ludwinowie. Z nim siedemnastoletnia niespełna małżonka opuściła Grodzieńszczyznę, by zamieszkać na Polesiu. Dzieje swego zamążpójścia, swych złudzeń i rozwianych prędko marzeń opisała autorka w „Wspomnieniach” Reginy Różyckiej w „Ostatniej miłości”^{*)}. Rolę brata, Henryka, odegrał w rzeczywistości, jak się zdaje, brat Piotra, młody, pełen zapału i ognia medyk, Florenty Orzeszko. (Przedstawiła go Orzeszkowa w opowiadaniu „Oni” z „Gloria Victis”. Jak w powieści Regina u Klary Mileckiej, tak w rzeczywistości u najbliższej sąsiadki, Ste-

^{*)} „Ostatnia miłość” znajdzie się w t. I Pism E. Orzeszkowej, które zaczynają się ukazywać w subskrypcji u Gebethnera i Wolffa.



Eliza Orzeszkowa w młodym wieku.

fanii z Tołłoczków Żukowej, której dedykowała autorka tę powieść, szukała nieszczęśliwa kobieta rady i pokrzepienia. Przedsięwzięte kroki rozwodowe powstrzymał wybuch powstania styczniowego. Orzeszkowa — mimo oporu męża — wzięła w nim żywy udział. Ze wspomnień o tym ważnym epizodzie jej życia powstał zbiór „Gloria victis”. Małe reminiscencje przeżytych wówczas uczuć znajdziemy w „Dwu biegunach”. (Śmiercią Adama Zdrojowskiego, brata bohaterki, Seweryny, zginął piękny dowódca jazdy oddziału Traugutta, Feliks Jagmin, występujący również pod własnym nazwiskiem w opowiadaniu „Oni”).

Po konfiskacie Ludwinowa przenosi się Orzeszkowa do rodzinnej Milkowszczyzny. Tu w samotności przeżywa straszną klęskę powstania i osobistą, także dotkliwą. Tu też otwiera szafy ojcowskiej biblioteki i wyjmuje zakurzone tomy. Zaczyna się uczyć naprawdę.

Wkrótce samotność przerywa mężczyzna. Do dworu milkowskiego zawitał rzadki gość: miłość. Młody, energiczny doktor, Zygmunt Święcicki, zawładnął sercem młodej autorki. Właśnie drukowała w „Gazecie Polskiej” swoją „Ostatnią miłość” i tworzyła nową powieść, „W klatce” (bohater jej jest doktorem). Uczucie każe zdecydować się na rozpaczny krok: pójść śladami Reginy z „Ostatniej miłości” i starać się o rozwód. Sprawa się przewleka, pochłania tysiące, kosztuje wiele trudów i przykrości. Wreszcie, gdy dobiła do portu, ukochany opuszcza narzeczoną, bo nad ciche z nią życie wyżej stawia karierę. Orzeszkowa wobec konfliktu: ojczyzna i serce — wybrała pierwszą. Opuścić kraj nawet za umiłowanym człowiekiem nie potrafiła. Pozostał jednak głęboko w duszy nurtujący żal. Zrazu słumiony, po wielu latach powrócił i znalazł wyraz w wielokrotnie powtarzanym przez autorkę motywie „argonauty”. Poza tym dramat swój przetransponowała Orzeszkowa artystycznie w wspaniałych „Dwu biegunach”.

Katastrofy chodzą stadami. Równocześnie z ukochanym traci Orzeszkowa rodziną Milkowszczyznę. Zniszczył ją był Piotr Orzeszko, wycieńczyły olbrzymie kontrybucje popowstaniowe, reszty dokonał kosztowny rozwód. Powieściopisarka osiada w Grodnie. Zajmuje się wyłącznie pracą umysłową. Dzieła jej zdobywają pierwsze uznanie, wkrótce rozgłos i popularność.

W końcu r. 1878 traci matkę dziedzicząc dość znaczny majątek. Pieniądzy tych jednak nie przyjmuje dla siebie. Utrata Milkowszczyzny ciąży jej wyrzutem sumienia. Nie mając możliwości na inną rekompensatę zakłada w Wilnie w r. 1879 księgarnię wydawniczą. Po dwu latach ofiarnej i owocnej pracy kulturalnej musi jej zaprzestać. Zaborca zamyka księgarnię, powieściopisarkę internuje w Grodnie. Znowu więc musi ograniczyć się do pracy intelektualnej.

Wychodzi to na dobre dziełom. Autorka zaznajała się szczegółowo z techniką powieściopisarską naturalistów francuskich z jednej strony, z drugiej zaś z zasadami niemieckiego pisarza, Fryderyka Spielhagena, zrywa z prymitywizmem i z nadzwyczajnym skutkiem przeprowadza swoją anabazis. Tak powstają naturalistyczne „Niziny”, „Dziurdziowie”, „Cham” (postać Franki) i spielhagenowski romans społeczny — „Nad Niemnem”.

Na tej drodze doskonalenia się Orzeszkowa nie ustaje. Równocześnie wyzwala się spod więzów ciasnego pozytywizmu, który zatamował był wrodzony jej liryzm. Powstają „Dwa Bieguny”, jedno z najwyższych dzieł autorki, „Melancholicy”, „Iskry”. Uczennica naturalizmu, żywiolowa realistka, bierze do nich tematy z otaczające-

CHORY ŻOŁĄDEK

JEST NIERAZ POWODEM POWSTAWANIA
NAJROZMAITSZYCH CHORÓB

ZIOŁA Z GOR HARCU Dra LAUERA

są dobrym środkiem dla uregulowania żołądka, usuwają obstrukcję, są łagodnym naturalnym środkiem przeczyszczającym, usuwają substancje gnilne, zatruwające organizm

ZIOŁA Z GOR HARCU Dra LAUERA

stosowane również przy cierpieniach wątroby, nerek, kamieni żółciowych i hemoroidach są chętnie przyjmowane przez chorych

go ją życia, ale w wyborze tematów (jakże różnorodne jest życie!) pozostaje wierną córką romantyzmu. Pierwsza odwraca się od źle pojętego pozytywizmu (ona — jedna z pierwszych i najbardziej fanatycznych jego heroldów!), wykazuje bankructwo ideałów wąskiej praktyczności.

Życie jej jednak nie wystarcza. Doszukuje się jego celów, jego wartości. Do twórczości wprowadza silny nurt myśli filozoficznej.

Otoczona sławą, obsypana kwiatami, wychodzi z dusznego pokoju na korytarz hotelowy w późną noc i słyszy, jak stara babka asystuje przy pacierzu swego dorosłego wnuka. I budzi się w umyśle autorki refleksja: Czy nie większą zasługę ma ta stara baba od niej, wielkiej, podziwianej? Tak powstaje „Krzak bzu”.

„Chochlik-Psotnik” to również rzecz z osobistego przeżycia. Człowiek, którego pokochała, dla którego naraziła się pruderii małomieszczańskiej (mecenasa Stanisława Nahorski) zawodzi ją, ordynarnie zdradza z wiejską dziewczyną. Własne uczucia zostawia jednak autorka na stronie. Bardziej ją wstrząsa krzywda społeczna. Przedstawia salę sądową. „Mecenas” — jako przewodniczący sądu przysięgłych — sędzi wyrostka osiemnastoletniego, który podpalił dom chlebobawcy. Syn nieznanego ojca. Wychowania nie otrzymał żadnego. Przed wyobraźnią przewodniczącego zmartwychwstaje wizja wiejskiej przynudy. Ależ to było osiemnaście lat temu!... Musi jednak wydać wyrok: Winien. „Wtedy Chochlik-Psotnik w paroksyzmie uciechy wbił się znad jego głowy pod sam sufit i w rześmistym świetle lamp rozkołysany na całą całą rzucił pytanie: — Kto?”

Tak z przeżyć własnych tworzy Orzeszkowa „iskry” i „przedze” nowelistyki polskiej. Bo tym się różni nowela od opowiadania, że powstaje z wewnętrznego wstrząsu autora, że jest utworem na wskroś lirycznym, gdy opowiadanie nie wychodzi poza ramy epiki.

Lecz głęboko czujące serce autorki umie się także przejąć do dna tragedią cudzą. Bystre oko obserwator-ki życia potrafi dojrzeć pod warstwą pozorów prawdziwe uczucie, „nagą duszę”. Wciela się w postaci swych rzeczywiście istniejących bohaterów, z nimi cierpi, z nimi się raduje i przez pryzmat ich losów prześwieśla swoje przeżycia, swoje tęsknoty, swoje zmagania. W tym leży tajemnica jej porywających arcydzieł.

Strumień liryzmu wyzwala się z każdym dziełem coraz bardziej poprzez „Dwa bieguny”, „Iskry”, „Anastazję”, „Przędze”, aż w „Gloria victis” (a przedtem już częściowo w „Ad astra”) zrywa wszelkie pęta i płynnie wezbrana falą.

Ale jest to już ostatnie dzieło. Umowę z wydawcą podpisywała autorka na śmiertelnym łożu.

Zmarła 18 maja 1910 roku.

LUDOMIR RUBACH

BARWNE KURPIE

Tradycyjnym stał się już zwyczaj wycieczek na bajecznie kolorową procesję Bożego Ciała do „kolorowego” Łowicza, który w ub. roku obchodził dumnie i radośnie osiemsetlecie swego istnienia.

Stawa łowickich procesji usunęta z pamięci naszej nie mniej barwne i ciekawe uroczystości Bożego Ciała w innym, puszczańskim, zakątku Polski, w Myszyncu — stolicy lesnego kurpiowskiego ludu. W czasach rozwoju regionalizmu należałoby jednak pamiętać, że obok Łowicza godne chwaly i zachwytów, zjazdów z całej Polski i opisów entuzjastycznych jest święto Bożego Ciała w Myszyncu. Bo chociaż zniszczenie wojenne i pożary przetrzebiły puszcę Białą, Czerwoną i Zieloną, zachował się jednak w drewnianych chatkach Kurpiów nieknięty stary obyczaj i stary strój...

W tym roku na Boże Ciało jedziemy więc z Warszawy do Myszynca. Aby się tam dostać wyjeżdżamy ze stolicy z dworca Wileńskiego, zaopatrzwszy się w bilety kolejowe do Ostrołki. Po kilkogodzinnej podróży przez kraj równinny, malowniczo ozdobiony dość gęstą siecią lasów, przyjeżdżamy do tego historycznego miasteczka nad Narwią.

Jeżeli się nam nie śpieszy, jeśli mamy czas, poświęćmy kilka chwil zwiedzeniu Ostrołki, której nazwa na zawsze jest związana z bohaterami powstania listopadowego.

Tuż za Narwią rozpościerają się pola pamiętnej bitwy w 1831 r., która zadecydowała o losach powstania, a w której chwałą nieśmiertelną rozbrzmiało imię gen. Bema.

Na terenie bitwy, w miejscu skąd artyleria Bema przążyła Moskali stoi skromny pomniczek, na którym wyryto napis: „Pamięci bohaterskiej szarzy artylerii konnej pod dowództwem Bema 26. V 1831 r.”. Opodal widnieje szkielet przyszłego wspaniałego mauzoleum, które ma uczcić pamięć bohaterów powstania. W samym mieście należy zwiedzić piękny klasztor pobernardyn-



Kurpie trombita.

ski, obok którego znajduje się kurhan poległych w 1831 r.

Ostrołęka należy do tych miast naszego kraju, których nie oszczędzała żadna z licznych burz wojennych, jakie często przeciągają nad ziemią naszej równinnej, szeroko dla wszystkich ludów, otwartej Ojczyzny.

Płonęła Ostrołęka w czasach wojen szwedzkich, w czasie powstań narodowych, sypała się w gruzy w czasie wielkiej wojny.

Obecnie to małe ale ciekawe miasteczko odbudowuje się szybko o czym świadczą liczne nowe domy. Mieszka bowiem na tej ziemi naród twardy, w tradycji zamiłowany, a choć ubogi i coraz bardziej przez biedę przesładowany, to jednak z fantazją wspominający swą bo-



Kurpie.



Kurpianka.

haterską przeszłość z czasów wojen szwedzkich kiedy to::

*„na kopańskim moście
stali dziwni goście
i fuzyje mieli —
o tem nie wiedzieli
że kurpsie tyż majo
i dobrze strzylajo”...*

jak śpiewa w Myszyncu pewien blisko stuletni Kurp.



Stadion sportowy w Łomży.



Zabawa w kurpiowskiej zagrodzie. Taniec „powolniak”.

W kurpiowski kraj od Ostrołęki jedzie się kolejką wąskotorową, zbudowaną przez niemieckiego okupanta, który zmógł moc, zniszczył krasę odwiecznych knieci, a w sercach Kurpiów pozostawił żal i zgrozę niewygasta, oraz pamięć niesławną najstraszniejszej grabieży lasów, jaką kiedykolwiek w dziejach tej ziemi oczy ludzkie oglądały.

Kolejka, prychąc i pogwizdując, biegnie przez kraj ubogi. Ogołocona z lasów ziemia prześwieca łysiną piaszczystych pól i nieużytków, odsłonięnych oparzelisk,



Typy Kurpiowskie.



Przed kurpiowską chatą.

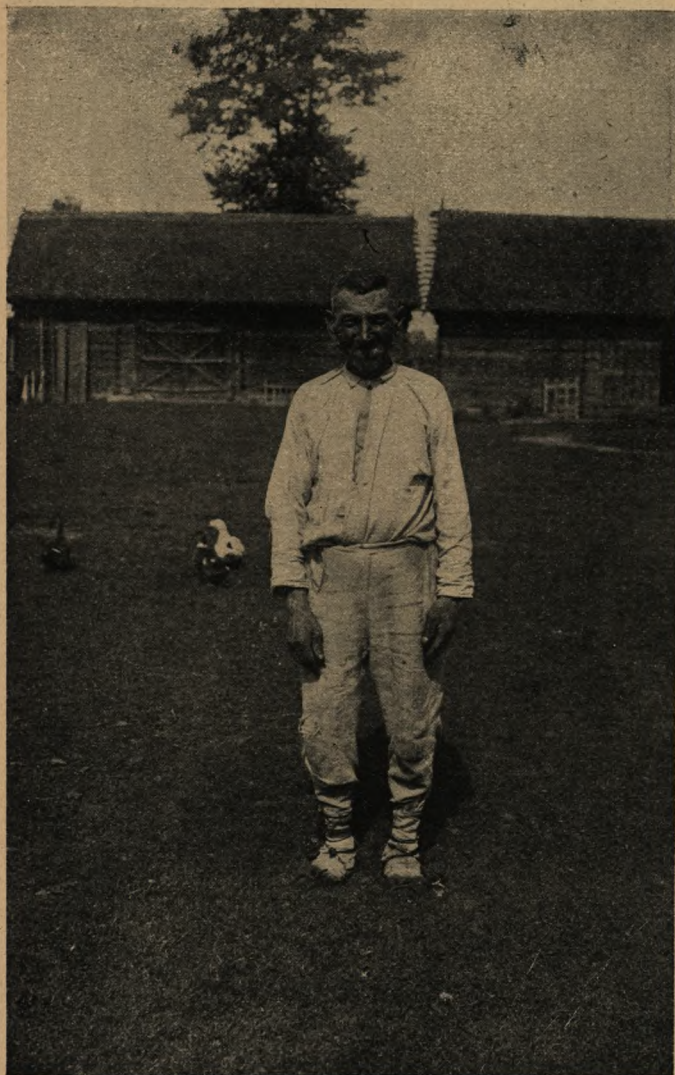
torfowisk i mokradeł, wśród których jak wiekiste przypomnienie pogromu puszczy czernieją na horyzoncie zagajniki, kępy osieroconych sosen, laski brzożowe, niedobitki puszczańskie smętnie patrzące w niebo i w jednostajność dni przemijających. Wśród resztek puszczy Kurpiowskiej, w lasach tej ziemi przedziwnej nierzadko można napotkać trawą zarosłe mogiłki, nad którymi pochylili się spróchniałe krzyże. To groby po-



Kurpianka.

wstańców, obrońców ziemi polskiej, dzielnych Kurpiów. Synowie ich i wnuki tacy są sami, jakimi byli dawni Kurpie, bo choć już nie ma puszczy Kurp pozostał puszczańskim, leśnym człowiekiem.

Dawnym przodków obyczajem buduje chaty nie w polu lecz wśród lasków, między zagajnikami, a jeśli zagajnika brak, to choć dwie trzy brzozy, dwie, trzy sosny muszą do okien jego domostwa zaglądać, żywicznym zapachem łudzić i krzepy do twardego życia potrzebnej dodawać. Na Kurpiach nie spotkacie dwurzędu chat,



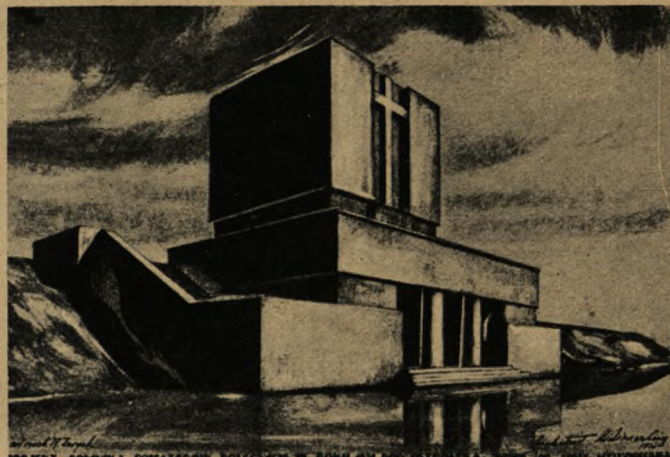
Stary Kurp.



Kurpianki przed kościołem w Myszyńcu.



Tam, gdzie jeszcze niedawno szumiała kurpiowska puszcza.



Projekt mauzoleum Powstania 1831 r pod Ostrołęką.



Kapliczka na kurpiach we wsi Lasek Białusny.

wsi na łowicką czy mazowiecką modłę skupionych. Cha-ty Kurpiów stoją z dala jedna od drugiej, poukrywane przed okiem ciekawych przejezdnych.

Panuje w nich niedostatek. Bieda dokucza Kurpiom coraz uporczywiej, bo ziemia uboga po lasów przetrze-



W lasach na Kurpiach.



Narew.



Fara w Ostrołęce.



Groby wojenne w puszczy kurpiowskiej.



Nad brzegiem Pisy.



Kurpianka.



Kurpiowska wieś — Kozioł.

bieniu stała się niewdzięczną karmicielką puszczańskiego ludu. Lecz choć bieda doskwiera coraz sroższa, choć na mokradłach i piaskach słabo ziemia rodzi, Kurp jest zawsze pogodny, wesoły i wierzy w lepszą przyszłość. Wiarę tę podtrzymuje przede wszystkim nabożność, o której najlepiej świadczy z wielkim pietyzmem na Kurpiach obchodzone święto Bożego Ciała.

Od wczesnego ranka ciągną do Myszyńca ze wszystkich okolicznych wsi procesje z obrazami, chorągwia-



mi, śpiewając w swym przedziwnym puszczańskim dialekcie pieśni pobożne.

Wali lud strojny, kolorowy z Wykrot, z Białusnego Lasku, z Łysek, Zdunek, Dąbrowy i z wielu innych wsi tej wielkiej, w samym sercu puszczańskiej ziemi, położonej parafii. A kościół w Myszyncu jest wspaniały, tak wielki, że mógłby pomieścić cały ten pracowity pobożny lud. Króluje na wysokim wzniesieniu strzelisty, szlachetny w kształcie nad małymi drewnianymi domkami myszanieckiego osiedla, nad piaszczystą, gęsto lasami poprzetykaną krainą i głosem swych dzwonów zwołuje Kurpiów z ich chat i wsi poukrywanych w zagajnikach, brzozowych laskach, sosnowych resztkach dawnych praocjowych kniei.

Wnętrze kościoła zamienia się w leśną kwietną polanę, rozgwarzoną szmerem pobożnych modłów.

Kto nie widział stroju kurpiowskiego, ten niechaj nie czyni zbyt pochopnie porównania do obrazu jaki ujrzeć można w kościołach Łowicza, czy ziemi krakowskiej. Ubiór Kurpianek inny jest zupełnie, niepodobny do ubioru łowickiego. Nie posiada tej jasnej, gorącej, słonecznej kolorowości jaka cechuje strój łowicki, różni się tak doborem barw, jak pola ziemi łowickiej różnią się kolorytem od leśnych polan i sosnowych gajów.

Jest bardziej strój kurpiowski w barwach stosowany, spokojny, bardziej pastelowy. Przeważają kolory ciemno czerwony, zielony, brązowy, biały. Puszczański lud brał barwy do swoich strojów z leśnego pierwowzoru. Z koloru owocu jarzębin, z kory dębów, liści brzoź, z zieleni mchów, z bieli kwiatów konwalii.

Nad zachowaniem stroju kurpiowskiego pracują niezwykle owocnie miejscowi duszpasterze i Stow. Młodzieży Katolickiej. Jest strój ten dostojny, poważny, rzecby można majestatyczny, bo ubiór głowy kobiecej (tzw. „czułka”) posiada w sobie coś z kształtu korony królewskiej i jest noszony przez każdą Kurpiankę z nie mniejszą od królewskiej godnością.

Nie wszystkie jednak Kurpianki noszą „czułka”. Stare kobiety, babuleńki, noszą chustki upięte w swoisty sposób. I znów gdy w Łowickiem chustki są kolorowe, tu noszą kobiety tylko białe, lub jasno żółte. A że kolor „wystek” — staników specjalnego kroju, — „jaków” — bluzek — jest najczęściej zielony, więc kościół wygląda jak leśna polana pokryta białym kwieciami.

Lecz oto formuje się procesja. Za krzyżem niesionym przez organistę w czwórkach wychodzą z kościoła młode Kurpianki. Wszystkie dorodne, hoże. Jak bukiety z leśnego kwiecia, ciągną: wieś za wsią, płyną drogą młode mieszkanki ziemi puszczańskiej. Na plecach barwią się pęki wstążek spływające od upięcia „czulek” z tyłu głowy aż nieomal do samej ziemi. Dziewczęta idą równo powoli, poważnie. Za nimi ciągnie młodzież męska. Niestety, ludowy strój męski zaginął nieomal zupełnie. Usunęło go z chat nie pragnienie nowinek ale bieda ogromna, która panuje dziś w myszynieckiej ziemi i która nie pozwala na większe wydatki, jakie pociąga za sobą kupno białej szamerowanej sukmany.

Za baldachimem ciżba ze wszystkich wsi wali jak szeroki potok wezbranego na wiosnę Omulewa czy też Narwi. Płynie fala kobiet w wełnianych i lnianych

Klasztor w Ostrołęce.

Kościół O. O. Kapucynów w Łomży.

Kurpianki w stroju ludowym przed procesją Bożego Ciała.

kitlach, tkanych dawną puszczańską modą na krosnach w czerwone, zielone, żółte prążki, a spływających sztywno do ziemi, płynie fala chłopów z rozrzwinięciem patrzących jak to pięknie po kurpiowsku ubrane są „dziewcoki”.

Śpiewają dostojnie pieśni pobożne swoją puszczańską mową. A wieczorem, gdy opuszczamy Myszyniec, słyszymy długo jak Kurpie rozgrzani swym ulubionym napojem „psiwem”, którego wypijają znaczne ilości, wesoło śpiewają:

„jeden kupił psiwa
drugi gorzałecku.
A tak ci to, a tak ci to
zdradził panienecki.
Psij, dziewczyno, psiwko,
Psij psiwko, nie bój się,
Bo tak tobie poziedywoł
Panientoj, nie zań się”.

lub też:

„Smutek się kończy, radość nastaje
Jasieniek Kasi runcke podaje,
Runcke podaje i cyste serce —
Ja ciebie kocham a insy nie chce”.

Pieśń i taniec — to żywioł Kurpiów. Zabawy są tu częste i huczne. Gość „z miasta”, który na weselisko, chrzciny czy po prostu na tańcówkę trafi, jeśli jest niewyrzmyła w nogach ma się jak niepyszny, bo Kurpianki dobrze tańczą... aż do rana.

Ale ten, kto się bawić umie „całą duszą”, gdy o świtanu opuszcza kurpiowską wieś z uśmiechem wsłuchuje się w echo takiej oto wesołej piosenki rozdzwonionej po mgłą pokrytych polach, lasach, zagajnikach:

Copecka — krymka,
fajecka — dymka
Kunicek — scurek, a sam — mazurek.

Droga powrotna z Myszynca powinna nas poprowadzić już nie przez Ostrołękę lecz na Nowogród Łomżyński i Łomżę.

Nowogród Łomżyński jest bowiem ośrodkiem życia kulturalnego i umysłowego ziemi kurpiowskiej. Tu znajdują się bogate zbiory regionalne w Muzeum Kurpiowskim, założonym przez kurpiowskiego działacza ludowego, Adama Chętnika. Cała historia tej ziemi puszczańskiej zawarta jest w zbiorach strojów ludowych, rzeźbach, wyrobach z bursztynu i drzewa, w narzędziach gospodarczych i w innych ciekawych okazach etnograficznych.

W Łomży, pomodliwszy się w pięknej katedrze z końca XV w. i w kilku innych okazałych kościołach, przyrzawszy się kilku dobrze zachowanym stylowym dworcom i kamienicom, a jeśli kto lubi sport obejrawszy jeszcze wspaniałą stadion sportowy, jakiego nie posiada żadne nasze miasto prowincjonalne. Wsiadamy do pociągu, który zabiera nas z tej jedynej niezapomnianej, uroczej ziemi kurpiowskiej.

Ale wspomnienie procesji Bożego Ciała w Myszyncu pozostaje już na zawsze pod naszymi powiekami.

Ostrołęka od strony Narwi.

Kościół sióstr Benedyktynek w Łomży.

Kurpianki.



Ostrołęka - Ogólny widok



DYR. JÓZEF LEB

SPOŁECZEŃSTWO A RODZINA

Postawienie kwestii, czy społeczeństwo może sobie dać samo radę, ma pewne uzasadnienie. Można bowiem odnieść wrażenie, że w czasach przeddemokratycznych społeczeństwo było względem siebie o wiele zaradniejsze, aniżeli w okresie panowania demokracji. Nasza dzisiejsza walka o społeczeństwo nawraca do źródeł i wyschłych łożysk przeszłości. Wydaje się nieraz, że społeczeństwo dzisiejsze nie jest już tak samodzielne jak niegdyś, kiedy było ono prostsze, szersze, uczciwsze i nie tak przemądrzałe i wścibskie jak obecnie. Społeczeństwo wskutek pewnego uporu jest dzisiaj niezaradne i oczekuje wszelkiej pomocy od sfer rządzących. Tak wiele mówi się i pisze teraz o społeczeństwie dlatego, że ludzie pragną wszelkimi środkami, jakimi rozporządzają pedagodzy, wzbudzić na nowo w społeczeństwie pewność siebie, która w nim była zanikła. Społeczeństwo może jednak oddawać usługi przez krzewienie miłości i niesienie pomocy, jeżeli nie ma się skończyć na niezdolnym do czynu romantyzmie lub dać się porwać w odmet szafu rasowego czy mocarstwowego.

Jeżeli zaś mówimy o miłości i pomocy, jako o duszy ożywiającej społeczeństwo, to wówczas dalecy jesteśmy od tego, by od tego rodzaju obowiązków uwalniać sfery rządzące. Celem bowiem musi być współdziałanie obecnych czynników, które wszak ostatecznie jedno stanowią.

To więc, czego żądamy od społeczeństwa, jest zapoczątkowanie dążności do niesienia wzajemnej pomocy we wszystkich dziedzinach życia. A więc czynna sama o pomoc. Nędzę dzisiejszych czasów można by rychło przezwyciężyć, gdyby społeczeństwo samo okazywało wolę do jej opanowania.

Ułożenie sposobu niesienia tej samopomocy musi wypływać z takich pojęć jak: rodzina, przyjaźń, sąsiedztwo, wspólność pochodzenia, a zatem z pojęć, które stanowią treść społeczeństwa.

Pierwszym i najważniejszym celem samopomocy musi być dążność do samozachowania, a więc rodzina.

Trzeba rozwinąć przede wszystkim niesienie pewnego rodzaju duchowej pomocy, pewnego rodzaju cichej, z ust do ust szeptanej propagandy: Ratujcie Rodzinę. W przeciwnym bowiem razie zginiemy. W przeciwnym bowiem razie nasza wiedza i umiejętności, nasza nauka i sztuka, nasza polityka i ekonomia — wszystko to ulegnie zagładzie. W przeciwnym bowiem razie nasze działalności i nasze fronty będą tylko mrzonką. W przeciwnym bowiem razie nasze dumne armie będą postrachem teraźniejszości — bez jutra.

Ujawnić musi się jeszcze inna duchowa samopomoc w formie przestrogi, która brzmi: „Chrońcie świętości małżeństwa!” Nie można wszak przedstawiać nędzy gospodarczej aż w takim świetle, by utwierdziło się przekonanie, że liczne potomstwo stało się nieznośnym ciężarem. Przecież każdy spośród nas zna wiele wypadków, w których bezdzietność jest spowodowana tylko potępienia godną chęcią nadmiernego używania życia. Małżeństwo bezdzietne nie z własnej winy należy uznać za niewinne. Winne jednak bezdzietności, a zwłaszcza takie, które z tego jeszcze się chepią, należy napiętnować jako zakałą społeczną. Byłaby to skuteczna samopomoc społeczna przeciw burzycielom rodziny!

Z drugiej wszakże strony trzeba również przyznać, że gospodarczy niedostatek zmniejszył liczbę zawieranych małżeństw i przyczynił się znacznie do uprawiania bezdzietności. W tym wypadku nie wystarczy najrozumniejsza i najsilniejsza choćby pomoc w formie praw i rozporządzeń wydawanych przez władze rządzące. Trzeba tu zmobilizować w całej pełni samopomoc społeczną. Ona nie jest czymś nowym, ona należy do najstarszych dóbr społeczności chrześcijańskiej. Z podziwem i wzruszeniem czytamy o wspólności dóbr u pierwszych chrześcijan, co było bezpośrednim wykwitem miłości bliźniego. To usposobienie trwa dalej, poprzez dwadzieścia wieków, aż do dnia dzisiejszego, wprawdzie z tą różnicą, że nie stanowi już ono właściwości całej społeczności chrześcijańskiej, którą widzimy dzisiaj rozbitą, lecz jest już tylko przymiotem poszczególnych jednostek, które w miłości bliźniego uznają obowiązek chrześcijański. Miłość zakłada przeto istnienie społeczeństwa, to zaś jest wytworem rodziny. W ten sposób spotykamy się oko w oko z wielką zagadką czasów dzisiejszych. Jak społeczeństwo ma pomagać rodzinie, o ile podupadła rodzina nie może wytworzyć tego społeczeństwa? — W tym pytaniu zawierają się wszystkie niedomagania dzisiejszego społeczeństwa, w uleczenie którego wielu już zwątpiło. Trzeba więc, jakkolwiek wydać się to może sprzecznością, rozpocząć działalność w łonie rodziny, o ile chce się rodzinie dopomóc. Należy tylko pojęcie rodziny rozszerzyć do pojęcia powinowactwa, a więc do wspólnoty krwi, do pokrewieństwa. Zdawać by się mogło, że w czasach, gdy tu i ówdzie daje się zauważyć rozbudzenie znowu zmysłu dla uczuć rodzinnych, nie będzie rzeczą tak trudną przywrócić poczucie naturalnego pokrewieństwa. Badania nad historią rodziny, uważane przez niektórych za jałowe zajmowanie czasu, nabierają społecznej wartości, gdyż wykazują pokrewieństwa i nawiązują dawno zerwane węzły rodzinne. Siłą rzeczy budzi się pragnienie utrzymania rodu, a co za tym idzie, chęć do zawierania małżeństw. Zjazdy rodzinne, które są gdzieś tam w zwyczajach, mają tu piękne i szlachetne zadanie do spełnienia.

Następną osią, wokół której wiruje społeczeństwo jest przyjaźń. Słusznie się wątpi w czasach dzisiejszych w to, czy kwitnie obecnie prawdziwa przyjaźń. Przeważnie spadła ona do roli koleżeństwa. Potem następuje sąsiedztwo, a więc wspólnota domu, wsi, gmin. Wreszcie wspólnota pochodzenia czyli wspólnota Ojczyzny.

Wszystkie te wspólnoty doprowadzić znowu do stanu bujnego rozkwitu jest jednym z najdonioślejszych zadań czasów obecnych. W tym celu nie wolno się jednak ograniczać do wznawiania starych tradycyjnych zwyczajów. Właściwą treścią i celem społeczeństwa jest miłość i pomoc wzajemna, wola do duchowego i cielesnego uzdrowienia i utrzymania narodu, a więc do podtrzymania rodziny.

W ten sposób odśłania się przed nami wielkie współczesne zadanie, które spełnić mają proboszczowie i zarządy gminne i wiele naszych stowarzyszeń, gdyż pomoc, którą ma nieść społeczeństwo, wymaga pewnego porządku, „diakonatu”, czyli prawdziwie chrześcijańskiej działalności opiekuńczej, podejmowanej dobrowolnie i bezinteresownie.

IZABELLA HENTSZLÓWNA

PIERWSZA MIŁOŚĆ

Było to w uroczysty dzień moich imienin i urodzin. Skończyłam osiem lat. Bliżsi i dalsi krewni przychodzili mi wieszować. Każdy niezmiennie powtarzał te same sakramentalne życzenia: „moje dziecko jesteś już dużą panienką, rośnij na pociechę mamusi i tatusiowi, dobrze się ucz, bądź grzeczna i posłuszna”.

Po kilkunastu takich życzeniach kolejność ich umiały już na pamięć. Toteż, gdy ostatnia przyszła ciocia Jadzia, cierpiąca na wadliwą wymowę, chcąc ułatwić jej wyrażenie życzeń i przyspieszyć otrzymanie prezentu, szczerze owiniętego różowym papierem, podstawiłam policzek do pocałowania poczem powiedziałam:

— Ciociu, już wiem co mi chcesz powiedzieć, — jestem już dużą panienką, powinnam rosnąć, na pociechę mamusi i tatusiowi, dobrze się uczyć, być grzeczną i posłuszną! —

Słowa te wywarły piorunujące wrażenie. Wszyscy obecni umilkli. Ciocia Jadzia jeszcze nie zdążyła wypowiedzieć żadnego słowa. Wśród grobowej ciszy pierwszy odzyskał głos mój ojciec. Rzucił mi kilka piorunujących spojrzeń po czym rzekł twardo i stanowczo:

— Przeprós ciocię i do kuchni marsz... ty... smarkata!

Rozkaz odmaszerowania do kuchni był dla mnie objawem najwyższej pogardy i kary. Poszłam pokornie i stanęłam w kąci, gorzko popłakując.

— Niech panienska nie płacze — rzekła mi Marysia — to wszystko funta kłaków nie warte, ale niech panienska nigdy nie zazna, co to jest nieszczęśliwa miłość. —

Słowa te poważnie mnie zastanowiły. Właściwie nie wiedziałam co znaczy słowo miłość, ale służącej nie wypadło o to pytać.

Przy najbliższej okazji zapytałam o to babcie.

— Babcu, co to jest miłość.

Pytanie moje wyraźnie zgerszyło babcie.

— Dziecko, zawołała przerażona, kto nauczył cię wymawiać takie nieprzyzwoite słowa. Zresztą... dodała po chwili, dowiesz się o tym później, gdy dorośniesz. —

— Babcia mądra — pomyślałam — każe mi czekać tyle lat.

Czekałam sześć lat. W czternastej wiosnie życia obudził się we mnie niezaspokojony głód lektury. Każdą wolną chwilę poza lekcjami poświęcałam książce. I wtenczas właśnie wyrobiłam sobie pojęcie, że miłość jest to potężne uczucie, które łączy dwoje pięknych ludzi, (prawie w każdej powieści on i ona są klasycznie piękni). Miłość budzi się tylko na wiosnę, gdy jest maj, słowiki, fiołki, rechoczące żaby, zapach bzów, jaśminów, czasem róż. Poza tym konieczny jest księżyc, pogodny i jasny: niekiedy bywa bezczelny, a zarazem dyskretny, wszak „księżyc nie powie, co śnią kochankowie”. itd.

Później, gdy byłam jeszcze starsza, moje pojęcie o „miłości” całkowicie się zmieniło.

A potem..... potem..... przypuścimy, że Nirwana....

Teraz dopiero, dzięki ankiecie jednego z pism stołecznych moje pojęcie o miłości (tej czysto ziemskiej) uległo znacznemu rozszerzeniu.

Początkowo byłam niemile dotknięta, jak szanujące się pismo może żądać od swych czytelników publicznej spowiedzi. Wprawdzie dyskrecja zapewniona ale...

Skoro jednak, jak pismo informowało, kilka tysięcy czytelników wzięło udział w ankiecie to znaczy, że tra-

fiła ona do przekonania. Wobec tego pismo rozgrzeszone — jest ono takim, jakim chcą je mieć czytelnicy.

Wyróżnionych przez jury konkursowe było kilkadziesiąt prac. I jeżeli ogólny poziom tych wyróżnionych był taki, jaki był, to naprawdę nie wyobrażam sobie jakie były te odrzucone. A może jury nie zdążyło wszystkich przeczytać?

* * *

Rozlało się przed obojętnymi czytelnikami „morze miłości”. —

Przytaczając skróty i fragmenty wyróżnionych prac, postaram się przedstawić próbki skondensowane miłości szerszych mas.

Jeżeli ktoś przypadkiem między wierszami znajdzie dwa zdania o sobie, może pokryć je milczeniem — dyskrecja zapewniona.

* * *

A więc na początek jakieś egzaltowane dziewczę.

Był maj, słowiki i bratki (kwiatki wiosenne).

Drogą, wiodącą między szpalerami bratków szło sobie dziewczę. W majowym powietrzu unosiły się bakcyle miłości, które jakąś niewidzialną siłą, z braku lepszego obiektu, kazały subtelnemu dziewczęciu całować aksamitne, delikatne, płatki bratków.

Nagle, jakby spod ziemi wyrósł wielki „bratek” o blond czuprynie, szepnął słodko cudowne słowo kocham, i porwał w ramiona.

Po wielu latach, tuląc usta do jedwabiu płatków, dziewczę stwierdziło, że to była „pierwsza miłość i ostatnia, miłość jedyna w życiu i najgorętsza”.

Bardzo fantastyczna była ta miłość i ten pocałunek, który rozpoczął się na płatku kwiatka, a skończył na ustach blondyna.

Byłoby to nawet ckliwo-romantyczne, gdyby nie takie sztuczne i nierealne.

* * *

Miłość fordanserki zawiera pierwiastki tragiczne.

Młodość swoją spędza w przepojonej wyziewami alkoholu sali dancingowej. W otoczeniu mniej, lub więcej pijanych gości. Może żadna kobieta nie zna właściwego oblicza mężczyzny tak jak właśnie fordanserka..

„Zresztą — pisze — jak można kochać mężczyzn, znając ich tak, jak my znamy”.

Tu przy wódce i fordanserce mężczyzna nawet najbardziej dystyngowany, który w „swoim towarzystwie” jest pełen rezerwy, pokazuje swoje właściwe „ja”, bez osłonek: jak najgorszy chłystek sypie plugawymi wyrazami i stawia fordanserce cyniczne i ohydne propozycje. My też nie traktujemy ich inaczej i lepiej. Dla nas nie istnieje pan dyrektor, pan mecenas, czy rzeźnik, ale tylko dwa typy: „fuks” i „foxtrot”. Pierwszy bez różnicy stanowiska ma portfel grubo wypchany forszą i do nich kierujemy swe wdzięczno-sztuczne uśmiechy, a drugi pęta, z którym tańczyć nie warto”. —

Zawód fordanserki wymaga „udawania miłości” do tych właśnie z wypchanymi portfelami. Toteż, gdy naprawdę kogoś pokocha, ten nie wierzy jej, bo to nie serce i uczucie kobiety, lecz pogardzanej fordanserki.

* * *

Bezwzględnie Ministerstwo Oświaty powinno z programów szkół średnich wyeliminować łacinę jako przedmiot, budzący przedwcześnie „niezdrowe instynkty” wśród młodzieży.

Pewny uczeń, kując zadane wiersze Homera z takim przejęciem wniknął w jaźń wiernej Penelopy, że wkrótce jej tęsknota przerodziła się w jego osobistą za kimś nieznanym, nieuchwytnym. Właśnie tak chciał złośliwy los, że w kamienicy, naprzeciwko okna pokoju, w którym kształcił „umysł i serce” uczeń było drugie okno, wieczorem jasno oświetlone i zasłonięte roletą.

W tym oknie stał cień, mający kobiecą sylwetkę. Cień stał nieruchomy, milczący we framudze okna.

Uczeń wykrzyknął gromko (w duszy) — „kto jesteś samotności córo tajemnicza” i zakochał się, bo był już w tym wieku, kiedy można się kochać. W sercu gościła tęsknota za tym nieznanym uczuciem. Odtąd młody człowiek kochał się, tęsknił i pisał wiersze.

Po pewnym czasie dopiero okazało się, że owym cieniem tajemniczym był tylko manekin krawcowej. Nie każdy manekin ma szczęście, aby być kochanym „pierwszą miłością” niewinnego serca kilkunastoletniego mężczyzny.

Czasem miłość budzi się już w sercu 8 letniej dziewczynki. Wydaje mi się to mało prawdopodobnym, albo też ludzie zbyt często posługują się tym słowem dla określenia zupełnie innych uczuć.

Historia dość banalna. Mała ośmioletnia dziewczynka pewnego razu, idąc ulicą do szkoły w witrynie sklepu z materiałami piśmiennymi ujrzała obrazek pазia, którego postanowiła zdobyć dla „siebie” tj. kupić.

Nie miała pieniędzy więc z drobnych oszczędności postanowiła zebrać sumę 8 złotych — cenę obrazka.

Marzenie ma się spełnić — pieniądze już są! Z radością biegnie do sklepu. I tu następuje moment pełen dramatycznego napięcia — w przeddzień paż został sprzedany. Rozpacz dziewczynki jest bez granic. Przez trzy dni chodzi z zapłakanymi oczyma. „Taka była pierwsza miłość i pierwszy zawód miłosny w moim życiu” — kończy autorka.

Tu wypada mi złożyć autorce tej nowelki słowa współczucia, że pierwszą jej miłością był tylko malowany, papierowy paż. A poza tym uwaga czysto encyklopedyczna. Zwyklej, pospolitej zachcianki dziecinnej nie należy nazywać szumnie miłością bo to brzmi śmiesznie i trochę naiwnie.

Teoria snów Freuda wśród niektórych ludzi odgrywa poważną rolę.

Pewnej pani śniło się, że w domu jej na biurku stoi fotografia, przedstawiająca młodego chłopca. Nie trzeba pisać, że chłopiec był młody i niezwyklej urody.

I tu kobieta zakochała się nieszczęśliwie w sennym widziadłe.

Racjonalista albo psychiatra taki stan nazwałby „silnym oddziaływaniem chorobliwej wyobraźni”.

Rano, obudziwszy się sama sobie składała przyrzeczenie, że musi go odnaleźć. Mija wiele dni na próżnym poszukiwaniu, podczas których ona kocha i tęskni. Wreszcie pewnego razu, na ulicy małego miasteczka ujrzała go. Ten sam, który zjawił się we śnie. Ona uśmiechnęła się do niego on do niej. Jeszcze chwila zachwytu i zanim się spostrzegła już go nie było.

„A w mojej duszy, śpiewało wszystko i radowało się i mówiło we mnie: Znalazłam. Znalazłam!”

To też było nazwane miłością.

Jednak miłość na „niewidzialnego” jest niebezpieczna. Podnieca uczucia, wywołuje zamęt psychiczny, niepokój, a wszystkiemu winna wybujała wyobraźnia.

„Ona” była studentką i mieszkała na trzecim piętrze, podczas gdy „on” na czwartym. Nie widziała go nigdy tylko słyszała kroki i głos... piękny głos, który w określonych godzinach (rano i wieczorem) śpiewał najcudniejsze arie operowe. Ona była muzykalna, toteż muzyka i śpiew wywierały na nią szczególne wrażenie artystyczne.

Kochała go, tęskniła i uwielbiała za wielki talent.

Pewnego razu, gdy nie mogła już dłużej żyć w tej miłosnej rozterce postanowiła iść na czwarte piętro i wyznać całą miłość.

I cóż się okazało. On o zgrozo! był kobietą — a jego głos to gramofonowa płyta.

Czyż nie szkoda było piękne uczucie trwonić dla jakiegoś urojenia.

Autorka ma dużo tupetu i odwagi skoro publicznie przyznaje się do tak śmiesznej pomyłki i łudzi się, że otrzyma nagrodę.

Czasem pierwszą miłością ludzi bywają i zwierzęta. Młody, kilkunastoletni chłopak pokochał poprostu wiewiórkę, którą schwymano w lesie i uwięziono w klatce.

Miłość jego trwała przez cały okres wakacyjny i pełna była poświęceń.

Z miłości dla „niej” stał się nawet złodziejem domowym. Kradł jajka, orzechy i konfitury, bo „ona” je lubiła.

A gdy nadszedł kres wakacji i trzeba było rozstać się z ukochaną tj. wypuścić ją na wolność (rodzice bowiem nie pozwolili chłopcu zabrać ją do miasta). On zaślepiony w swej miłości nie wierzył, aby ona mogła odejść od niego tak „bez słowa”.

Bolesny był zawód. Gdy wiewiórka, znalazłszy się na wolności zatrzepotała ruchliwymi ślepkami, podniosła w górę rudą kitę i uciekła do lasu. Tonąc we łzach żalu młody człowiek dopiero teraz zrozumiał głęboką sentencję stryja, że rude nie są wierne. Taka była jego pierwsza miłość.

Wprawdzie miłość do zwierząt jest bardzo piękną zaletą, ale... czy nie lepiej byłoby ją złożyć choćby rudemu dziewczęciu.

Czy przypuszcza kto, aby krowa, zwykła krowa, zwierzę tak mało poetyczne mogła być pośrednikiem miłości, czy swatką ludzi.

A jednak i tak było.

Czterdziestoletnie kobiecisko o 70 kg. żywej wagi, zapalało nagle miłością do adonisa w jubileuszowym wieku ponad pięćdziesiątkę. On lubił ją, ona jego, ale jako ludzie dawnych zasad nie mieli odwagi wyznać sobie swych uczuć, byłoby to wysoce nieprzyzwoite. I nie wiadomo jak długo trwałby ten stan wyczekiwania, gdyby nie przypadek.

On zrobił jej propozycję (o której nie mogę pisać bez rumieńca zażenowania) wspólnej kąpieli w rzece. Zgodziła się. Poszli.

W momencie, gdy zdjęła lekkie szatki i tylko w kostiumie kąpielowym zaczęła zanurzać się w wodzie (intuicją kobiecą wyczuła, że jako syrena podbiła całkowicie serce wybranego), rzuciła przelotne spojrzenie na brzeg rzeki.

Widok, jaki przedstawił się jej oczom był tragiczny.

NAGRODY ZA UDZIAŁ W ANKIECIE RODZINY POLSKIEJ

Po zapoznaniu się z treścią ogromnej ilości listów, jakie nam zostały przesłane w odpowiedzi na ankietę zamieszczoną w marcowym numerze naszego pisma, redakcja stosownie do zapowiedzi w wyżej wymienionej ankiecie przyznała nagrody w formie całorocznej gratisowej prenumeraty następującym P. T. Czytelnikom „Rodziny Polskiej”:

- 1) Oppeln Bronikowska Helena Warszawa, ul. Ks. Skorupki 8. m. 6.
- 2) Becher Eug., Borysław ul. Szczepanowskiego 158.
- 3) Bahan Piotr Sopoćkinie pow. Augustowski.
- 4) Sakówna Irena Grójec ul. Radomska 5.
- 5) Szczekatowa Jadwiga Żupawa p. Tarnobrzeg.
- 6) Striglowa Jadwiga Zakopane ul. Sienkiewicza wila „Maciejówka”.
- 7) Reyska M. Lwów Plac Jura 1.
- 8) Wasilkowski Edmund Poznań Górna Wilda 32,m.11

- 9) Tupikowa Adela Pińsk ul. Starohonczarska 4.
- 10) Swoboda Otton Kraków ul. Pomorska 2.

Wyżej wymienionym i wszystkim P. T. Czytelnikom „Rodziny Polskiej”, którzy zabrali głos w naszej ankiecie serdecznie dziękujemy. Choć nie będziemy mogli odrazu uwzględnić wszystkich wynurzeń naszych Czytelników, to jednak już teraz możemy się mniej więcej zorientować jakie są Ich życzenia. A w miarę jak będziemy mogli znaleźć odpowiednich współpracowników i jak starczą środki finansowe, życzenia te będziemy starali się realizować. Wszystkich zaś P. T. Czytelników naszego pisma uprzejmie prosimy, aby nadal pozostali wiernymi jego przyjaciółmi i tych przyjaciół zyskiwali mu coraz więcej. Wspólny wysiłek redakcji i czytelników zapewni „Rodzinie Polskiej” coraz pomyslniejszy rozwój.

REDAKCJA.

Łaciata krowa, z obojętnym wyrazem „twarzy” przeżuwała spokojnie resztki barwnej sukni i jedwabnej garderoby.

Sytuacja była okropna.

„Powietrze rozdarł mój rozpaczliwy krzyk, pisze, wyskoczyłam z wody, chcąc ratować to co już przepadło i ze złości rozplakałam się. Toć to bydlę mnie na zawsze ośmieszyło i zburzyło to moje szczęście, tak miśternie budowane.

Nagle poczułam, że ktoś mnie obejmuje i odrywa mi ręce.

— Józienko! pani Józio, nie płacz, to drobiaz, raczej wysłuchaj mnie teraz, zaraz zostanę moją żoną. Chciałem ci to dawno powiedzieć i zawsze boję się ośmieszyć, ale dziś jesteś taka biedna i bezradna”. —

Niejedna kobieta dałaby krowie najdroższą suknię, aby zdobyć męża!

Naogół epidemię „kochania” ludzie przechodzą między 13 a 20 rokiem życia.

W latach „szczenięcych” przedmiotem miłości są nauczycielki i profesorowie. Miłość ta przeważnie jest maskowana. Zakochani z obawy przed śmiesznością, kryją swe uczucia w głębi serca i kochają cichą idealną miłością.

Drugie miejsce w młodzieńczych sercach zajmują artyści i artystki, zarówno sceniczni jak i filmowi.

O jakże często sławne prymadonny nie wiedzą, że zakochany sztubak nie jadał śniadań, nie jeździł tramwajem, aby móc iść na galerię, ujrzeć ją, a potem wręczyć wiązanek narecyzów.

Sławna gwiazda czasem z naiwnej miłości sztubaka się śmieje, a w jego sercu piekło uczuć goreje.

W późniejszym wieku tj. od 20 wwyż — granica nieokreślona, miłość bywa różna. Jeden moment lub przypadek stanowi o wzniesieniu wielkiego uczucia.

Ktoś zobaczył na stogu siana dziewczynę. Widok ten był tak dla niego frapujący i oszałamiający, że w jednej chwili zakochał się w niej, oświadczył i w krótkim czasie został najszczęśliwszym mężem.

Ktoś inny znów zakochał się w dziewczynie, która podała mu szklankę wody, gdy miał pragnienie, itd.

Jeżeli można wierzyć tym wszystkim opowiadaniom to częstym objawem jest tak zwana miłość „od pierwszego wejrzenia”. Jest ona gwałtowna, namiętna, jak przysłowiowy słomiany ogień: nagle wybucha i szybko się kończy, bo on lub ona, przeważnie niezwyklej urody, okazuje się międzynarodowym szpiegiem lub złodziejem. Finałem takiej miłości jest aresztowanie, zde-maskowanie i... łzy.

Prawie w każdym wypadku miłości szczęśliwej czy nieszczęśliwej występują łzy. Wszelkich odcieni, choć na pozór są zawsze jednakowe. Są łzy radości, smutku, szczęścia, upojenia, żalu, rozpączy, nienawiści, złości itd.

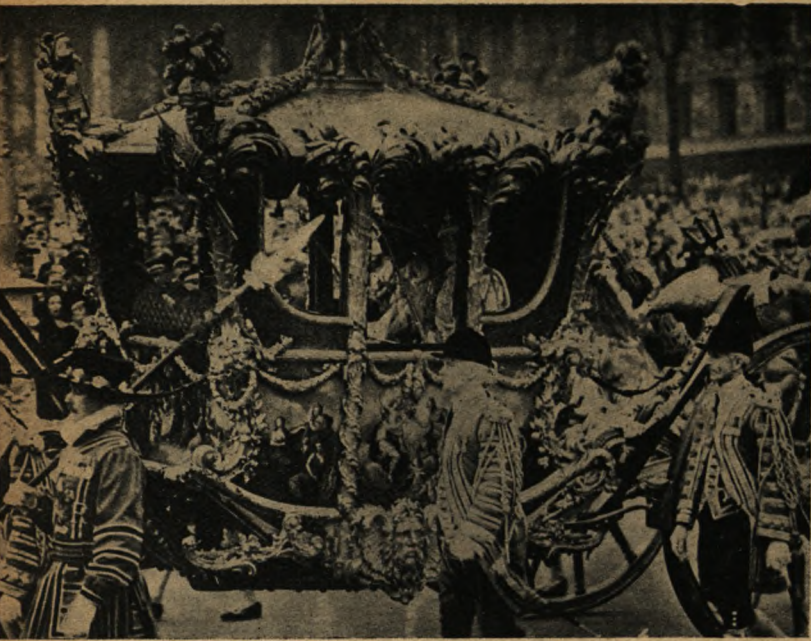
Mimo rozrzucanych powszechnie hasel jak najczęściej „uśmiechaj się” jesteśmy pokoleniem ludzi płaczących.

A szkoda. Łzy zostawmy na później, a uśmiechajmy się chociaż przy tej „pierwszej miłości”, którą ludzie przeżywają w tak różnych okolicznościach, warunkach, miejscach i chwilach.

WKŁADY OSZCZĘDNOŚCIOWE W P. K. O.

W kwietniu wkłady oszczędnościowe, jak również liczba oszczędzających, wykazują znaczny wzrost. Stan wkładów zwiększył się o 7,2 milion. zł, osiągając na dzień 30 kwietnia br. sumę 695,9 milion. złotych.

Jednocześnie ze wzrostem wkładów oszczędnościowych zwiększyła się w tym czasie i liczba oszczędzających w P. K. O. W ciągu kwietnia br. P. K. O. wydała 68.990 nowych książeczek oszczędnościowych, osiągając na dzień 30 kwietnia 1937 roku ogólną ilość 2.473.389 czynnych książeczek.



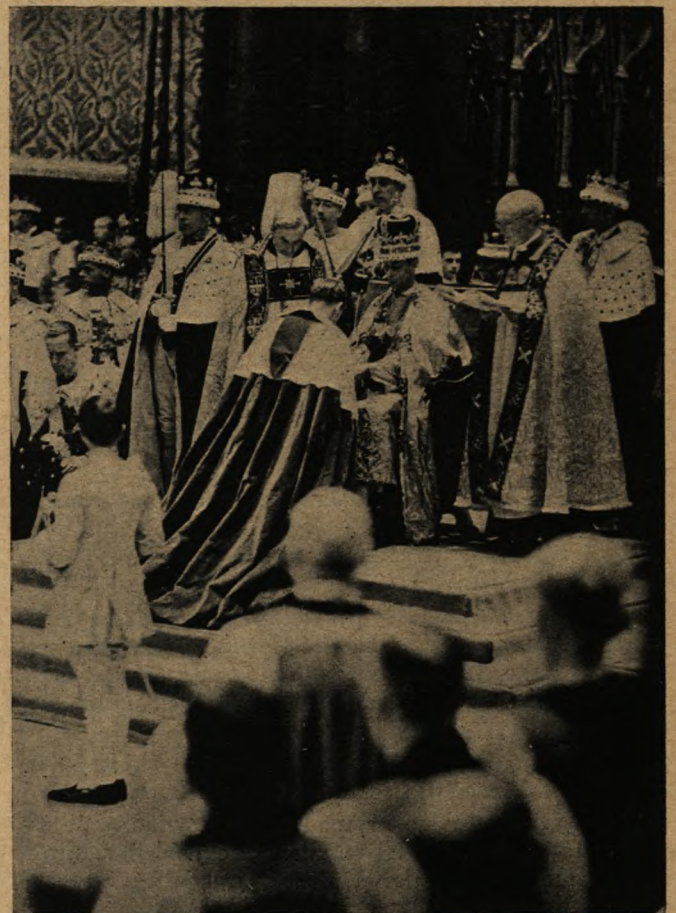
JERZY VI WŁADCA IMPERIUM BRYTYJSKIEGO UKORONOWANY

12 maja — data koronacji Króla Jerzego VI to jeden z najradośniejszych dni w dziejach angielskiego commonwealth. Anglicy niezależnie od przekonań politycznych kochają dynastię. Jest ona symbolem łączności wielkiego imperium, które też dzisiaj w wielu wypadkach opiera swą całość na kulcie korony.

Nic więc dziwnego, że koronacja nowego króla stała się aktem, który na dłuższą chwilę skupił uwagę wszystkich obywateli imperium brytyjskiego.

Całość uroczystości koronacyjnych została tak pomyślana i przygotowana, by już dosłownie miliony poddanych jego królewskiej mości mogły w niej wziąć udział.

Miesiącami całymi budowano stalowe trybuny nie tylko na trotuarach i skwerach, ale na pokładach statków i dachach 10 piętrowych drapaczy. W prostej linii długość tych trybun wynosiła 27 mil angielskich, czyli jakieś 50 klm. W rezultacie 6 milionów ludzi widziało swego króla, wiwatowało, oklaskiwało go, śpiewało „God save the king”, Bóg wie ile pieśni i piosenek, bodaj nuconych za czasów Wilhelma Zdobywcy.



Anglikański prymas składa hołd królowi.

*Złota karoca królewska.
Rodzina królewska ukazuje się tłumom.
Inwalidzi składają hołd królowi.*

Nie trudno sobie wyobrazić wygląd ulic londyńskich, zalanych tą milionową falą ludzką. Już na trzydzieści godzin przed uroczystościami zaczęła się ona wlewać w ulicę. A koło 10 wieczorem 11 maja — czyli w przeddzień, setki tysięcy ludzi już obsadzało „lepsze miejsca”. Nawet ulewny deszcz nie zdołał spędzić najbardziej zagorzałych rojalistów. Na lotnisku w Croydon był tłok... samolotów. 900 samolotów w ciągu dwu dni lądowało. Słowem ruch, jakiego nawet za 50 lat tu nie będzie, jak stwierdzili znawcy. Z braku lądowisk 5 do 10 samolotów krążyło w powietrzu. Istny latający ogonek.

Wśród tego tłumu, który potrafił przetrwać w niejednym wypadku noc śpiąc pod ścianami i na trawnikach Hyde Parku znalazło się 7 malców, skądś z odległego przedmieścia Londynu, którzy, zaopatrzeni w koce i poduszki, na razie chrapią przy ścianie pod opieką poczciwego Bobby w granatowym mundurze. — Za te kłopoty z utrzymaniem porządku zarówno policja jak i służba komunikacyjna otrzymała dziś podwójną gażę. Zresztą i każdy bezrobotny dostał też równowartość 3 zł, ba, każde dziecko 1 złociszka. W tak uroczystym dniu nie może być niezaopatrzonych i rozżalonych. Nawet najmniejszy brzdąc musi mieć uśmiechniętą minę.

A gdyby, broń Boże, minka komuś zrzędzła, gdyby jakaś dolegliwość, no to 5.500 sanitariuszy, 1.600 siostr mi-



Orszak koronacyjny przed katedrą.

Królowa przed koronacją.

Król i Królowa w Operze.

Pochód koronacyjny na ulicach Londynu.



łosierdzia czuwa na szacownym zdrowiem hołdowników jego Królewskiej Mości.

W samej katedrze zgromadziło się 8.000 osób, z których jednak tylko 500 z bliska obejrzy właściwą ceremonię, jakkolwiek odbędzie się ona na wysokim podium. Wśród tych znalazło się czterech królów norweski, duński, grecki i bułgarski, następcy tronu, księżęta i ambasadorowie.

Ten znakomity orszak zachwyca wspaniałymi strojami, purpurą i grostajem, olśniewa wzrok blaskiem koron, tiar i diademów oraz bezcennych klejnotów.

Wśród nich ciągną oko klejnoty koronne, przewiezione pod ochroną



Złota karoca z królewską parą w drodze o katedry westminsterskiej.

Pochód koronacyjny na ulicach Londynu.



Minister Beck na uroczystościach koronacyjnych.

szpaleru aut pancernych. Przez całą noc pełniła przy nich straż gwardia szlachecka, strojna w barwy czerwonozłote, i zbrojna w halabardy. Nie polegając na tych narzędziach walki gdzieś z boku zainstalowano karabin maszynowy.

Zbliża się godzina 9 rano. Na wieży parlamentu uderzył „Big Ben”, dzwon zwany „Wielki Ben”. Przez tłumy zalewające ulice, place, i wiwatujące przed pałacem przebiegł pierwszy dreszcz niepokoju. Wśród szpaleru wojsk w pięknych granatowych i czerwonych mundurach galowych suną powozy i samochody delegacji. W jednym z nich jedzie min. Beck z lordem Morseyem i kontradm. Unrugiem. Następnie jadą powozy rodziny królewskiej. W pierwszym siostra króla, księżniczka Mary z synami i z obu księżniczkami Elżbietą i Małgorzatą, córkami króla i królowej. Ich pojawienie się wprawia tłum w entuzjizm. 35.000 dzieci szkół londyńskich, ustawionych wzdłuż alei Mall wiwatuje jednym tchem bez przerwy. W dalszych powozach reszta królewskiej rodziny. Następnie w pięknej karocy matka króla Maria w towarzystwie królowej norweskiej, swej córki. Ukazanie się królowej wdowy tłumy przyjmują niemilknięcymi długo okrzykami.

Nareszcie godz. 10.30. Rusza z pałacu właściwy orszak pary królewskiej. Poprzedzają go delegacje wszystkich rodzajów armii całego imperium.

Zachwyt budzą słynni indyjscy lansjerzy. Za armią suną sztaby marszałków polnych, lotniczych, admirałów.

8 wspaniałych siwoszy ciągnie piękną karocę królewską, połyskującą złotą patyną. Na jej widok tłumy rozszalały się od okrzyków, wiwatów, oklasków.

Radosna wrzawa toczy się ogromną falą nad głowami ludu, niby burza wiosenna.

Za powozem gwardia pod wodzą sędziwego marsz. polnego lorda Cavana. Zanim konno bracia królewscy, książęta Henryk i Jerzy.

Punkt 11 orszak wkracza do katedry. 11 m. 15 biskup Canterbury oznajmia początek panowania Jerzego VI, „z Bożej łaski króla W. Brytanii, Irlandii, Dominów, Wielkiego Imperium i krajów zamorskich”.

Z kolei następują: namaszczenie skroni i dłoni, wręczenie berła, modły, koronacja właściwa i intronizacja. Salwa armatnia 62 razy oznajmia światu dopełnienie ceremonii. Książę Gloucester zbliża się do brata całuje go w lewy policzek i składa przysięgę na wierność. Zbliżają się z kolei lordowie z lordem wielkiej pieczęci na czele i składają hołd. Jeszcze minut dziesięć poświęcić trzeba ceremonii ukoronowania królowej. Następuje nabożeństwo dziękczynne.

Każdy moment ceremonii notuje skwapliwie 300 dziennikarzy, którzy znaleźli się w świątyni.

Wreszcie o godzinie 2 po południu para królewska w koronach na głowie i płaszczach monarszych udaje się pochodem

koronacyjnym przez Londyn do zamku. Na falach eteru płyną relacje spaekera, drżące wzruszeniem. Nic dziwnego, to przygodny widz, przypadkiem zablokowany w budce, zastąpił funkcjonariusza British Radio który nie zdołał precyzyjnie się na swój posterunek. A potem znów audiencja, bal na 6.000 osób. Feeria przepysznych strojów, konkurs piękności pań, egzotyczności osób, nie wyłączając potomka rabinów Litwinowa-Wałacha, reprezentującego Z. S. S. R. w białych pończochach i atłasowych spodeńkach niby Jankel z rysunku Andriolego.

Lud pod zamkiem wiwatuje domagając się ujrzenia umiłowanej królewskiej pary i księżniczek. To królewska rodzina odpowiada sentymentom i tradycji narodu. który z takim oburzeniem przeciwstawił się pomysłom mariażowym Edwarda z dwukrotną rozwódką. Dzień 12 maja to nie tylko triumf imperialnej potęgi Anglii ale to triumf cnót życia domowego, których wzór daje nowo ukoronowany król i jego żona.

St. Radost.

Drużki angielskie.



LUCYNA KOTARBIŃSKA

PRZEDSTAWIENIE PASYJNE

(Fragment „Z moich wspomnień”).

W starym zajeździe w Budziejowicach (Budweis), w głębi mrocznego korytarza, na pierwszym piętrze, zobaczyłam wielki krzyż, z przybitym, naturalnej wielkości, Chrystusem. Na pochyloną głowę i włócznie zranione ciało, promienie dziennego światła padały gdzieś z góry, z wysokości dwu pięter. Obraz ten, w tak bezmownym przybytku, jakim bywa zwykle każdy hotel, wydał mi się jakimś nadzwyczajnym prawie zjawiskiem. Dopiero, kiedy w dalszej podróży po kraju spotykałam na każdym kroku kapliczki, ołtarze ze stacjami, figury świętych, na każdej rzecznej wysepce, krzyże, na każdym, przypadkowo strąconym w jezioro odłamie sterczącej skały, zrozumiałam, że jest w tym wszystkim objaw szczerej, prostej wiary.

I pod wpływem tych wrażeń, tym chętniej znalazłam się z mężem w Horzycach (Höritz, w Lesie Czeskim), aby oglądać „pasyjne przedstawienie”, trwające tam wówczas tylko przez miesiące letnie, od 14 maja do 9 października, a dawane w niedziele i dni świąteczne.

Pociąg nasz stanął przed niewielką stacyjką. Mrowie ludu się z niego wysypało. I, od razu, zaczęły się odzywać pojedyncze głosy, wymieniające numery, a na ten zew zjawiał się człowiek z latarką i ofiarowywał swe usługi w odprowadzeniu do miejsca zamieszkania, co już było uprzednio korespondencją omówione i ułożone. Niebawem, wśród ciemnej nocy, snuł się wąż, znaczący drogę światłami latarek, które jak robaczki świętojańskie migotały, a za którymi sunęli przybyli podróżni, niby cienie, po wijącej się ścieżce, do miasteczka, ukrytego we wzgórzach, jak na miejscowe warunki dość oddalonego od stacji. Od razu tworzył się nastrój niesamowity, tajemniczy. Wszyscy szli w milczeniu.

Naraz, przewodnik nasz przed jakimś małym domkiem stanął. Zapukał. Drzwi się otworzyły. Weszliśmy w gościnnie czekające na nas — progi.

Niski, mały pokoik, porozwieszane na ścianach wizerunki Świętych Pańskich, woń z kilku róż, stojących na stole, białą przykrytym serwetą, bluszcze rozpięte na białych firankach, małych okienek, wszystko to tchnęło jakąś sielanką. Mimo swej naiwnej prostoty, ładnie tu było, bo wybielone ściany aż łuną biły od czystości, ale jednocześnie wprawiało w zdumienie, że właśnie w tym zaciszu, w którym, na pozór, nic nie zdradzało jakiejś wyższej cywilizacji, obiecującej wygodę, ale jakże często do znudzenia banalnej, jest coś innego, jakiś prymityw, który jednak, z różnych krańców świata ludzkie zjeżdżają oglądać.

Godzina była jeszcze wczesna, nie było dziesiątej. Jest cisza, wśród której z odległości słyszymy jakieś monotonne dźwięki, dające jakby nakazy czy polecenia. Dźwięki te, co chwila głuchną, by znowu pełniejszym tonem ozwać się bliżej i jeszcze bliżej. Aż! pod naszym widnym okienkiem na pięterku słyszymy już do nas zwrócony monotony rytm słów, które nam przypominają, że dzień się skończył, że chwalać Imię Jezusa Chrystusa, należy z myślą o Nim gasić światło i złożyć głowę do spoczynku.

Zdmuchnęłam świecę. Budzimy się po przespanej, na jeden bok, nocy w puchach pierzyn, wypoczęci, pełni wewnętrznej radości.

Dzień jest jasny, słoneczny. Z okien naszych widać jak na dłoni w dół za wsią wijącą się drogę, która po

nabożeństwie, zaroila się ludem, a powiewała z dwu stron, niby wąż skrzydlaty, barwnymi flagami, jasno rysującymi się na prześlicznej sielskiej panoramie.

Małą wioskę, Horzyce, murowaną, wybieloną, otaczają dokoła zielone wzgórza. — Na jednym z najwyższych pagórków, z daleka za wsią — kościół, na drugim las jodłowy, a na tle tej zieleni stoi skromny, drewniany budynek — to Teatr.

Na jego frontonie zamiast allegorii muz powiewnych, znaczą się z daleka godła Męki Pańskiej.

Ruch tam — niby w mrowisku.

Jedni kupują afisze, fotografie, karty. Inni, przybyli dziś rano, umieszczają podróżne bagaże za numerami. Są tacy, co czytają sobie cicho, lub czytając głośno drugim — tekst przedstawienia. Aż! strzał jeden, drugi, elektryzuje wszystko — na chwilę.

To sygnał bliskiego, bo za pół godziny, mającego się zacząć przedstawienia. Ruch się wzmagą. Gwar rośnie. Z przyspieszonym tchem bieży fala przybywających, aż nagle, szerokie, poważne tony napełniają powietrze. Nastaje cisza. A wśród niej archaiczna muzyka raz, drugi i trzeci, groźnie huczy trąbami. Jest coś uroczystego w tej chwili. Dreszcz mnie przeszedł od stóp do głowy. „Taka będzie muzyka na Sądzie Ostatecznym”, mimowolnie myślę. Tłum zmiłkł, jakby na chwilę skamieniał. W powietrzu słychać jeszcze tony przebrzmiałej fanfary, wybranej z czterech krążanków — na cztery światła strony. Już teraz słychać tylko syczenie maszyny elektrycznej w pobliżu, kiedy w spokoju i milczeniu wchodzimy do wnętrza budynku.

Wielki teatr, mieszczący do dwu tysięcy osób, ma tylko amfiteatralnie ustawione numerowane ławki jedne za drugimi. Prowadzi doń, z każdej strony szesnaście drzwi, z zewnątrz zasłoniętych ciemnymi wołkami.

Pierwsze przedstawienia dane tam były w 1893 r., a widzów podczas szesnastu sezonowych widowisk przesuwało 30.000. Fundusz na założenie teatru, w kwocie 60.000 zł dał Związek Böhmerwaldzki, a z dochodów, jakie dają przedstawienia, trzecią część wycofywa na kapitał, dwie trzecie przeznaczając na dochód dla aktorów, wydatki dyrekcji, administracji itp. Tradycja pasyjnych przedstawień sięga jakoby aż 1716 roku i opiewa, że do roku 1840 nie używano żadnych innych akcesoriów jak codzienne ubrania i że dopiero w 1890 roku Walentyn Schmidt, pierwszym artykułem w tym przedmiocie drukowanym, zwraca uwagę Związku Böhmerwaldzkiego na owe przedstawienia. Ludwik Deutsch zostaje mianowany dyrektorem, a rezultaty jego pracy są znakomite.

Przedstawienie rozpoczyna się o godzinie 10¹/₂ z rana. Na kurtynie, pośrodku, w owalu z Wniebowstąpienie Pańskie, po bokach, w okrągłych medalionach: Narodzenie i Ukrzyżowanie, a wśród ornamentów, na wijącej się wstędze gotykiem wypisane: „Ehre sei Gott in der Höhe” i „Et ist vollbracht”.

Na proscenium pojawił się miejscowy wieśniak, bez żadnej charakterystyki, w zwykłym odświętym stroju. Poprawną dykcją, bez deklamacji, z wielką prostotą, wypowiedział prolog z tekstu, napisanego przez Pawła

ST. BACHAŃSKA

DZIECI HUCULSKIE W WARSZAWIE

Czarne, szeroko rozwarłe źrenice z nienasyconą ciekawością patrzą na wysokie domy, auta, tramwaje i ludzi stolicy.

Jakie to wszystko nowe, nieznane. Zupełnie inaczej niż u nas!

Przyjechała do Warszawy na kilka dni wycieczka dzieci szkolnych z Huculszczyzny. Przybyli z daleka, bo aż z Żabięgo i z Zielonej, skąd 5 godzin trzeba było jechać wozem do Worochty, a stąd dopiero koleją do Warszawy.

Po raz pierwszy w swoim życiu dzieci te jechały pociągiem. Nic też dziwnego, że podróż i wrażenia oglądanych „cudów” miasta oszołomiły je.

Organizatorzy wycieczki tj. 89 drużyna harcerska przy Gimn. Męskim im. Bolesława Prusa w Warszawie

łącznie z Kołem Rodzicielskim przy tymże gimn. oraz Tow. Przyjaciół Huculszczyzny poza kosztami materialnymi (organizacje te finansowały całkowicie podróż i pobyt) ponieśli wiele starań i trudów, aby małym i miłym gościom pokazać wszystko to, co stanowi chlubę lub pamiątkę Warszawy.

A więc przede wszystkim Belweder, gdzie bić przestało serce, które nade wszystko kochało młodzież. Potem Zamek Królewski, Stare Miasto i Łazienki. Następnie złożenie wieńca na Grobie Nieznanego Żołnierza. Wizyta u p. min. Kasprzyckiego. Dalej zwiedzanie lotniska, Zoo, teatr, kino „Roma”, występ w Polskim Radio itd.

Olbrzymie wrażenie wywarła na dzieciach rewia w dniu 3 Maja.

Na własne oczy widziały samego Pana Prezydenta.

Dokończenie art. „Przedstawienie pasyjne”.

Gröllherela, a opracowany przez proboszcza Karola Landsteinera.

W prologu tym, mówi publiczności, że od niedawna, mając nowy i piękny budynek, już nie tylko dla ludu samego, ale dla całego świata dają przedstawienia.

Skończył. Zasłona się otwarła.

Wysoko wśród obłoków, jasności i słońca siedzi na tronie Pan Bóg. Białe włosy okalają Jego pogodne czoło. Druga biała broda spływa z łagodnego oblicza. Otacza Go niezliczona liczba aniołów. Z wielkimi skrzydłami jedne, z mniejszymi inne. Nareszcie wieńiec maleńkich skrzydełek od ramion dzieci o rumianych, pełnych twarzączkach u stóp Stwórcy. Szaty wiotkie, powłóczyście. „Cały obraz, owiany jakąś bezfrasobliwą pogodą, słodyczą, spokojem, którym towarzyszą tony pieni anielskich.

— Ja to już gdzieś widziałam — znów myślę. — Widziałam napewno — ale gdzie? Nie wiem. Niepokoi mnie to. Gdzie widziałam Naraz — już wiem! Widziałam ten obraz we własnej dziecięcej wyobraźni, kiedy się uczyłam religii z Katechizmu ks. Puciatyckiego. I ten „Sąd Ostateczny” z muzyką stamtąd brał początek i chętnie dałam się opanować tym wspomnieniem i do przedstawienia jestem pod urokiem wszystkim, co mi w tym dniu do widzenia podają.

Oboje z mężem zasłuchani, zapatrzeni zostajemy — pod technieniem tej wiary, której wyraz tak piękną otoczony powagą w całym zespole. Tak wielkie mam w duszy uwielbienie dla Chrystusa Pana, tyle serca, na ile mnie stać, składam zawsze w pokorze przed tym Bogiem, pełnym ofiarnej miłości, przebaczenia i miłosierdzia dla biednego człowieka, że bałam się, aby mi tu jakiś ktoś — nie sprofanował tej pięknej postaci. Więc oddychać przestaję, gdy się ma ukazać. I, nie wiem, czy działa sugestia, tworząc mnie bezwonną wobec nowych wrażeń, ale nie tylko nie mnie nie obraża, wszystko mnie zachwyca: śliczny głos, powaga ruchów, szlachetność giestu i głowa z obrazu Dürera. Wszystko to harmonijne, wszystko w każdej sytuacji tak pełne godności i boskiego spokoju, panującego nad całą gamą przeżywanego tonów, zachwyta i uwielbienia, tryumfu i zwycięstwa, szyderstwa i w końcu zbrodni, że kiedy wreszcie

staje krzyż na Golgocie, a błyskawice oświetlają ciało Ukrzyżowanego, kiedy wichry wyją, kiedy pioruny huczą, głusząc jęk Matki bolejącej, kiedy niebo w czarne odziane chmury czasem przetnie tylko krwawa smuga, i kiedy dwa tysiące osób w teatrze i płacze i szlocha — i nam łzy płyną najczystszy wyrazem wzruszenia, wywołanego tą prostotą — z jaką objawia się głęboka wiara odtwórców tego jedynego w swoim rodzaju przedstawienia.

* * *

Nazajutrz nie mogliśmy się zdecydować na jechanie koleją. Bodaj pieszo, byle nie rozproszyć wrażeń i nie rozrzucić ich po tym wagonie, który będzie turkotał, szarpał, trząsł i ciągle obrażał nasze uczucia swą względem nas obojętnością. Pragnęliśmy skupienia i ciszy.

Więc nie pieszo, skoro to niemożliwe, ale dotarliśmy do św. Piotra, kowala, który zaprzęgnął doskonałego konika do wózka, wioził nas bardzo wolno po pięknym kraju, opowiadając — że nikt, z biorących udział w przedstawieniu nie charakteryzuje się. Że każdy jest do swej roli „dobry”. Że św. Łukasz jest siwy, więc gna go stary rolnik aż z drugiej wioski. Że na św. Jana młodego nauczyciela szkolnego obrał sobie przed paru laty — reżyser. Że Matka Boska, w ostatnim obrazie, to właśnie starsza siostra tej pięknej, młodej Matki z poprzednich scen, a która, jakby dla nas właśnie, ukazała się w tej chwili na ścieżce zza górki idącej, cała w promieniach i jasności słońca. I spłoniona opowiadała nam, że jej synek mały Hans, którego prowadziła za rączkę, pełni także wśród aniołków skrzydlatych służbę u stóp Twórcy w Niebiosach.

Kilkanaście kilometrów przeszło niby chwila. Dotarliśmy do jakiejś przystani jeziora, którego statek — zabrał nas i przewiózł po gładkiej tafli swej drogi, aby znów wpaść w gwar skupisk ludzkich i podziwiać na każdym kroku wyniki ich pracy na drodze postępu i cywilizacji w gwarnej stolicy.

Inny to rytm — aniżeli ten, którym św. Piotr nas prowadził do cichej przystani wodnej — ale jakże bogaty w świadectwa duszy i umysłu, najdoskonalszego tworu Bożego — człowieka. —



Minister. Gen. Kasprzycki przyjmuje dzieci huculskie.

Wojsko; konie! Ale nie takie małe jak u nich w górach, mówi mały Wasylek, a wojsko to tyle, że chyba sama pani nauczycielka nie zliczyłaby.

Uwagę warszawiaków zwracały śliczne, regionalne stroje.

Koszule ze zgrzebnego płótna, ozdobione na rękawach barwnym haftem. Spodnie długie czerwone lub czarne. „Kreptarki” (kożuszki) również haftowane.

Kierpce-trepy tzw. „postały” i torby, wyszywane kolorową włóczką.

Na głowach płaskie, czarne kapelusze z haftowanymi włóczką „czerwaczkami” i „trysunkami” z koralików.

Dziewczęta na głowach noszą barwne chusteczki. Rękawy koszul stanowią istne arcydzieła sztuki. Hafty misterne i artystycznie wykonane przez same dziewczęta. Toteż z dumą demonstrują swoje stroje i tłumaczą w jaki sposób należy „układać krzyżyki” (ściegi).

Na zakończenie podwieczorek w gimnazjum z udziałem pana dyrektora C. Jędraszko, profesorów, przedstawicieli Tow. Przyj. Huculszczyzny, Koła Rodz., harcerzy i zaproszonych gości.

Mimo widocznego zmęczenia dzieci chętnie dzielą się wrażeniami.

Smagły Iwanek w przyszłości chce zostać lotnikiem. Nieźle orientuje się w konstrukcji samolotów. Doskonale wie jaka jest różnica między szybowcem i samolo-

Dzieci huculskie przed Grobem Nieznanego Żołnierza.



tem. W Luna-Parku chciał jechać kolejką, ale mu nie pozwolono, — skarży się. Czarnooka Marijka wstydzi się powiedzieć, kim chciałaby być w przyszłości. Wreszcie w sekrecie, na ucho mówi mi, że chciałaby zostać „panią” i mieszkać w mieście.

Wasyłkowi najbardziej podobały się statki i wielka Wisła.

Naogół wyczuwa się, że w tych głowinach Huculąt panuje wielki zamęt i chaos. Nadmiar wrażeń i emocji!

Urozmaiceniem tego wieczoru były tańce regionalne.

Pierwszy tzw. „Reszoto” — jeden z najstarszych tańców. Tańczy się go parami, choć zasadniczo tańczy tylko mężczyzna — kobieta zachowuje się biernie.

Kołomyjka ma żywsze tempo. Mężczyźni tańczą i jednocześnie przyśpiewują. Przyśpiewki te są komponowane przez „domorośliwych wierszokletów” i powinny być zawsze aktualne — odpowiednie do pory roku, czy też innych okoliczności.



Dzieci huculskie.

Najstarszy taniec „Arkan”. — Tańczą go sami mężczyźni na połoninach przy ogniskach. Tańce te wykonane przez dzieci wywołały powszechny zachwyt i rzęście oklaski.

Na zakończenie wszyscy zebrani zostali obdarowani pięknymi, własnoręcznie wykonanymi pisankami huculskimi.

Po polsku dzieci mówią nieźle i dość poprawnie. Brzmi to trochę paradoksalnie, że słowa te pisze się w Polsce i o polskich dzieciach. Ale niestety, gdy zapytałam kilkoro dzieci jakim językiem posługują się w domu — brzmiała jednakowa odpowiedź po r u s k u. Smutnie to.

Toteż myślę, że trudy, poniesione przy wycieczce przez wyżej wymienione organizacje nie pójdą na marne.

Teraz łatwiej dzieci zrozumieją, że Polska to nie tylko ich rodzinna wioska w górach lub opowiadanie na lekcji historii i geografii ale i Warszawa ze swymi zabytkami. Horyzont myślowy niewątpliwie się rozszerzył, — i to jest najlepsza metoda propagowania uświadczenia narodowego i przysparzania Ojczyźnie ilości obywateli, nie tych ze „statystyki”, ale tych, którzy Polskę kochają.

JÓZEF BIRKENMAJER

4

PISKOLEK

Jakże zdziwił się poczciwy Brysio, gdy spostrzegł, że mu chłopcy wcale nie odpowiedzieli na jego powitanie! Tadzio podbiegł do swego kapelusza, ale go chwycił za rękę Dydak:

— Ostrożnie, bo ci to jeszcze ucieknie!

— Już pewnie uciekło, jeżeli miało nogi! — zadrwił Robert; — jakoś kapelusz wcale się nie rusza! Pewno tam pod nim nic nie ma!

Mylił się jednakże. Gdy przy zachowaniu wszelkich ostrożności podniesiono wreszcie rąbek kapelusza, coś się tam poruszyło pośrodku — prawda, że niezbyt żywo. To „coś” wcale nie miało zamiaru uciekać.

— Ależ to mały ptaszek! — zawołał Witek.

— Pisklę — poprawił lubiący ze wszystkim ścisłość Robert. — Przecież widzisz, że jeszcze nie ma pierza.

Istotnie było to pisklę maleńkie, nieopierzone, ni z pierza, ni z mięsa. Mniejsze było od kurczęcia i mniej od niego kształtne, a w ruchach swych i postaci zgoła nieporadne. Dziobek miało żółty, jak to był Tadzio zapowiedział; na główce nieco czarniawej uwydatniała się żywszymi plamkami paru oczu, patrzących bystro choć w przerażeniu. Reszta ciała ptaszyny była koloru popielatego; nóżka były niedołążne i zwinięte pod brzuszkiem — a pazurki na nich zdawały się nie mieć ani ostrości, ani kształtu.

— Jaki to ptaszek i skąd się tu wziął? — zadawali sobie pytanie chłopcy. Umieli rozeznawać większość upierzonych już ptaków — ale pisklęta, jak wschodzące dopiero spod ziemi listki trawy, wszystkie są mniej więcej do siebie podobne, nieukształtowane jeszcze jako ta glina, z której różne formy dopiero garncarz ulepi.

Gdy sobie nad tym lamali głowę, nadeszła Piegżyna i sama pierwsza wyjaśnił kwestię:

— O laboga! Któż to haw to jaskółczątka z gniazduka wyrzucił? Dyć to obraza Boska jaskółkę ukrzywdzić!

I podniosła smutne oczy ku strzesze obory, pod którą widniały żalosne szczątki rozbitego jaskółczego gniazda, do stłuczonej kropielnicy kościelnej podobne. Teraz dopiero chłopcy zauważyli wielki okrucieństwo błotnego lepiszca, leżąca na ziemi tuż pod progiem obórki, a dalej garstkę rozwianych piórek i źdźbeł, stanowiących wyściółkę ptasiego legowiska.

— Pewnikiem to Staszek Mazgaj gniazduko ozwał. Temu chłopokowi zawdy ino zbytki w głowie! — domyślała się Piegżyna i kwiliła nad rozbitym gniazdem, jak ten ptaszek, piegża, co był jej chłopca imiennikiem. Dobre serce gosposi zawsze tak samo cieszyło się ludzkim czy zwierzęcym szczęściem i radością, jak i smuciło się nieszczęściem każdego Boskiego stworzenia. Sama dzieci nie miała, to kochała dzieci cudze, choćby to były dzieci kokoszy czy jaskółczych.

Chłopcom też żal się zrobiło małego pisklęcia.

— Przystawię drabinę i odbuduję gniazduko, a potem włożę tam jaskółkę — zdecydował się Robert.

— Ni, lepiej niech panicz ostawi tę robotę. Przyndają ojciec i matka tego ptoska, to se dziecko weznom, a gniazduko ulepią. One to ta do tego nalepiej smysłne... Ale kady to one poleciały, co ich tak długo nie widać? — Gdzie to one zabawiać się mogom?

— Haw! haw! — zaszczekał nagle Brysio i zerwał się znów z barłogu, zwracając nagle roziskrzona ślepią

i lśniące groźnie kły w stronę chruścianego płotu, oddzielającego podwórze od warzywnego ogródka; zabrzączał łańcuchami jak na alarm i z całą zajadłością, jaką zazwyczaj tylko wobec złodziei i rabusiów okazywał, oznajmiał na całe podwórze: — Haw! haw! haw!

Poczem jał warczeć głośno i złowrogo, jakby w nim bulgotała złość kipiąca. Zajadłość ta zdumiała i zastanowiła wszystkich obecnych, bo nawet stara kwoka spojrziała z ukosa w ową stronę. Piegżyna, ledwo na płotek rzuciła okiem, natychmiast przyznała słuszność Brysiowemu słowu:

— Haw! Juści ze haw! Ciewy go tam, jak se szpacyruje beskureja!... To on zawdy taki!... Domu nie uszanuje, wszędzie psoci, wywłoka i przybłęda! Nawet bidnemu ptokowi w gniazduku spokoju nie do!... Pockej! Zaro jo ci tu pokozę!

Mówiąc to, wygrażała pięścią w stronę, gdzie od okapu obory przekradał się onym płotkiem ku ogródkowi wielki bury kot, ciemno przegowany. Poznali go chłopcy odrazu: był to stary kot odludek i samotnik, któremu oni lubili nadawać miano tygrysa, który jednakże we wsi nosił inną, bardziej stosowną nazwę: Kot Dzikawy. Był to wróg wszystkiemu i wszystkim. W całej okolicy nie było nikogo, kto by go lubił, kto by go nie szczał i nie wypędzał za pierwszym jego ujrzeniem. Tylko że ujrzeć Kota Dzikawego było niełatwo, bo czaił się on podstępnie po wertepach i zakamarkach, skąd wypadał zniemacka na upatrzoną zdobycz, po czym znikał zwykle równie prędko jak się był pojawił. Zwykłym miejscem jego pobytu był las gromadzki, gdzie polował na pomniejsze ptactwo. Stąd to zapewne pochodziło, że w tym lesie tak było glucho i smutno, że tak rzadko tam się rozlegały śpiewy. Do wsi Kot Dzikawy nie często zachodził, bo go tu spotykały złowrogie psie głosy i ludzkie wymyślenia; nawet koty inne, których we wsi było sporo, witały go niechętnie, parskały i fukały na niego nieprzyjaźnie, bo nie dość że patrzył na nie z pogardą jak wolny wojownik na scherlatych niewolników, ale ponadto wydzierał im podstępnie kęsy jadła i miski mleka, zapracowane rzetelnie wierną służbą u ludzi.

Ten to Kot Dzikawy przekradał się teraz przez ogródek Piegżów ku gromadzkiemu lasowi na Brandyse, w śniadym pysku, znad którego wyblyskiwały zjeżone ogromne wąsiska i żółte, jarzące się ślepią, niósł zdobycz uprowadzoną z Piegżynego obejścia. Na widok skierowanych przeciw niemu pięciu twarzy ludzkich i szóstej psiej sprężył się w sobie, ogonem wymachnął kpiąco czy złowrogo — i jednym potężnym susem przeskokczył na przeciwległy płot ogródka, skąd już bez trudności wydostał się na łąkę pobliską, od której łatwą miał drogę ku lasowi. Przesłoniły go malwy i słoneczniki oraz przegięte przez ów płot drzewa śliwowe. Kamień rzucony za nim przez Roberta nie dosięgnął celu. Jedynym śladem niedawnej bytności drapieżnika było kilka piórek białych i czarnych, które porwane pędem kociego skoku wzbity się nad płotkiem i ważyły się przez chwilę w powietrzu, po czym wirowym ruchem z wolna spłynęły na ziemię.

Piegżyna, widząc, że zbrodniarz oddalił się i że już nie zagraża życiu pisklęcia, schyliła się nad onem, leżącym na ziemi bezwładnie i poczęła znów się żalić:

— Toś ty samo ostało na świecie, ptaszątko niebogię, siroto bez ojca i matusie! Zezerł ci ich oboje ten bez-



Nigdy nie jest zapóźno myśleć o zdrowiu tym bardziej, jeżeli cierpisz na chorobę: nerek, pęcherza, wątroby, kamieni żółciowych, zły przemiany materii, na bóle artretyczne, czy podagryczne, wzdęcie brzucha, odbijanie się lub skłonności do obstrukcji. — Pamiętaj, że nigdy nie będzie za późno, o ile używać będziesz ziół moczopędnych „DIUROL”, które zapobiegają nagromadzeniu się kwasu moczowego i innych szkodliwych dla zdrowia substancji, zatruwających organizm. — Dziś jeszcze kup pudełeczko ziół „DIUROL”, a gdy przekonasz się o dodatnich skutkach ich działania, zalecać będziesz swym znajomym. Sposób użycia na opakowaniu. Oryginalne ZIOŁA „DIUROL” GASECKIEGO (z kogutkiem) sprzedają apteki i składy apteczne.

wstydnik, drapichrust bezechny!... Któż cie to teraz przygarnie, przytuli, ogrzeje, kto ci gniazdko zbuduje, jeść i pić poda? Kto lotać nauczy?

— My! — jak jeden mąż oraz wali się zgodnie wszyscy czterej chłopcy, tą samą nazwą ożywni myślą.

Pięgżyna popatrzała na nich — i roześmiała się pomimo woli:

— A potrafiom to panice? Dyć nie potraficie sami sobie jeść uwarzyć, ani domu zbudować, ani skrzydeł przyprawić... a poradziłobyście w tym dopomóc takiemu ptkowskiemu małemu?...

— Ja potrafię! Ja też jestem mały! — zawołał z przekonaniem Tadzio.

— Ja mu potrafię gniazdo zbudować — spokojnie i z rozwągał oświadczył Robert.

— Ja mu będę muchy łowił! — zawołał Witek, który był najrzęczniejszym łowcą owadów, a w chwytaniu much celował jeszcze jako małe dziecko, co czynił był zwykle podczas śniadań, dzięki czemu w rodzeństwie urosła jakaś związana z nim legenda o „herbacie, ale tej z muchą”.

Jeden Dydak milczał. Skoro bracia rozbrali już inne wspomniane przez Pięgżynę czynności opiekuńcze, tedy na niego przypadło zadanie najtrudniejsze: nauczenie jaskółki lotu... Wprawdzie otyły Dydak nieraz sobie pośpiewywał ulubioną piosnkę:

A ja lecę jak skowronek,
a ja lecę pod niebiosy...

Ale takiego lotu nigdy jeszcze nie próbował i nie wyobrażał sobie, jak podobna próba w praktyce wygląda. Cała pociecha była w tym, że latanie nie było jeszcze rzeczą nagłą, ponieważ pisklę nie miało ani piór, ani rozwiniętych skrzydełek. Najpilniejszą rzeczą było ogrzanie małego ptaszka i zanieśenie go w miejsce bezpieczne, a następnie nakarmienie go. Nie namyślając się dłużej, Dydak podniósł ostrożnie z ziemi jaskółczątka, owinał je chustką do nosa i począł na nie chuchać swym tchem mocnym a gorącym.

Pod wpływem tego oddechu pisklę poruszyło się, po czym samo nieco tchu wzięło i poczęło się wyokrąglać w kulkę niby wydmuchiwana bańka mydlana. Następnie przekreśliło w bok łebek, niby dziwując się temu nieznanemu obliczu, które dmuchało jak wiat, a przecie świecące i pyzate było jako słońce... i ciepłe jako słońce... Czarne oko ptaszęcia, do główki szpilki podobne, wspilało się swym spojrzeniem w źrenice szerokich Dydakowych oczu, niby sondując zamiary niespodziewanego opiekuna. Na koniec spod wyskubanego i chuderlawego brzuszka wysunęła się niedołężna łapinka i trzepnęła rozczapierzonymi pazurkami dwukrotnie, jak gdyby czyniąc znak powitania. Jednocześnie dzióbek otwarł się i zaskrzeczał cichusko.

Zrozumieli chłopcy, że ptaszyna jest rada i życiu i swym opiekunom, przeto pośpiesznie, ale z całą pieczołowitością i ostrożnością ponieśli ją do swego domu.

Tu ułożyli pisklę na ciepłej i miękkiej poduszce i okryli je chusteczką. Witek od razu wyprawił się do kuchni, która była istnym rojowiskiem much w dnie gorące; dwie z nich właśnie niedawno utopiły się w garnuszku mleka. Wyłowił je stamtąd Witek i na łyżeczce poniósł ku legowisku jaskółczki.

— Co ty, Witek, ptasiego mleka jaskółce przynosisz? — zdumiał się Dydak.

— Nie, on przynosi mleko „z muchą” — zaśmiał się Robert, który lubił czasem komuś dogryźć.

Witek nie obraził się za przycinek; zanadto był przejęty swą nową rolą: karmiciela pisklęcia. A rola to była niełatwa, gdyż jaskółczątka ani rusz nie chciało jeść z łyżeczki.

— Ptaszek grymasi, pewno nie jest głodny — ozwał się Tadzio, stosując do pisklęcia powiedzenie, z jakim sam dość często się spotykał.

Właśnie w tę chwilę weszła do pokoju mamusia.

— Nie, Tadzio, ptaszek nie grymasi, tylko nie umie jeść z łyżeczki. Jemu nikt jeszcze w ten sposób jedzenia nie podawał.

— A jak jemu nikt jedzenie podawał, mamusiu?

— Jemu podawała dziobkiem jego mamusia.

— To niech mu mamusia teraz dziobkiem podawa! My też mamy dziobek... przy czajniku!

— E, za wielki to dziobek! — zaśmiała się mamusia. — Przecież widzisz, że ptaszyna jest malutka... mniejsza od ciebie. Ty nie jadasz taką dużą łyżką jaką jadają starsi... a ptaszkiowi jeszcze mniejszej łyżeczki potrzeba. Zaraz mu ją zrobimy.

To powiedziawszy, wzięła maluchną drucianą szpilczkę do spinania włosów, wygięła ją w kształt szpiczasto zakończonych szczypczyków, następnie tymi szczypczykami ujęła jedną z much i podała ją pisklęciu.

Jaskółczka natychmiast rozwarła szeroko dzióbek, na dnie którego ukazał się bładny języczek i ciemny otwór gardziółka. Gardziółko zapulsowało, języczek drgnął pośpiesznie i z głębi dziobka wyfrunęło nagle na pokój skrzeczenie pożądlive, słabe jeszcze, ale już dźwięczniejsze od tego, które rozlegało się wprawdzie podczas rozgrzewczych zabiegów Dydaka.

W mgnieniu oka dzióbek ptaszęcia zamknął się z powrotem, a w jego uwięzi zniknął nie tylko języczek oraz otwór gardziółka, ale i owa podlana mlekiem mucha.

Po chwili powtórzyło się dokładnie wszystko to samo z drugą muchą. Tymczasem Witek nie próżnował i czasu nie tracił, bo nim jaskółka zdążyła przełknąć co jej podano, on już nadbiegł z nową zdobyczą. Głos pisklęcia stawał się coraz dźwięczniejszy, a zachowanie się coraz śmielsze. Trzecią muchę połknęło łączywie, czwartą również, przy piątej już widać było, że zjada ją nie z głodu, lecz dla smaku. Szóstą jadło — ot — byle zjeść, a przy siódmej już się ociągało z otwarciem dziobka, jakby łaskę czyniło przyjęciem tego kęsa, albo jakby mówiło: „Pojadłem ja sobie, teraz pojedzie i wy, moi mili!”

— Patrzcie, piskolek już zjadł „drugie”, teraz prosi o leguminę — zaobserwował Tadzio. — Może zostało co z obiadu?

Zdołano jakoś Tadziovi wytłumaczyć, że jaskółki legumin nie jadają; kręcił długo głową, dziwiąc się, jak to można nie rozumieć, co jest naprawdę dobre. Nie mogąc się przysłużyć ptaszęciu pożywieniem, przysłużył mu się Tadzio w inny sposób, co prawda mimo woli: on to był twórcą jego imienia. Wyraz „piskolek”, przekreślony z „pisklęcia”, podchwycili starsi bracia Tadzio i odtąd w całym domu wołano na młodą jaskółczkę: Piskolek.

Ponieważ Dydak, zajmujący się najintensywniej zoologią, wyszperał w książce, że jeden gatunek jaskółki zwie się „oknówka”, więc kwatery Piskolka urządzono na framudze okna, umyślnie dość wysoko, by zapobiec zbyt niemu natręctwu Tadzia, który jako znalazca, uważał ptaka za swoją szczególniejszą własność i chciał nad nim rozciąć nazbyt czułą opiekę, mogącą skończyć się zduszeniem lub upuszczeniem wątłej istotki. Zresztą na oknie najwięcej było miejsca, najwięcej światła i powietrza, a co najważniejsze, można tam było przymocować gniazdko Piskolkowe. Budowniczym gniazdka był, ma się rozumieć, Robert, który pamiętał o swej obietnicy, a przy tym na tego rodzaju sprawach znał się najlepiej. Początkowo próbował ulepić gniazdko z błota, ale mu się to nie udało: błoto, gdy wyschło, popękało od razu, a gdy chciano do tej lepianki wprowadzić Piskolka, pokruszyło się doszczętnie.

— Nie święci garnki lepią..., a tu świętej trzebawy cierpliwości, żeby ulepić takie gniazdo! — zamruczał Robert i już chciał iść poradzić się garncarza, gdy nagle przyszedł mu pomysł inny. Ukręcił z drutu jakby mały koszyczek z otworem pośrodku, wymościł go grubą warstwą waty i przybił do małej deseczki, którą następnie powiesił pionowo na ramie okna. I oto tak powstało ciepłe, miękkie i przytulne gniazdko, z kształtu nawet do jaskółczego podobne, choć oczywiście różniące się od niego kolorem, bo było białe jak świeżo wytynkowana chałupa. Żeby okno nie uległo zawalaniu, majster przybił poniżej pudełko od cygar, pierwotnie przeznaczone na owady, nasypał do niego piasku i wykleił po wierzchu papierem ze starego zeszytu, na którym po jednej stronie widniał nagłówek: „Aufgabe”, po drugiej zaś czerwonym ołówkiem wypisana ocena: „Bardzo dobrze” — wyrażająca dziwnym zbiegiem okoliczności zupełnie słuszną pochwałę dzieła samego budowniczego.

Owo pudełko od cygar Witek bez wahania odstąpił do wspomnianego celu, bo ani on, ani Dydak nie mieli obecnie ochoty do zbierania owadów, a właściwie polowali na jeden tylko gatunek owadów, tj. na muchy. Uganiali za nimi po całej kuchni, gęsto śmigając rzemiennym paskiem po bielonych ścianach, po sznurach od wieszania bielizny, po stołach, stołkach, szafach, a nade wszystko po piecu kuchennym, wokół którego najwięcej zawsze gromadziło się brzęczące tałatajstwo. I muchy ginęły setkami — istotnie jak muchy... Ze czasem zamiast muchy cios śmiertelny otrzymywała szklanka, a raz nawet karafka — to trudno!... gdzie drwa rąbią, tam drzazgi lecą... W każdym razie z przyjemną ową zabawą łączyły się aż dwa pożytki: kuchnia ku wielkiej radości kucharki uwolniła się na czas jakiś od skrzydlatych natrętów, wpadających dawniej — bywało — to do zupy, to do sosu, a mały Piskolek miał na pewien czas zapewnioną porcję muszowego mięsa. Spożywał tych porcji z każdym dniem coraz więcej, tak iż w końcu nastarczyć nie można ich było, zwłaszcza że w kuchni z każdym dniem trudniej było o muchę aż w końcu ledwie ich garstka ocalała — a te niedobitki, nauczone smutnym losem swego plemienia, stały się ostrożniejsze i płochliwe. Na dworze nie tak to łatwo muchy łapać, bo przecie mają kędy uciekać w otwartej przestrzeni. Z czasem więc zaczęto próbować nowego sposobu wyżywienia jaskółki: dawano jej pokrajane na kawałki dżdżownice, wreszcie zaś — gdy nauczyła się połykać gęstszą nieco strawę, tuczono ją drobnymi, dobrze ubitymi skraweczkami mięsa.

Tę zmianę pożywienia wprowadzono oczywiście dopiero wtedy, gdy Piskolek już sporo podrośł i — jeżeli tak można powiedzieć — zmężniał. A rósł dość

OD REDAKCJI

Ze względu na zmianę warunków technicznych czerwcowy numer „Rodziny Polskiej” musiał się ukazać z małym opóźnieniem.

REDAKCJA.

prędko i siły nabierał z dniem każdym. Już mu nie wystarczała pierwotna, mizerna i kusa, popielata sukienka, jaką miał na sobie w glinianej lepiance nad obórką Piegżyny; skoro w ludzkim domu wypadło mu mieszkać, to wypadało i strój przyodziać bardziej elegancki — toteż niebawem Piskolek począł się oblekać w białą kamizelkę z rdzawym krawatem pod szyją (jaskółka dymówka!) — zalem stwierdził swą omyłkę Dydak), potem główkę przykrył czarną czapeczką, zgrabnym daszkiem zachodzącą ku nasadzie dzioba, a i kubraczek czarny na siebie narzucił, przykrótki jeszcze narazie, ale w którym już przebierał przyszły zarys śmigłych skrzydełek, przypominających poły dobrze skrojonego fraczka.

Z każdym dniem piękniejszy stawał się Piskolek, z każdym dniem stawał się miłszy ludziom, którzy go przygarnęli. Dawne skrzeczenie przeszło niebawem w szczebiot, a ze szczebiotu stało się zwolna dźwięcznym świergotem, który zwłaszcza nad ranem brzmiał powabnie. Gdy szarzało na niebie, ptaszek już wychylał z otworu gniazdka aksamitny swój łebek, a gdy pierwszy niepewny blask słońca ocierał się o futrynę okna, wraz z tym promieniem biegło na środek pokoju, ku śpiącym chłopcom, srebrzyste oznajmienie:

— Świ — it!

Chłopcy, którzy spać jeszcze mieli ochotę, wołali na niego zazwyczaj:

— Cicho, Piskolek!

Ale im miłe było to Piskolkowe powitanie, ten mel-dunek złożony im przezeń posłusznie jako dobrodziejom i zwierzcchnikom.

A kochali go serdecznie i szczerze jakby najmłodszego pomiędzy sobą brata. Rozumieli brzmienie jego głosu — odgadywali natychmiast, kiedy woła o jedzenie, kiedy raduje się ciepłem słońca, kiedy dziwuje się czemuś, co po raz pierwszy zobaczył, a kiedy po prostu tylko chce im serdeczność swoją wyznać. On był teraz duszą i tętnem chłopięcego pokoju. Nie miały tego powabu ani zbioru owadów, ani akwarium stojące na starej komodzie w kącie najdalszym od okna. Gąsienica wilczomlecza osnuła się w kształt poczwarki i nie wymagała dozoru ni świeżej strawy. Ryb nie przybyło wcale, owszem ubyło ich trochę, bo żółto-brzeżek jeść potrzebował. Paź królowej, którego brakowało do zbioru motyli, oraz król chrząszczów jelonek przestali zaprzętać myśli i podniecać ambicje młodych zbieraczy. Raz tylko skierowali przelotną uwagę ku swoim zbiorom. Oto szczelnie zamknięte pudełko od kakao, gdzie uwięzili czwórke znalezionych koło gromadzkiego lasu grabarzy, nazajutrz rano znaleźli odemkniętym; zmiarkowali, że owady te, obdarzone wielką siłą w swych grubych nożyskach, musiały podważyć wieczko i wymknąć się gdzieś w ciągu nocy. Naprawdę ich jednak szukano w pokoju, a nawet po całym mieszkaniu — nie znaleziono nigdzie ani śladu. Wtedy to przy sposobności przetrząsnęli chłopcy zakurzone od pewnego czasu zbioru i zrobili wśród nich jaki taki porządek.

(Dokończenie nastąpi).

HÓŁD ZASŁUDZE

P. LUCYNA KOTARBIŃSKA OTRZYMAŁA ŻŁOTY KRZYŻ ZASŁUGI

Wśród odznaczonych z okazji Święta Narodowego ostatni dekret Pana Prezydenta Rzeczypospolitej z dnia 30 kwietnia rb. wymienia również p. Lucynę Kotarbińską, przyznając jej złoty krzyż zasługi za pracę na rzecz Ligi Morskiej i Kolonialnej.

To wysokie wyróżnienie zasłużonej społeczniczki notujemy z prawdziwą radością tym bardziej, iż p. Lucyna Kotarbińska od szeregu lat jest redaktorką „Dziąłu Kobięcego” „Rodziny Polskiej”.

Złoty krzyż zasługi, który dziś ją zdobi, niewątpliwie jest dzielnie zapracowany wytrwałym wysiłkiem szeregu lat życia które śmiało może szukać miejsca na kartach polskiego Plutarcha.

Nakaz tej pracy obywatelskiej wyniosła p. Lucyna Kotarbińska z domu rodzinnego na Kurpiach, gdzie urodziła się w r. 1858. Ojciec jej Roman Kleczeński, emigrant po bolesnym r. 1863, brat poszedł na Sybir, wuj Józef Toczyński zawiął na szubienicy razem z ostatnimi członkami rządu narodowego z Trauguttom-Czarneckim na czele.

Nie trudno wczuć się w atmosferę moralną środowiska, które takich wydawało pionierów sprawy narodowej. Rozgrzały ją jeszcze kierowniczką młodocianej p. Lucyny siostry Rafała Krajewskiego, powieszzonego w r. 1865, które odchodząc od szubienicy poprzysięgły służbę konspiracyjną.

W 17 roku życia osierocona poczyna p. Lucyna pracować na chleb, korzystając ze zdobytego patentu nauczycielki rosyjskiego języka i z pięcioletnich studiów malarskich u Wojciecha Gersona. Wyjście za mąż za aktora Józefa Kotarbińskiego stwarza w jej życiu nowe perspektywy. Następuje w r. 1893 wyjazd do Krakowa, gdzie mąż gra a później prowadzi teatr jako dyrektor. Pani Lucyna zaś w ciągu pierwszych sześciu lat pobytu prowadzi Szkołę Sztuki stosowanej, dostawą przez Wydział Krajowy sumą 800 guld., co jest chlubnym świadectwem jej poziomu, a drugie sześć lat pomaga mężowi za kulisami w jego trudach kierowania pierwszą sceną kraju.

R. 1905 odnajduje p. L. Kotarbińską w Warszawie na stanowisku redaktorki pisma „Nasz Dom”, które prowadzi lat 9, aż do wybuchu wojny światowej.

Wśród burzy wojennej rodzi się armia polska, marzenie wszystkich patriotów.

Czyż można się dziwić, że dla jej sprawy oddaje p. Lucyna wszystkie swe siły. W tym celu tworzy Zw. Chrz. Ręk. „Dźwignia”, który wspólnie z założonym przez p. Hel. Paderewską „Białym Krzyżem” otacza kulturalną opieką żołnierza. W świetlicach „Dźwigni” przewinęło się 12.000

wyższą temperaturą miłości ojczyzny i najtwardszym apelem: „Nie damy bolszewikom Warszawy”.

Wreszcie przychodzi 15 sierpnia. Przełom Zwycięstwo pod Radziminem. Ale na laurach p. Lucyna spoczywać nie przywykła. Znów rzuca się w wir pracy. Staje do szeregów „Narodowej org. Kobięć”, gdzie corocznie przynajmniej 120 wygłasza odczytów i pogadanek.

Jeszcze jedna wielka godzina. Plebiscyt na Śląsku. Oczywiście jest tam p. Lucyna, dwoi się i troi. Jak żywa pochodnia przebiega Śląsk. Od 18. II. 1921 do 19. III. 1921 była w 37 miejscowościach przemawiając w każdej z nich przynajmniej 2 razy. Odwiedziła 82 czyt., z wśród tego wszystkiego, zdołała sobie jeszcze przypomnieć swe artystyczne upodobania, urządzając w 3 miastach wystawy etnograficzne. A do tego co tydzień piechotę do Lublińca po rozkazy dla „mężów zaufania”. Chłopska zaś chata w Gliwicach służyła za przystań po trudach. Należyta oceną było aresztowanie. Lecz nie zaszkodziło ono p. Lucynie, ani robocie, już zrobionej.

Innym kapitalnym dziełem które pochłania znów w całości uwagę i siły p. Lucyny Kotarbińskiej jest sprawa budowy Instytutu Radowego im. Marii Skłodowskiej-Curie. 50 odczytów na prowincji, sieć podkomitetów — oto owoce. Dalej znów Liga Morska i Kolonialna, Przewodnictwo Sekcji Kobięć, członkostwo Zarządu Głównego i Rady. Podobnie wieloletni udział w Zarządzie Tow. Liter. i Dziennikarzy, i inicjatywa oraz organizacja słynnych poniedziałków literackich.

To nie koniec. Wśród tego wszystkiego jest czas jeszcze na napisanie dwu książek „Wokoło teatru” i „Za kulis teatru” trzecia książka na warsztacie.

Jakaś to potężna energia pali się w pani Lucynie, że ogarnia ona tyle zadań i prac! Gdyby szukać odpowiedzi na to pytanie, to niewątpliwie okaże się, że ta niespożytość stanowi wyraz duchowej czujności a wielostronność pracy rezultat ładu wewnętrznego i chrześcijańskiej wrażliwości serca, które umie zespalać swój rytm z rytmem życia ogólnego! W kim bije takie serce ten posiadał tajemnicę wiecznej młodości.



P. Lucyna Kotarbińska.

żołnierzy, jak o tym raportowała samemu Marsz. Piłsudskiemu dzielna społeczniczka w czasie jego wizyty. „Poza tym mamy sześć małżeństw i 3 synów w dorobku” zakończyła swój raport.

Aż przyszła chwila próby. Czerwiec-lipiec 1920 r. P. Lucyna całą swą energię rzuca w niecenie wojennego zapału. W 75 punktach Warszawy od jej centrum aż po krańce najdalsze przemawia, wzywając obywateli do broni i ofiarności na potrzeby wojny. Przed dzisiejszym pałacem Rady Ministrów stał kiosk, gdzie o dzień o 4 żołnierz grał pobudkę a po chwili pani Lucyna rzucała w tłum słowa tchnące naj-



ZE SPRAW RODZINY

Na szerokim świecie.

Estonia pracuje również w dziedzinie wychowania rodzinnego i nad odrodzeniem społeczeństwa przez rodzinę. W ostatnich latach postęp w tych dziedzinach był znaczny. Wielka liczba poważnych organizacji wprowadziła do swych programów działania zadania dotyczące rodziny i wychowania rodzinnego. Narodowy Kongres Kobiety, który odbył się z początkiem roku 1935 nader poważnie zajął się tymi sprawami, a Kobiety Związek Estonek wiele działał od tam w tych dziedzinach. W roku 1936 utworzoną została *Izba Gospodarstwa Domowego* (na wzór Izb rolniczych, lub przemysłowo-handlowych) w celu niesienia pomocy kobietom w różnorodnych ich zadaniach tak gospodarczych jak i wychowawczych. Jako organizację głównie poświęconą wychowaniu dzieci — przez rodziców wymienić należy Związek „Szkoła i Rodzina”, egzystujący od jakiegoś czasu w Tallinie (stolica Estonii). Ale dopiero stworzenie Narodowego Instytutu Wychowania Rodzinnego w Tartu, dnia 1 kwietnia 1936 r. pchnęło całą sprawę na właściwe tory, przyspieszając równocześnie jej rozwój. Nowy instytut stanął na czele całej akcji w całym kraju ujmując prace wychowania rodzinnego szeroko w jej wszystkich rozgałęzieniach. Czternaście najpoważniejszych ośrodków administracyjnych kultu religijnego, różne organizacje pedagogiczne, wielkie związki kobiece, Muzeum Hygieny i Uniwersytet w Tartu połączyły swe wysiłki z Instytutem obejmując tym sposobem wszystkie warstwy społeczeństwa. Już w pierwszym roku swego istnienia Instytut wykazał intensywność swego działania tak na terenie badań, jako i propagandy najlepszych metod wychowania w rodzinie.

W badaniach swych mag. J. Estam, na zasadzie ankiety, ustalił słaby, w ostatnim dziesięcioleciu, rozwój w zakresie wychowania rodzinnego; w porównaniu z rozwojem socjalnym w innych dziedzinach przedstawia się on jak 1,6 — do 2,4 punktów.

Instytut Wychowania Rodzinnego wydał w roku 1936 następujące broszury: mag. A. Martin, „Jak nauczyć dzieci pracować”; dr med. H. Madisson, „Wychowanie, a dziedziczność”; J. Steinman, „Stosunek społeczeństwa do dzieci u nas i za granicą”; dr O. Madisson, „Nasze dziecko, jak je pielęgnować”.

Prasa codzienna ogólna i kobieca specjalna poświęcają wiele uwagi zagadnieniom wychowawczym, zwłaszcza w ostatnich czasach. W wielu dziennikach stałe szpalty

poświęcone są zagadnieniom życia rodzinnego i gospodarczego.

Około 200 konferencji dla dorosłych poświęcono zagadnieniom wychowawczym, tak w środowiskach wiejskich, jak też miejskich.

Dwadzieścia audycji poświęciło radio zagadnieniom dotyczącym wychowania rodzinnego.

Kursy pedagogii rodzinnej istnieją we wszystkich szkołach gospodarstwa domowego, w szkołach wyznaniowych dla dziewcząt i w oddziałach gospodarczych szkół średnich. Wykłady teoretyczne łączą się z praktyką w żłóbkach i ochronkach.

Koła studiów czynne są przy organizacjach młodzieżowych, ale są nieliczne.

Około 90 kół studiów egzystuje dla rodziców. Kursy dla rodziców są organizowane tak na wsi jako też i po miastach. Instytut Wychowania Rodzinnego opracował program „kursów wychowania rodzinnego”, które mają być przeprowadzone w ciągu 5 lat we wszystkich gminach kraju.

Biuro porad dla rodziców w zakresie wychowania rodzinnego czynne jest w mieście stołecznym Tallinie.

Instytut Wychowania Rodzinnego, oraz „Tow. Pomocy Dziecka” organizują wspólnymi siłami „dnie propagandy”, w których naczelne władze kraju biorą czynny udział. Egzystują też specjalne kursy dla prelegentów i personelu zatrudnionego w odnośnych organizacjach.

Wystawa pedagogii rodzinnej w Tartu była prawdziwym sukcesem dla całej akcji estońskiej. Izby Gospodarstwa Domowego, oraz Instytut Wychowania Rodzinnego, założone od tak niedawna, a tak czynne w Estonii, są tak ciekawą inicjatywą, że winniśmy zająć się tą sprawą w sposób zupełnie specjalny.

Anglia zwalcza ciasnotę mieszkańców w sposób godny naśladowania.

Angielski minister zdrowia, sir Kingsley Wood, przemawiając w tych dniach w Londynie, oświadczył, że dotychczas 600.000 osób, które poprzednio mieszkały w zaułkach (slums) lub niedziwnych mieszkaniach, przeniesiono do nowych mieszkań.

Obecnie liczba osób, przenoszonych z zaułków do higienicznych mieszkań, wynosi 25.000 miesięcznie.

Według najświeższych danych, od chwili zakończenia wojny wzniesiono w Anglii 3.170.000 nowych domów, a liczba domów z mieszkańcami dla mało zarabiających pracowników sięga 100.000 rocznie.

Budowa tych wszystkich domów ułatwiła ogromnie — mówił minister — rządowi walkę z przeludnionymi mieszkaniami. Opracowane w bieżącym roku prawo o ka-

sowaniu takich mieszkań przyjęło już i wyznaczyło terminy wprowadzenia go w życie 1.477 władz lokalnych na ogólną ich liczbę 1.536.

Prawo to obejmuje, między innymi, warunki pod jakimi projekty budowy nowych, tanich mieszkań mogą być zatwierdzane.

Wobec b. aktualnej oprawy wychowania religijnego młodzieży, podajemy do wiadomości, że trzeci międzynarodowy kongres wychowania katolickiego obradować będzie w Luxemburgu w ostatnich tygodniach czerwca. Tematem obrad kongresu będzie zagadnienie stosunku nauczania do wychowania religijnego.

Poprzednie kongresy odbyły się w r. 1930 w Brukseli i w r. 1933 w Hadze.

Konkluzje i postulaty międzynarodowego kongresu kobiet katolickich odbytego w Brukseli w kwietniu roku bieżącego odnoszą się przede wszystkim do zagadnień rodziny. Dobro mężczyzny i kobiety, żyjących w stanie małżeńskim, jak również i dzieci leży w rodzinie. Mając to na uwadze kongres postanowił:

- 1) domagać się wprowadzenia do prawodawstwa wszystkich narodów jedności i nierozzerwalności związku małżeńskiego;
- 2) starać się o jak największe uświadomienie rodziców o ich obowiązku sumiennego wychowania swych dzieci oraz o przygotowanie rodziców do tego trudnego dzieła;
- 3) umożliwić kobiecie swobodę wyboru męża swego stanu oraz zabezpieczenie kobietom pracującym sprawiedliwej zapłaty, która zapewniłaby im odpowiednie warunki życia;
- 4) uznać równość praw tak dla mężczyzny jak i dla kobiet w stosunku do prawa spadkowego i opieki nad dziećmi;
- 5) pracować w tym kierunku, aby życie ekonomiczne tak zostało zorganizowane, iżby zapłata, którą otrzymuje ojciec rodziny za pracę, wystarczała na utrzymanie całej rodziny.

Te oto są pragnienia i myśli, które trzydziestomilionowa rzesza kobiet, zorganizowanych w Międzynarodowej Unii Katolickiej starać się będzie wprowadzić w życie.

Po kilku miesiącach przerwy, spowodowanej długotrwałą chorobą Ojciec święty wznowił udzielanie audiencji zbiorowych nowożeńcom. Na pierwszy tę audiencję zjawili się przeszło czterysta par małżeńskich w większości włoskich, nie brakowało jednak małżeństw z Francji, Belgii, Szwajcarii, Austrii i Szkocji.

Posłuchanie odbyło się w sali „Ducale”. Wchodzącego Ojca św. pary małżeńskie powitały z nieopisanym entuzjazmem. Pa-

piez, zasiadłszy na tronie, wygłosił do zebranych krótkie przemówienie, w którym wyraził radość z oglądania znowu tylu nowopobudowanych par przybyłych po Jego błogosławieństwo, jako zapowiedź błogosławieństw Bożych.

Z ochotą i największą miłością błogosławi założycielom nowych ognisk rodzinnych, życząc im, aby i sami zawsze pozostawali dobrymi chrześcijanami i na dobrych chrześcijan wychowali swe dzieci, aby Jezus Chrystus, który nie szczędził krwi swojej dla uświęcenia małżeństwa, mógł z nich mieć pociechę.

W Polsce.

Dowiadujemy się, że w okolicy między Stanisławowem, a Stryjem (dawna Ziemia Czerwińska) w Bednarowie założono nową organizację rodową pod mianem „Gniazd o”, do organizacji tej należą już 122 poszczególne rodziny. Zadaniem „Gniazda” jest: utrzymanie starej tradycji szlachecko-polskiej tych rodzin, oraz *samopomoc* rodzinna, bardzo potrzebna w ciężkich czasach, które przeżyło i jeszcze przeżywa rolnictwo w ogóle, a rozdrobnione, małorolne gospodarstwa w szczególności. Prezesem „Gniazda” jest pan Jan Łucki, — viceprezesami pp. Michał Mysłobodzki i Teodor Zurakowski. Cieszyć się należy z rozwoju w kraju naszym związków rodowych; — oby one powstawały jak najliczniej, we wszystkich środowiskach, tak na wsi, jako i w miastach. W samopomocy rodzin leży ogromna siła — *siła materialna i siła moralna!*

Rodzicielskie Koło Szkolne przy Prywatnym Gimnazjum Żeńskim i Szkole Powszechniej im. Zofii Łabusiewicz. Warszawa ul. Kępna No 17, daje nam przykład wielką swoją żywotnością. Organizacja polega na tym, że wszyscy rodzice stają się *automatycznie członkami* Koła Rodzicielskiego przy minimalnej opłacie rocznej 5 zł.

Obok innych bardzo rozwiniętych prac Koła w zwykłych dziedzinach prac Kół Ro-

dzicielskich, wydaje ono biuletyn miesięczny, który jest łącznikiem między rodzicami a szkołą.

Wobec mało u nas znanego ustawowego obowiązku alimentów w stosunku do rodziców i dziadków podajemy do wiadomości, że adwokat p. Jerzy Jasiński omawia szczegółowo w nrze 6 „Opiekuna Społecznego” tę przyczynę zebraństwa, jaką jest niespełnianie przez dzieci obowiązku alimentarnego w stosunku do rodziców starych lub niezdolnych do pracy.

Główną przyczyną tego jest niezajomość ustawowego obowiązku dzieci dawania alimentów rodzicom i dziadkom, potrzebującym zaopatrzenia. Obowiązek alimentowania rodziców swoich mężów i żon mają też synowie i zięciowie z zastrzeżeniem, że obowiązek ten ustaje, gdy matka męża lub żony wejdzie w nowe związki małżeńskie, lub gdy ten z małżonków, przez którego powinowactwo zaszło i dzieci z ich małżeństwa zrodzone nie żyją; również ustają obowiązki alimentarne zięciów i synów w razie orzeczenia rozwodu.

Artykuł p. Jasińskiego wyjaśnia sprawę wysokości alimentów i warunków przeprowadzenia ich przez sąd.

Numer ten powinien się znaleźć w rękach wszystkich organizacji mających za zadanie opiekę społeczną oraz parafialnych oddziałów Caritasu, Konferencji Św. Wincentego a Paulo innych.

Zofia Jankowska.

Z TEATRU

„Wiśniowy sad” niewątpliwie dobrze oddaje tę dziwną atmosferę życia rosyjskiej inteligencji, na tle której możliwy stał się przewrót bolszewicki. Kompletne nierobstwo duchowe i fizyczne, odraza do rodzimego środowiska, niezaradność wprost infantylna i iście dziecienna już wiara, że los wbrew wszystkiemu zaopiekuje się przywilejami warstwy, która wspaniała tradycję czynu rozmięła na bilon wygodniostwa i używania życia — oto czynniki tej atmosfery upadku.

Resztki duchowego władztwa przodków, ci „rozbitkowie” wielkiej przeszłości manifestują przez bezsensowne rozdawanie pieniędzy. Jakże to mało w porównaniu z istotną treścią tej władzy, którą ongiś warstwa szlachecka sprawowała i jakże to wiele wobec nędznych resztek z dawnych wspaniałych fortun. Rezultat oplakany. Cudny, choć już prawie nieurodzajny wiśniowy sad, z którym się zrosło życie klanu Raniewskich, idzie pod topór, by ustąpić miejsce letniskowej kolonii, a właściciela sadu ucieka z resztkami ocalonego grosza, by go przeszczać w Paryżu na jakieś niedorzeczne, choć może i romantyczne cele.

Tak się przedstawia ideowo-społeczna strona tej interesującej, choć pozbawionej silnego wątku dramatycznego sztuki. Kropkę nad i stawiają przy tym tyraady scho-rowanego studenta, gruzlika — socjalisty.

Ale na tym gruncie przesyconym miazmatami rozkładu Czechów potrafił wyzwarować niedjedn kwiat poezji, tym żywszą techną wioną, im bardziej razi nas jej podłoże.

Potrafił ukazać nam czar tego sadu wiśniowego, otulonego legendą niby jakiś ogród Hesperyd, umiał zaludnić go zjawami osób drogich bohaterom sztuki, na jego gałęziach słabiorodnych rozwiesić dojrzałe owoce nastrojów, refleksji, pasji, a nawet w bujną ale miękką jego gęstwą wetknąć niedjedn twardej konar socjalnej konkluzji.

To jest zrobione po mistrzowsku choć dyskretnie i to udało się reżyserowi Ziemińskiemu należyście wydatnić.

W bogatej galerii figur, które ożywia Czechów, jedną z najciekawszych jest Luba Raniewska. W kreacji Marii Przybyłko-Potockiej oblokła się w świetnie wyczułą mimozowatość, ów jaskółczy niepokój, tak znamieny dla inteligencji oderwanej od ziemi, i zniechęconej do jej mocnego drażniącego odoru. Sekundował jej jako Leonid Gajer Junosza Stępowski, prezentując nam jeszcze jedną odmianę podtatusiałego jegomościa z licencją poetycką w zanadru. Rozmach, masywność dorobkiewiczowską Łopachina wcielił Samborski, oszczędnie zresztą posługujący się ekspresją swej potężnej postaci i grzmiącego głosu.

Na przeciwnym krańcu znalazła się ściszo-na, nasycona gruzliczym smętkiem kreacja studenta Trofimowa w wykonaniu J. Rolanda.

Cwojdzinśki wyspecjalizował się w stawianiu problemów naukowych w płaszczyźnie sceny. Czasami jak w teorii Einsteina po prostu rozkłada temat na głosy niby partyturę i tak zlekka udrumatyzowany puszcza w świat. Czasami jak w ostatniej „Freuda teorii snów” (T. Mały) idzie już za wymaganiami ściślejszymi sztuki dramatisarskiej i buduje normalny utwór oparty na konfliktach.

Zresztą freudyzm właściwie aż się prosi jako wątek komediowy. Jego sprowadzenie wszystkich zagadnień do zmysłowości i erotyzmu, mniej lub więcej maskowanego, nastęrcza aż nadto wiele wdzięcznego materiału dla komediopisarza.

Cwojdzinśki trzeba przyznać poradził sobie ze swym zadaniem doskonale, a nawet sięgnął wyżej czystej już wirtuozerii rozkładając swój wątek komediowy tylko na dwie osoby. On — literat, ona — aktorka. Mają razem czytać sztukę, przeznaczoną do grania. To jest pretekst dla zbliżenia się. Zaczyna się gra: gra serc, jak mówiła stara romantyczna szkoła, gra zmysłów i nie-uświadomionego libido — pożądania.

On tłumaczy jej trochę zawiłe teorie snów Freuda, według której w sennych



„Maleńka Kitty i wielka polityka” w teatrze Marii Malickiej.



P. Świerczewska jako Amelia w „Horsztyńskim”.

marzeniach pod symbolicznymi maskami zjawiają się przedmioty naszych pożądań. Jakaś powiedzmy otwarta szafa może wyrażać kobietę (ach szafa — czyż to nie w „Wiśniowym sadzie” znalazła się piękna ty-rada do dostojnej szafy, jako symbolu cnót domowego ogniska). Jak widzimy, „nauka à la Freud trochę nam dewaloryzuje wartości faktyczne i symboliczne różnych pocziowych przedmiotów. Ta szafa Czechowa jednak, ma ważniejsze funkcję od szafy Cwojdzńskiego czy Freuda. Panowie Ce mogliby się w tej sprawie jakoś porozumieć.

Te wykłady robią swoje. Literat znajduje „swoją kompleks” miłości w aktorce. Ona? Jak to one, najpierw pali mu vice versa mocny wykład naukowy — pojętna papużka, ani słowa — a potem całkiem już po kobiecemu — ulega czarowi miłości.

„Korsarz i Lady” G. B. Shawa (T. Narodowy), jest jednym z jego najwcześniejszych dzieł (1889), zdradzających już jednak pełny charakter jego komediowej maestrii w persyflażu, w przedrzeźnianiu życia.

Historia o „korsarzu”, społecznym wyrzutku, który za krzywdę wyrządzoną przez ślepa Temidę, pała żądzą zemsty i lata całe karmi się tym pragnieniem, ma isticie bayronowskie zacięcie romantyczne. Ale Shaw nie byłby urodzonym kpiarzem, gdyby z tej historii długiej i ponurej nie zrobił sobie przedmiotu drwin i podśmiewania.

I nasz „korsarz” mięknie w zetknięciu z „lady”, bystro dostrzegającą śmieszność „de tout cela”, całą zabawność wydymania się jak żaba podstawiająca łapę do podkucia. Lady umie sprowadzić wszystko do właściwych realnych wymiarów i miłość i nienawiść, gniew i zemstę, wszystko to przecież można sprowadzić do gry dyskretnych wyrazów.

I „lady” zresztą nie została oszczędzona przez Shawa. Jej pewność i umiar, jej możność osławiania „korsarzy” i w ogóle mężczyzn — to nie wykwit bynajmniej, jej wewnętrznej, doskonałości. „Lady” nie dlatego obraca się niby Daniel w jaskini lwów i dokonuje podboju, że tak nieodpartym jest czar jej inteligencji i kobiecości, pełnej wdzięku i rozsądku.

To wszystko byłoby niczym bez podparcia brutalnej potęgi, jaką oddaje na usługi swych obywateli potężny Albion, usymbolizowany przez sędziego sir Halama (Brydziński).

Czar rozsądnej lady znakomicie obnosiła po scenie M. Ćwiklińska, mistrzyni dialogu, przekomarżająca się z dzikim „korsarzem” i usidlająca go w końcu swą dyplomacją. Korsarzem był Węgrzyn, osiągający szczyt dramatycznego napięcia w scenie gniewu i gasnący w scenie sądu i wyznań miłosnych, pokonany Samson.

„Malańka Kitty i wielka polityka” w przemiłym teatrze Malickiej ściąga znów publiczność trafnie wyczytym aktualizmem tematu i ciekawą interpretacją, pełną wdzięku i kobiecej filiterii postaci Kitty przez samą firmę p. Marię Malicką.

Rzecz rozgrywa się w atmosferze genewskich dyplomatycznych zjazdów, przeplatanych sielankami wycieczkami głównych ich bohaterów P. T. delegatów mocarstw. Dla odczucia po trudach wielkiej polityki jakiś przedstawiciel Albionu daje się porwać w sidła błahej intryżki „malańki Kitty”.

Związane z tym przygody i zaburzenia pacyfistycznej atmosfery ilustruje w zabawnych scenach i dobrotliwie narysowanych figurach sztuka p. Donata.

W istocie rzeczy daleka jest ona od tych poważnych aluzji, przycinków ostrych i głębokich, jakie cechują jedną z ostatnich sztuk Shawa o podobnym temacie. Ale to, co nam podaje, ma wystarczającą zupełnie odrobinę zdrowego sensu, komediowa przyprawa zaś jest tak smakowita, że czujemy się całkowicie zadowoleni.

Teatr Malickiej zapewnia nam jeden z najprzyjemniejszych wieczorów wiosennego sezonu.

„Nagroda literacka” Pawlikowskiej-Jasnórzewskiej kontynuuje tę atmosferę pamfletową dokoła literatury, którą wniosła na scenę T. Nowego sztuka „3 — 6 — 9”.

Tam mieliśmy do czynienia z pewnym załganiem się literata, który komponuje swe życie niby rozdziały powieści i efektownie rozmieszczonymi pointami.

Tu znów mamy jaskrawe, demonstracyjne odżegnywanie się od literatury, jako właśnie ponniejszającej, fałszującej skalę ludzkiego życia. Instruktor sportowy spło-



„Wiśniowy sad”. Stępowski Junosza.

dził w pofajerantowych godzinach — jak się mówiło lat temu 25 — powieść czy nowelę. Narzeczona posłała ją ukradkiem na konkurs i trza trafu — „dzieło” dostaje I nagrodę.

Nasz instruktor, człek prosty, nie chce nic mieć wspólnego z „kabotyńską” atmosferą literatury, więc powierza funkcję reprezentanta swemu przyjacielowi. On będzie pisał a tamten robił miny do fotoreporterów, udzielał wywiadów, chodził na rauty i świecił nazwiskiem na tytułowej stronie.

Rezultat jest taki, że nasz reprezentant i sam wcale niezgorzej „się spisał”. Zagarnął przyjacielowi nie tylko sławę, której on nie chce, ale i narzeczoną.

Wynika stąd szereg przygód, kończących się małżeństwem literackiego Strohmana z panną rozmiłowaną w aurze literackiej. Ale małżeństwo nie będzie konsumatorem. I w rezultacie panna wróci do swego instruktora w imię wspomnień przeszłości.

Wszystkie to zabawne perypetje, naszpikowane grubo dźwiękami nieraz i dość grubymi jak o całowaniu psa przez masonów, nabrały rumieńców życia dzięki znakomitemu wykonawcom Jerzemu Leszczyńskiemu, Hnydzińskiemu, Dulebiancie.

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

W Stanach Zjednoczonych daje się obecnie zaobserwować silny wzrost wpływów katolicyzmu. Zaznacza się to przede wszystkim w samej postawie wyznawców protestantyzmu w stosunku do Kościoła katolickiego, wyrażającej się w tęsknocie za zjednoczeniem wyznań chrześcijańskich przez podporządkowanie się Stolicy Apostolskiej. Ostatnio dwaj pastory ogłosili nawet odezwę w tej kwestii. Nie znaczy to, że masy protestanckie przyjęłyby łatwo wyznanie rzymsko katolickie. Tym niemniej wspomniana enuncjacja jest dowodem, iż *myśl zjednoczenia Kościołów* nurtuje wśród protestantów amerykańskich...

Wielu katolików w Stanach Zjednoczonych twierdzi, iż w morzu amerykańskiej nędzy, głodu i rozbitcia, *katolicyzm jest ocaleniem...* Kryzys ekonomiczny uczynił bowiem zagadnienie przebudowy ustroju kwestią naczelną. Tym się tłumaczy również wzrost aktywności u komunistów, którzy zdobywają sobie, choć z trudem, zwolenników nie tylko w sferach proletariatu ale i w ośrodkach intelektualnych. W tych ostatnich najwięcej zwolenników bolszewizmu wychodzi spośród żydów, podobnie jak to ma miejsce w innych krajach. Dlatego — pisze korespondent amerykański „La Croix” — często słyszy się Amerykanów, wypowiadających następujące zdania: „Hitler nie bez słuszności uwolnił się od żydów i Ameryka pewnego dnia zacznie go w tym względzie naśladować”.

Rozprzeżenie do życia amerykańskiego wnoszą komuniści i ateści, co zaczyna niepokoić sfery rządowe. Kościół katolicki, głosząc zasady uzdrowienia życia Stanów Zjednoczonych, wnosi *pierwiastki konstruktywne* i powstrzymuje niebezpieczną falę komunizmu i ateizmu.

Tę doniosłą wolę Kościoła katolickiego zaczyna społeczeństwo amerykańskie coraz bardziej doceniać.

I to tak biedni jak i bogaci, chociaż tych ostatnich niewiele. Biedni dlatego, że widzą w realizacji zasad ustroju katolickiego polepszenie niedoli i ciężkiego losu, bogaci zaś z obawy przed groźbą komunizmu... Roztropniejsi bowiem kapitaliści zdają sobie sprawę z konieczności przebudowy ustroju i mają do wyboru albo ka-

tolicyzm z własnością prywatną chociaż obciążoną serwitutami zgodnie z dobrem powszechnym, albo komunizm, który głosi rewolucję, zniesienie własności prywatnej i... śmierć klasie właścicieli. Wspomniany nawrót umysłów społeczeństwa amerykańskiego ku katolicyzmowi jest znamieny dla dzisiejszych czasów (por. „Wzrost wpływów katolickich w Ameryce”, oraz „Catholics and American Politics”).

W *Francji* „sekretariat dzieł” (le secretariat des oeuvres) kierujących pracami społecznymi i religijnymi w diecezji Arras rozesał do wszystkich grup „Akcji Katolickiej” *projekt syntezy poglądów katolickich* na najważniejsze kierunki społeczne we Francji z prośbą o dyskusję. „Dechrystianizacja i ateizm, czytamy w tym projekcie, poprzedzały i umożliwiły rozwój komunizmu, socjalizmu a nawet ekonomicznego liberalizmu. Doktryny te nie mogłyby nigdy przyjąć się w społeczeństwie nawskroś chrześcijańskim, które wierzy w Boga i wykonuje Jego przykazania. Akcja dechrystianizacji i ateizm, które przygotowały drogę rewolucji, używają tak metod *gwałtownych*, jak i *podstępnych*. Głównymi ich *współpracownikami* są: 1) *Bezbożnictwo wojujące*, które propaguje otwarcie ateizm, i które dla realizacji swych celów posiada potężną organizację. 2) *Stowarzyszenia wolnomyślne*, które tak w prasie jak w konferencjach walczą oszczerczo z Kościołem, jego dogmatami i duchowieństwem. 3) *Wolnomularstwo*, którego działalność jest konspiracyjną i bardzo zdysceplinowaną. 4) *Imprezy demoralizacji*, które w prasie, w rewiach, w przedstawieniach i piosenkach atakują obyczaje chrześcijańskie podkopując tym samym wiarę w Boga. 5) *Organizacje laickie*, które propagują „laicyzm” w szkole, rodzinie, instytucjach politycznych i społecznych.

Słusznie mówi kardynał Liénart, że jeden komunizm jest tylko czysto *doktrynalny i propagandowy*, drugi zaś *praktyczny*. Pierwszy daje wizję, która pociąga zwolenników dla odnoszenia sukcesów wyborczych i wzmoczenia swej akcji. Komunizm praktyczny jest tym, który rządzi obecnie Rosją i wprowadził go tam w czyn. Z tej strony należy go oceniać i wtedy też przedstawi się nam, jak system, który żąda zniszczenia religii i zastąpienia jej przez najskrajniejszy materializm, zniesienia prywatnej własności, walki klas, *ruiny rodziny*, dyktatury proletariatu a raczej państwa, w którym obywatele byłiby faktycznie niewolnikami. Między katolicyzmem i komunizmem nie ma żadnych stycznych i żadnej też współpracy być nie może. *Komunizm jest negacją wszystkiego, w co wierzymy i co kochamy, tak jak negacją ognia jest woda*.

Cel socjalizmu jest ten sam, co komunizmu. W socjalizmie znajdujemy tę samą doktrynę materialistyczną, tę samą nienawiść do religii, *te same błędy, dotyczące rodziny, własności prywatnej, stosunku klas społecznych do siebie*. Różnica polega głównie na środkach prowadzących do celu. Im mniej bezwzględności w porównaniu z komunizmem przejawia socjalizm, tym więcej umiarkowania wykazuje tak w wykładzie swojego programu, jak i metodach. W ten sposób przyciąga tych, których odstrasza bezwzględność komunizmu. Dlatego też socjalizm jest więcej niebezpieczny od komunizmu, któremu toruje drogę.

Kościół widzi w *liberalizmie gospodarczym* błąd z tego samego względu, co w socjalizmie i komunizmie. Liberalizm gospodarczy traktuje gospodarstwo społeczne

jedynie jako kwestię produkcji, jej rozdziału i spożycia, *eliminując z niej wszystkie prawa moralne*, stosunki pracodawców i pracobiorców — i w ten sposób chce regulować życie stosownie do praw czysto pogańskiej zasady „podaży i popytu”. Nie uznaje zupełnie praw godności człowieka, jego praw do życia, *obowiązku utrzymania rodziny, podporządkowując pracę maszynnie i nieniądzowi*. Ta właśnie teoria doprowadziła według encykliki Leona XIII „*Reverentissimum*” do stanu „niezasłużonej nędzy robotnika”.

W *Niemczech* walka nadal trwa i zaostrza się. „Essener Nationalzeitung”, który powszechnie uchodzi za gazetę inspirowaną przez Göringa w taki sposób rozstrzyga problem religijny w szkolnictwie „Trzeciej Rzeszy”: „*Wyeliminowanie wszelkich cech wyznaniowości ze związków młodzieży hitlerowskiej (Hitler-Jugend) oznacza, że w przyszłości państwo niemieckie będzie się opierać na takiej generacji, która podobnie, jak sam Führer Adolf Hitler, nie będzie związana z żadnym specjalnym wyznaniem lub klasą społeczną, lecz będzie należeć do całych Niemiec, jak to już określił przywódca młodzieży Baldur von Schirach, mówiąc: „Kto służy wodzowi Adolfowi Hitlerowi, ten służy Niemcom, a kto służy Niemcom, ten służy Bogu!”*”

Aby należycie zrozumieć podłoże społeczne, na którym odbywa się obecna walka religijna w Niemczech, należy stwierdzić, że żadne z istniejących wyznań chrześcijańskich (a nie tylko katolicyzm) w III Rzeszy nie godzi się z doktryną rasizmu. Zbudowana z wielkim wysiłkiem *teoria rasizmu hitlerowskiego o wyłączności moralnej, kulturalnej, politycznej ras*, twierdzi, że dorobek jednej rasy, o ile jest przyjęty przez inną rasę, musi prowadzić ją do upadku, jako rzecz zasadniczo wroga jej kulturze. Stąd krok już tylko do uznania chrześcijaństwa za wytwór rasy żydowskiej.

Trzeba było jednak wypełnić w jakiś sposób próżnię, powstałą po odmówieniu obywatelstwa chrystianizmowi. Zaczęto poszukiwać nowej a raczej starej *germańskiej wiary, wytworzonej przez rasę niemiecką, służącej jej celom kulturalnym i politycznym*.

Oczywiście na tej drodze najłatwiej dojść do zmienności, co się też w wielu wypadkach stało. „Nowe germańskie wiary” stają się przedmiotem wesołości nie tylko zagranicą. Tym niemniej rzecz jest zaczęta. Śmiano się z Ludendorffa i innych „objawicieli”, ale jednocześnie tracono dotychczasowe podstawy katolickie czy protestanckie, gdyż „nowe wiary” zajmują się najbardziej zwałaniem katolicyzmu i protestantyzmu. Straciwszy zaś dotychczasową wiarę, rozpoczyna każdy szukać na własną rękę i tworzyć „*germańskie objawienie*”. Na razie jeszcze ruch ten nie jest masowy, ale coraz częściej zapytano o religię młody Niemiec, odpowiada: „Ich bin Heide” (jestem poganinem). (Por. „Problem zjednoczenia religijnego w Niemczech”, oraz G. Blondel. „Pour mieux connaître les Allemands”).

Niektórzy z wodzów germanizmu podkreślają, że wyrzeczenie się podstaw cywilizacji zachodniej, czyli uniwersalizmu grecko-rzymskiego stanowi nawet podstawowy warunek kultury narodowej Niemiec. „W naszym systemacie zbiorowego wychowania musimy dążyć do stworzenia zdrowego typu młodego Niemca, a nie młodego Greka czy Rzymianina” — wołał już Wilhelm II — i ta idea wraca dziś w III Rzeszy.

Deputowany do parlamentu Friedrich Neumann oznajmił wprost że *głównym celem wojny europejskiej było „przeciwstawienie uniwersalizmowi cywilizacji tacińskiej cywilizację narodową po niemiecku pojętą”*.

Przyglądając się konfiguracji współczesnych obozów wyznaniowych w Europie, stwierdzamy, że Polska znajduje się pomiędzy dwiema uzbrojonymi warowniami dwu pełnych rozpędu i dynamizmu religii, z których każda, szczególnie to wschodnie wyznanie bolszewickie płonie fanatyczną żądzą nawrócenia i przerobienia naszego globu w myśl swoich dogmatów.

Ojczyzna nasza lada chwila stać się może kolejnym obiektem najazdu marksistowskich termitów, przed którymi zbledną najgroźniejsze pochody islamu na świat Krzyża. W obliczu tej wojny krzyżowej drepczemy na miejscu nieuzbrojeni, niezdecydowani. A musielibyśmy — jak słusznie podkreśla polski publicysta Kożuchowski — przeciw sierpowi i młotowi wywieść znak swastyki lub znak krzyża. Nie jest naszą rzeczą już teraz przesądzać o wyznaniu nacjonalizmu polskiego, chcielibyśmy jedynie wyrazić gorące pragnienie, by jeśli miał ów nacjonalizm polski obrąć sobie jakiś symbol, to raczej *ten odwieczny wypróbowany znak Chrystusowy*. Chrześcijaństwo da nam bowiem siłę nie tylko dla fizycznej rozprawy z ewentualną krucjatą materializmu marksistowskiego, ale stanie się *źródłem naszego pogotowia obronnego przeciwko dywersji wewnętrznej*.

Z FILMU

W „Filharmonii” idzie film wojenny, daleki zresztą od jakiegokolwiek literackiej stylizacji. Jest to film dokument, zestawiony z autentycznych zdjęć. Groza wojny daleka jest tu od afektacji i pozy, nie ma na sobie ani śladu szminki, nie ma w sobie nawet zbędnych rysów indywidualnej tragedii. Rozłożona została na wielkie masy ludzkie na ogromne przestrzenie i tak urasta do jakichś apokaliptycznych perspektyw ostatecznej zagłady ludzkości i ziemi. Straszliwy huragan, którego poszczególne ogni-



Viktor M'Laughlin i Peterhone w f. „Nancy Steele zaginęła” — „20 Century-Fox”

wa pokazano nam zresztą drobiazgowo, miazdzy ziemię, wsie i miasta, obraca je w perzynę i ruinę rzeźbi powierzchnię ziemi tragicznymi brudami zniszczenia, w którego tle śmierć ludzka jest tylko jednym z akcentów. Film odsłania nam ściśle i wprost fachowo wszystkie szczegóły mechaniki wojennej naszych czasów, cały ten skomplikowany system „tworzenia historii ogniem i żelazem”. Jest on istotnie bardzo skomplikowany i wyrafinowany, budzi podziw dla swej sprawności. Podziw budzi też człowiek, żołnierz związany z tą machiną, wojenną, agent tego inferno i które stwarza geniusz ludzkiej techniki oblężonej ideą zniszczenia. Piękne w tym wszystkim jest tylko napięcie woli walczących i ich przedziwna umiejętność życia

się z czymś tak sprzecznym z instynktem samozachowania jednostki, jak wojna, a tak naturalnym jako przejaw samozachowania społeczeństw narodów i państw. Ten film to dokument żołnierskiego życia, poświęcenia i bohaterstwa.

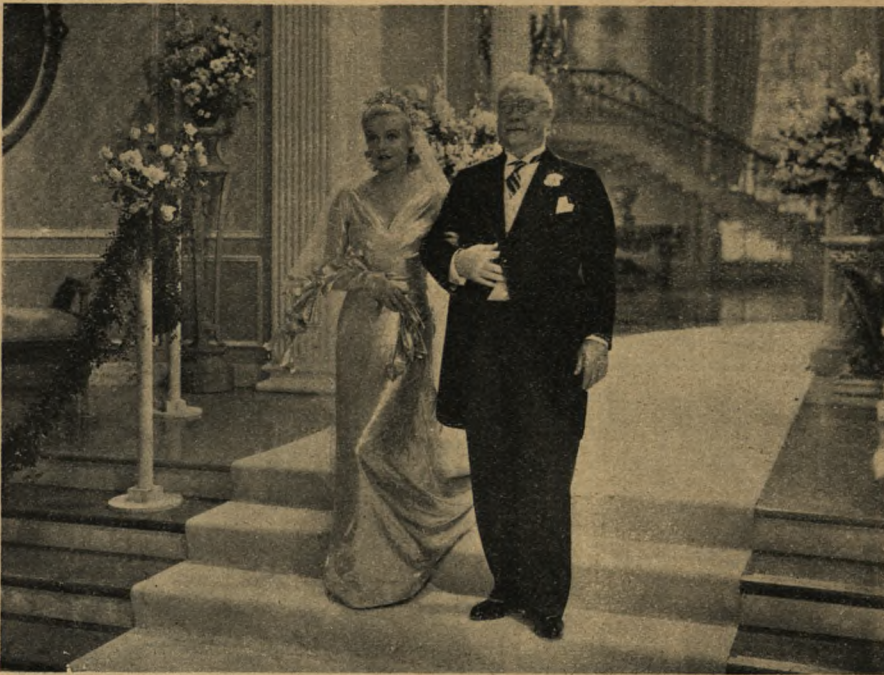
Tak się składa, że w kinie „Roma” idzie również film o podkładzie militarnym. Terenem tym razem jest nie ląd, lecz woda. „Krew na morzu”, to hymn filmowy na chwałę bohaterstwa marynarki podwodnej. Tu już występują takie indywidualności jak kapitan łodzi podwodnej „Harry Baur”, przypomniał się nam wielki aktor ekranu Iwan Mozzuchin. Film ma interesujący pokład dramatyczny w stylu claudelafarerowskiego „Bitwy” lub „Nocy przed bitwą”, którą znów przypomniały nam ekranu stolicy. Oryginalny tytuł filmu idącego w Romie „Niczewo” mówi nam o rodzinnym środowisku filmu zupełnie wyraźnie. W sumie film mocny, o interesującej fabule, przedstawiający egzotyczną zupełnie broń, jaką są łodzie podwodne.

Nie każdy z czytelników wie o tym, iż Irving Berlin, sławny ilustrator muzyczny dotychczasowych filmów pary tanecznej Fred Astair — Ginger Rogers, jest najlepiej zarabiającym człowiekiem w Stanach Zjednoczonych. Wystarczy zaznaczyć, że jedna tylko piosenka przyniosła mu 2 miliony dolarów. Wygląda to trochę nieprawdopodobnie, jednak łatwo da się zrozumieć, jeśli zważymy, że jej autor inkasuje tantiemy za wykonanie każdej piosenki nawet na najdalszych krańcach świata. W Tonkinie, Paryżu, czy Białymstoku za każdy przebieg płaci się odpowiednią kwotę.

Ten to „milioner” Irving Berlin przeszedł obecnie na stałe do wytworni „20th Century-Fox”. Pierwszy jego film został już całkowicie ukończony i nosi tytuł „Na bulwarach”. W Hollywood postarano się o należytą dlań obsadę aktorską. Zaangażowano tedy Madeleine Carroll, Dicka Powella i Alice Faye, którzy wnoszą do tego filmu nieporównany wdzięk i czar. O całą jednak „długość” bije tę trójkę inna bardziej rasowa gromada, a mianowicie fenomenalni komicy bracia Ritz, których



Ben Bernie i Jack Haley w komedii f. „Hallo Ameryka” — „20 Century-Fox”.



Madeleine Carrol i George Barbier w f. „Światła bulwarów” „20th Century-Fox”.

doskonale pamiętamy z filmu „Jedna na milion”.

Film „Na bulwarach” posiada aż 6 piosenek, do których nie tylko muzykę, ale i słowa pisał wspomniany już wyżej kompozytor.

Wytwórnia „20th Century-Fox” sprowadziła już ten film do kraju i miejmy nadzieję, iż cała Polska wkrótce śpiewać będzie jego piękne przeboje.

Jest jedno nazwisko, które świeci od lat tym samym potężnym blaskiem na firmamencie wielkich gwiazd Hollywoodu. Jest jeden człowiek, który swą wielką postacią aktorską zaważył mocno na całej dziedzinie sztuki filmowej. Jego nazwisko brzmi Viktor Mc. Laglen. Przypomnijmy sobie całą plejadę rol, odtworzonych z całą maestrią przez tego wspaniałego aktora. Jak mocno wryły się w naszą pamięć role Mc. Laglena w „Pod dwiema flagami” i w „Potępieńcu”. Pamiętamy doskonale, że „Potępieńca” przyniósł mu złoty medal Akademii Filmowej w Ameryce.

Obecnie Laglen zagra w filmie o podobnym temacie, w którym do głębi musi wrzucić nasze serca. Laglen celuje w odtwarzanie postaci twardych, mocnych i nieustępliwych, które jednak dzięki nieprzewidzianym okolicznościom i wyższym nakazom muszą się ugiąć, dać się zetrzeć w proch. W „Potępieńcu” kresem wędrówki zdrajcy — Laglena było sumienie. W nowym wielkim filmie, który nakręcił dla wytwórni „20th Century-Fox”, Laglen musi ugiąć się przed nieubłaganim prawem, które go ściga przez całe życie. Były więzień, niesłusznie poświadczony o spełnieniu jakiegos czynu, wydostawszy się z więzienia postanawia najdotkliwiej zemścić się na sprawcach swego losu. Nić intrygi zawiązana mocno i wnikliwie przez reżysera Tay Garnetta przewija się poprzez cały film, dając widzowi serię bardzo mocnych przeżyć. Laglen w filmie pt. „Popełniono zbrodnie” daje postać wyrazistą i mimo woli zaczynamy wierzyć, iż ten Laglen z ekranu to nie tylko sylwetka aktorska, ale prawdziwy człowiek z krwi i kości.

Amerykanie, ludzie prymitywni, wszystko biorą pod kątem rekordów, obojętnie w ja-

kiej dziedzinie i rodzaju. Każdy zawód, każda profesja, czy stanowisko ma swego rekordzistę, swego najbardziej eksponowanego człowieka, który jest wzorem dla innych. I tak możemy się spotkać z rekordzistą-rzeźnikiem, rekordzistą-footballistą i nawet rekordzistą-deputowanym do Kongresu, który np. wygłosił największą ilość mów w danej sesji parlamentarnej. Mania rekordów w Ameryce jest czymś zwyczajnym i codziennym.

Nie wszyscy wiedzą, że pośród reporterów amerykańskich obwołanym został, jako najzdolniejszy i najbardziej dowcipny, Walter Winchell. Sława jego datuje się od szeregu lat i Winchell na łamach koncertu prasowego Hearsta jest codziennie czytany przez 12 milionów Yankesów. W plebiscycie, jaki niedawno został urządzony w Ameryce na najbardziej popularną 10-kę współczesnych, zamieszkujących ten kraj rekord, Winchell znalazł się jako 4 na tej liście, obok prezydenta Roosevelta, Greta Garbo i Shirley Temple.

Walter Winchell, najślawniejszy reporter Ameryki, najgenialniejszy łowca zdarzeń z dnia codziennego, został aktorem filmowym. Wystąpi on mianowicie w rekordowym filmie wytwórni „20th Century-Fox” pt. „Życie jest piękne” (Wake up and live). Winchell, którego „hallo, Ameryka”, rozgłaszanego przez wszystkie radiofony państwowe i prywatne, słuchają z drżeniem całe Stany Zjednoczone, ukazał się na ekranie i w lot zdobył świat.

W filmie tym występują obok Winchella: słynny speaker radiowy Ben Bernie oraz cała plejada „zawodowych” aktorów filmowych, jak: Alice Faye, Jack Haley, Ned Sparks i Lee Ray. Akcja, zabarwiona najnowszymi aktualniami dzisiejszego dnia, melodyjne piosenki, porywająca treść — to wszystko składa się na to, iż zobaczymy sensację pierwszej klasy. Walter Winchell zdobędzie Europę!

W studiach „20th Century-Fox” czynią już przygotowania do drugiego filmu z Sonia Henie. Oryginalny tytuł brzmić będzie „Tine ice”. Współpartnerem Sonii jest bohater filmu „Trafalgar” — Tyrone Power. W filmie wystąpi również słynny

zespół 200 łyżwiarek i łyżwiarzy z filmu „Jedna na milion”.

„Love under fire” — oto tytuł nowego filmu czarującej Loretty Young. Akcja tego filmu posiada za tło najsłynniejszą kradzież najwspanialszej kolekcji brylantów, jaka wydarzyła się w ciągu ostatnich paru miesięcy w jednym z państw Europy. Do tego celu musiano sporządzić szereg pięknych imitacji brylantów, których wartość wyniosła przeszło 5.000 dolarów. Lorecie Young partneruje Don Ameche.

Aleksander Korda, słynny producent angielski, będzie robił dla wytwórni „20th Century-Fox” na terenie Anglii film osnuty na tle życia słynnego agenta angielskiego z Dalekiego Wschodu — Lawrence’a. Główna rola nie jest jeszcze obsadzona.

Grace Fields, najsłynniejsza kobieta-komik kontynentu, zwana „Chaplinem w spodnicy”, przybyła w ostatnich dniach do Hollywood w związku ze zdjęciami do filmu dla wytwórni „20th Century-Fox. Grace Fields posiada największą „vis-comica”, jaką miała kiedykolwiek kobieta i każdy jej występ przed mikrofonem „B. B. C.” w Londynie był płatny 50 dolarów za słowo.

Z MUZYKI

Śmierć Karola Szymanowskiego chociaż z dawna oczekiwana, odbiła się jednak echem bardzo bolesnym nie tylko w całej Polsce ale i za granicą, zwłaszcza w Ameryce. Odszedł na wieki twórca wielki, na wskroś oryginalny i pozbawiony wszelkiego posmaku blagi lub kompromisu z gustami współczesnych. Muzyk, który jak Debussy umiał tworzyć własny system dźwiękowy, jak ongiś Chopin — niezrozumiany był i będzie jeszcze długo przez tłumy. Bo tłum łaknie taniego efektu, zdawkowych frazesów i protekcji... A Szymanowski był zbyt wytworny, zbyt pański, aby się do nich zniżać. Żył i tworzył samemu sobie. Rozumiał go do niedawna jeszcze szczerze grono estetów. Bo muzyka autora „Króla Rogera” i „Czwartej symfonii”, „Harnasiów” czy „Pieśni Muezzina Szalonego” wymaga nie tylko przygotowania ale i kultury muzycznej. A tą, mówiąc szczerze, nie bardzo się wobec Europy możemy dotąd poszczycić. Pisaliśmy cokolwiek o tym w ubiegłym felietonie; smutne to zapewne ale i — prawdziwe. I to należy mieć odwagę powiedzieć, aby nie potwarzała się na ziemiach naszych odwieczna tradycja epoki Chopinowskiej, zapoznania Paderewskiego, Stajewskiego i tylu innych.

Odznaczenia wielkich i zasłużonych, dokonywane... po ich śmierci, mają w tych warunkach swoją wymowę. Ostatnia posługa oddana przez naród prochom Karola Szymanowskiego była jednak dowodem, że zdajemy sobie sprawę *kim* był przedwcześnie zmarły kompozytor. Nawet ci, którzy do niedawna zwalczały go w słowie i piśmie zamilkli kornie, kiedy trumnę wnoszono do auli Konserwatorium i później — na Skałkę. Nie czas jeszcze na pełną i wyczerpującą charakterystykę pracy twórczej Szymanowskiego. Jeśli zasłużył sobie istotnie na chwałę wieczną — przyjdzie ona w czasie właściwym.

Z uroczystości krakowskich wracamy do życia, które w dziedzinie muzycznej pulsuje obecnie bardzo mocno. Z murów Opery wyziera ku nam premiera nie znanej u nas kompozycji Kienzla pt. „Markiza”. Rzecz oparta, podobnie jak „André Chemer” na rewolucji francuskiej, raczej melodramat, niż dzieło operowe. Trudno jest dociec, czym kierowała się Dyrekcja Teatru Wielkiego w wyborze mało ciekawego dzie-

ła Kienzla. Jeśli poczuciem wartości estetycznej, to nie widzę go wiele, jeśli zaś wyuczuciem nastroju publiczności, to wybór opary tak rewolucyjnej jak „Markiza” nie wydaje się być na czasie... Szkoda że i muzyka jest nieciekawa, wyjąwszy chyba wdzięczną pieśń szwajcarską z aktu I i ku ka ładnych tańców z imau. Gdyby nie kreacja tytułowa p. *Ewy Bandrowskiej-Turskiej*, kto wie czy opera Kienzla dożyłaby drugiego przedstawienia. Dodajmy że Gruszczyński jest w dalszym ciągu w formie, mało harmonizującej z tym, czego się dziś od obsady opery stoletczej wymaga. Co uszło jeszcze na tle „Parsifala”, to jaskrawo raziło w „Markizie”. Po kilku przedstawieniach ucichły echa nowej premiery, powrócił zato wityany entuzjastycznie „Orfeusz w Piekle” Offenbacha z niezawodną Marylą *Karwowską* no i wrócił ponownie Szalopin. Pamiętam jego słynną kreację w „Godunowie” z roku 1916 w kijowskim teatrze Bagrowa. Szalopin z tamtych czasów to był tytan śpiewu i gry scenicznej. Jego Godunów była to postać z jednej bryły, zwarta i plastyczna. Nie umiem ulegać sugestii, powieczne więc wręcz, że Szalopin z roku 1937 to tylko echo tamtych świetnych czasów. Jego gra ma jeszcze „łwi pazur”, recitatywy brzmią jeszcze donośnie, ale bel canto tego cudnego basu zatarło się już dawno — Sic transit gloria...

Bez zbytniego rozgłosu dokonuje się w łonie opery zmiany personelu. Nazwisko Leontiewa, o którym pisałem z wielkim uznaniem z okazji „Legendy o Józefie” znikło nagle z afisza. Ukazał się natomiast dawny nasz znajomy, zasłużony dla baletu z lat dawnych, Piotr Zajlich. Nie wiem czemu przypisać tę nagłą zmianę „gabinetową”, faktem jest jednak, że odtąd będziemy mieć do czynienia z kreacjami tanecznymi Zajlicha, które pamiętamy z czasów „Pana Twardowskiego” „Szechercedy” i tylu innych. Ano — zobaczymy.

Na estradach warszawskich wielki ruch wiosenny. W Filharmonii zabrzmiały ponownie echa konkursów w postaci świetnie zagranej przez *Artura Rubinsteina* koncertu f-moll Chopina. Zato c-moll Beethovena wypadł błado. Po prostu nie leży on w charakterze ekspansywnej i pełnej blasku wirtuozowskiej gry Artura. Kto chce w pełni ocenić możliwości tego wielkiego pianisty, niechaj woła o Granadosa, de Falla czy Albeniza — tych gra Rubinstein po mistrzowsku. Rzadko u pulpitu dyrygenckiego ukazuje się *Kazimierz Wilkomirski*. Na jego działalność muzyczną patrzymy z oddali. Na trudnej ale i wdzięcznej zarazem placówce w Gdańsku robi Wilkomirski wiele, sieje umiłowanie dla muzyki polskiej i kształci kadry młodzieży tamtejszej w szczyplym lokalu Konserwatorium gdańskiego Polskiej Macierzy Szkolnej.

Każdy jego przyjazd do stolicy podkreśla ile ubyło nam z chwilą osiedlenia się Wilkomirskiego w Gdańsku. Dyrygent to wnikliwy, wielce kulturalny, przy tym niezawodny towarzysz solisty.

Również i *Stanisław Kazuro* zbyt rzadko ukazuje się na widowni i zbyt mało jest jeszcze ceniony. Przecież Kazuro, jeśli spojrzeć na jego działalność w stolicy ad dni premiery jego opery (przed laty w salce na Śniadeckich) — to nieugięty pionier pieśniarstwa, człowiek wielkiego talentu i co ostatnio rzadko idzie z sobą w parze — czystych rąk. Daleki od sztucznego rozgłosu, od ubiegania się o nagrody państwowe, na które bezsprzecznie rzetelniej od wielu innych zasłużył, w swoje podmiejskiej „kompozytorni” żyje Ka-

zuro wyłącznie swoją wielką sztuką. Komu wiadomo, że on to pierwszy od czasów Bacha napisał poczet inwencji, pieśni solowych i zespołowych, stylizowane na chór pieśni regionalne i oratoria przepyszne ze „Słońcem” na czele, że jednocześnie prowadzi klasę w Konserwatorium naszym i zarządza wydziałem pedagogicznym — ten musi przyznać, że zasługi wielostronnej tej działalności Kazury są wielkie, po prostu nie mieszczą się w urzędowych ramach nagród i odznaczeń. — Koncert kompozytorski *Stanisława Kazury* jaki odbył się w dniu 6 maja stał się żywym dowodem subtelnej inwencji twórczej i doskonałej roboty kompozytorskiej autora „Słońca”. Niechaj mu świeci ono w lata jak najdłuższe. Niechaj też oświeci tych, którym o zasługach muzycznych Kazury nie wiedzieć wręcz — nie przystoi.

W sali konserwatorium odbył się również recital *Felicy Blumentalówny*, pianistki zamieszkałej stale w Luksemburgu. Bardzo interesujący program tego koncertu był dowodem że p. Blumental (ucz. prof. Zb. Drzewieckiego) traktuje powołanie swoje poważnie, unika tanich efektów. Nawet „Polka” Szostakowicza i utwory jej podobne, zagrane były bez trywialności, jaką niestety lubią wnosić do muzyki najnowszej nasi pianiści.

W dniu 15 kwietnia minęło lat 25 od pierwszego występu w Filharmonii Warszawskiej pianisty i kompozytora, koncertującego przeważnie za granicą, *prof. Wł. Burkatha*. Artysta uczcił tę rocznicę recitalem, danym w sali koncertowej Instytutu Ociemniałych i wykonał wyjątkowe utwory J. S. Bacha, Beethovena i Schumanna z „Karnawalem” na czele.

W wielkiej sali „Romy” odbywają się co pewien czas omawiane już na tym miejscu koncerty orkiestry P. Radia. Niedawno usłyszeliśmy tam wysoce wartościową produkcję w wykonaniu znakomitego chóru katedralnego z Poznania pod batutą *ks. dra Wacława Gieburowskiego*. Warszawa nie posiada takiego chóru i prawdę mówiąc, nie zasługuje na to. Nie wielu znawców rozumie u nas sztukę Zielińskich Szarzyńskich, czy Schützów. Mało kto uczuwa potrzebę rafałowskich rysunków wykonywanych przez chór naprawdę subtelny. Kapela Ronarystów z XVI stulecia odżyła u stóp katedry poznańskiej dzięki wielkiej wiedzy *ks. dra Gieburowskiego*. Koncert w „Romie” należał do wyjątkowo wartościowych zarówno z uwagi na utwory XVII stulecia, jak na ich wykonanie. Bardzo wyrabia się młody kapelmistrz p. *M. Mierzejewski*. Poprowadzona przezeń symfonia była ponownie dowodem talentu i wielkiego umiaru *Mierzejewskiego*. Jest to obok K. Wilkomirskiego jeden z najbardziej zdolnych dyrygentów młodego pokolenia. Korzystam ze sposobności aby dopisać obok nich nazwisko *Tyllii*, oczywiście działającego an terenie Opery. Szkoda tylko że włożył on tyle pracy w premierę tak mało wartościową jak omawiana przez nas wyżej „Markiza” Kienzla.

Jeszcze słów kilka o naszej prasie muzycznej. Wydawana przez długie lata przez *red. Mateusza Glińskiego* „Muzyka” zmniejszyła bardzo swoje rozmiary, przystosowując się śnać do potrzeb chwili. A szkoda gdyż czasopismo to ma za sobą piękne karty i wielkie zasługi kulturalne, o których pamiętamy, a raczej pamiętają ci, któ-

rym to z jakichkolwiek względów obocznych nie przeszkadza. Zamiast umożliwić anemiczne w swych rozmiarach pisma i pisemka muzyczne, czy nie byłoby lepiej subsydiować wydawnictwa, które się już, jak „Muzyka”, zdołały wykazać swoją wioletnią działalnością.

Na półkach księgarskich widnieje również „Muzyka Polska”, która ostatnio z kwartalnika zesłała na miesięcznik. Rzadko się widzi za to „Muzykę w szkole i w domu”, zamikł (może chwilowo) poznański „Przegląd Muzyczny” ongiś tak świetnie redagowany przez *Kaz. Sikorskiego*. W układzie treści pism muzycznych wolelibyśmy jednak widzieć więcej analizy a mniej polemiki. Sprawy osobiste muzyków, chociażby najpoważniejszych, ich wzajemne animozje, winny zdaniem moim zejść dzisiaj na plan trzeci, ustępując w nielicznych czasopismach muzycznych raczej artykułom czysto fachowym. Prywata zaś — rzetelnej kulturze muzycznej, dla której, jeśli się nie mylę, czasopisma te istnieją. Tak jest przynajmniej w znanych mi periodykach tego rodzaju za granicą.

Wł. B.

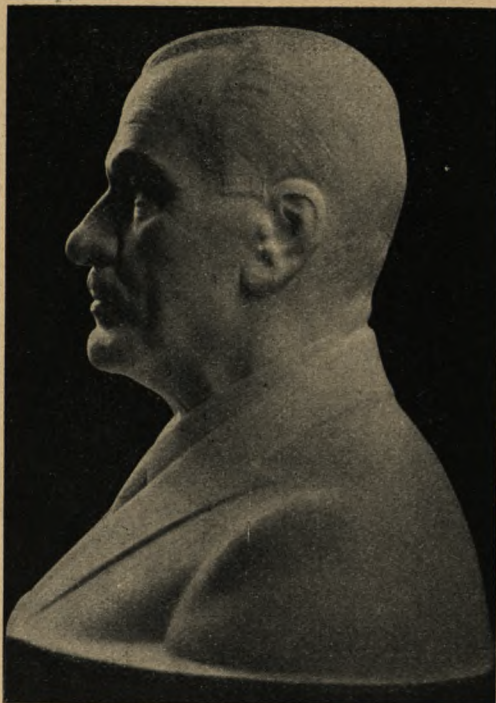
ZE SZTUKI

Nie było jeszcze w Polsce niepodległej tak potężnej manifestacji rzeźby, jaką jest ostatnia wystawa w IPS'ie. Paręset prac 60 artystów zgromadzonych razem daje już możliwość nieomylniej oceny tej gałęzi naszej plastyki.

Pierwszym wrażeniem, jakie wynosi się z wystawy jest, że polskie rzeźbiarstwo trzyma się mocno gruntu dobrej tradycji i klasycznej szkoły. Nie znajdujemy na ekspozycji nic z jaskrawego nowatorstwa, z ugrosczeń kubistyczno-formalistycznych, ongiś tak modnych i jeszcze dziś niezupełnie wytrzebionych za granicą.



J. Szczepkowski. Szkic kompozycyjny.



Lewandowski. — Prezydent I. Mościcki.

Nasz wielki salon prezentuje rzeźbę do-
brze wkorzoną w najniżniejszy grunt
plastycznych założeń zdrowego, klasyczne-
go powiedzielnego realizmu. Snująca się
nie stylizacji nie drażni ani jątrzy, owszem
tłumaczy się zupełnie logicznie nowym ale
trzeźwym rozumieniem ekspresji materia-
łu i wynikającymi stąd konsekwencjami
plastycznymi.

Tak na przykład reliefowy św. Franciszek
Zerycha przy daleko posuniętym upro-
szczeniu i schematycznie liniatury porywa
szlachetną i dyskretną harmonią płaszczyzn
i logiką kierunkowości obrysów.

Widać, że artysta umiał uporządkować ad
maksimum środki ekspresji, a uproszczenia
zlały się w tym wypadku w zgodny akord
jakiegoś zachwycenia i ekstazy, porywają-
cej świętego. Jest to jedno z najlepszych
dzieł Zerycha. Doskonale też prezentuje
możliwości jego plastyki monumentalna,
obrobiona w drzewie, głowa Orzeszkowej.
Mocno, z grubą przez samą naturę wyciosa-
na twarz wybitnej pisarki napraszała się
wprost pod sekator i dłuto. W sumie dzie-
ło dojrzałe, o zdecydowanym profilu, tę-
żynie bryły, i portretowej autentyczności.

Interesująco przedstawia się rzeźba zwie-
rzęca reprezentowana głównie przez Gros-
sównę. Miłosnym okiem spogląda artystka
na swe ptaki i kozice, pieści ich płynne,
„aerodynamiczne” można by powiedzieć li-
nie. W rezultacie otrzymujemy szereg dzieł
plastycznych o zupełnie przekonującym
wyrazie.

Imponujących rozmiarów dziełem jest
Syrena. Ale nie tylko rozmiary dzieła,
proszącego się o jakiś plac publiczny, im-
ponują i zaciekawiają. Zachwycą nas także
świetna proporcja i przyjemna kadencja
obrysów i fragmentów tej szlachetnej bry-
ły.

Spośród znanych nazwisk mamy tu dzie-
ła Szczepkowskiego, z jego osobliwą ten-
dencją łączenia wypukłości i wnęk w rytm
liniowo-przestrzenny. Jest Kuna z pewnymi
akcentami wschodnimi w ogólnym cha-
rakterze i aurze swej plastyki. Jego Alina
to dzieło głębokiego przemyślenia proble-

mów statyki i dynamiki kształtu ludz-
kiego. Logiczna postawa figury, gest,
melodyka napięcie kierunkowych głowy,
barków, rąk — wszystko stanowi efekt
doskonałego wczucia się w ducha i ka-
nony plastyki trójwymiarowej.

Bogato przedstawia się na wystawie
portret. Szlachetny w swej autentycz-
ności jest biust p. Prezydenta dłuta S.
R. Lewandowskiego, wysoce interesują-
cą pracę dała Trzczińska-Kamińska
w portrecie dyr. St. Michalskiego. Wszys-
tkie walory tej pełnej wyrazu
głowy, jej sarmacka zamaszystość i
bujność znalazły właściwe akcenty
pod dłonią rzeźbiarki.

Mimo tak wielkiej liczby uczestni-
ków zabrakło jednak na wystawie sze-
regu wybitnych twórców, ze starszego
pokolenia takich jak Wittig, Szukal-
ski, Madejski, wśród młodszych Mi-
szewski i inni.

Oddzielną pozycję ma na wystawie
Stanisław Ostrowski. Jest to artysta
pozostający pod silnym wpływem im-
presjonizmu w zakresie formy i prze-
jawiający silną ekspresjonistyczną
tendencję pod względem treści. Uwy-
datnia się to zwłaszcza w serii zresztą
bardzo interesująco ukształtowanych
rekonstrukcji naszych romantyków —
Mickiewicza, Norwida, Chopina. W
portretach z modelu jeden z najcha-
rakterystyczniejszych dla swego dłuta efek-
tów osiągnął artysta w wizerunku Olgi
Boznańskiej.

Z PIŚMIENICTWA

Za granicą.

*W Anglii od Wilhelma Zdobywcy do Je-
rzego VI.*

Herbert Van Thal wydał ostatnio nadzwyczaj ciekawą *Księgę Listów Królewskich* (Cresset Press). Jest to zbiór przeszło 270 autentycznych listów, napisanych nie tylko przez samych monarchów angielskich, ale także przez członków ich najbliższych rodzin. Każdy list zaopatrzony jest krótkim wstępem, przedstawiającym okoliczności jego napisania i tłumaczącym aluzje w nim zawarte, które mogłyby być niezrozumiane dla zwykłego czytelnika. Autor książki nie układał swej antologii, kierując się historycznym znaczeniem listów. Przeciwnie, główną jego troską było rzucenie jak najwięcej światła na osobiste cechy królów, którzy te listy pisali. Toteż bez przesady można powiedzieć, że oznaczają oni prawdziwie wśród kart tej książki i stają się dla czytelnika bezporównania bardziej bliscy i zrozumiałe. Myślę, że byłoby wskazane, aby z tego przykładu skorzystano i w innych krajach, bo książka taka rzeczywiście potrafi zachęcić do poznania historii własnego kraju.

Specjalne uznanie należy się p. Van Thalowi za interesujący zbiór listów dynastii Hannowerskiej, mimo że, oczywiście trzeba się zgodzić, iż praca jego stawała się coraz łatwiejsza, im bardziej zbliżał się do czasów nowożytnych. Jako moment aktualny, o którym nie można zapomnieć, książka zawiera bardzo charakterystyczny i ciekawy wyjątek z dziennika królowej Wiktorii, która w nim opowiada o swej własnej koronacji.

Rocznica urodzin Szekspira. Dorocznym zwyczajem dzień 23 kwietnia, czyli data urodzin Szekspira, był święcony uroczystie w Anglii, w Stratford-on-Avon, mieście rodzinnym największego poety świata. — O

6 rano zabrzmiały dzwony w kościele Św. Trójcy, stojącym pomiędzy ogrodem Szekspira, a szkołą w której kształcił się on, jak utrzymuje tradycja. Wkrótce potem na ulicach miasta pojawiły się panie w kostiumach elżbietańskich, sprzedające gałązki rozmarynu. W ciągu ranka przybyli przedstawiciele dyplomacyjni przeszło 40 państw, którzy z nadejściem południa zajęli miejsca przy masztach flagowych, ciągnących się od teatru wzdłuż ogrodu Banerofa i trzema rzędami przez ulicę Bridge Street aż do środka miasta.

O godzinie 12 w południe przy dźwięku fanfary i huku wystrzałów zafurkotały na masztach flagi osiemdziesięciu narodów, składających doroczny hołd wielkiemu geniuszowi. Poczem u drzwi domu, w którym Szekspir się urodził uformował się pochód, który z orkiestrą na czele podążył przez miasto do kościoła, w którym znajduje się grób Szekspira. Członkowie pochodzą w rękę nieśli pęki świeżych kwiatów. Obchód zakończył się wedle zwyczaju bankietem.

We Francji najmłodsza Akademia. Najmłodsza z literackich Akademii francuskich — portycka *Académie Mallarmé* dokonała ostatnio wyboru trzech nowych członków, toteż należy się spodziewać, iż niedługo znajdzie się ona w komplecie. Brakuje jej jeszcze dwóch członków, których wybór odłożony został do jesieni. Trzej nowoobrani: Valery Larband, Léon-Paul Fargue i Charles Vildrac są znacznie młodszy od członków założycieli. Wybór ich dowodzi jednocześnie ekлекtyzmu akademii, ponieważ są to talenty zupełnie różnorodne. Valery Larband jest słusznie uważany za twórcę kosmopolityzmu literackiego, Léon-Paul Fargue jest poetą czysto paryskim, a Charles Vildrac, który należał do grupy „unanimistów”, główne sukcesy odniósł na terenie teatru dzięki sztukom: *Michel Anclair, Le Paquebot Tenacity* i innym. Valery Larband od dłuższego czasu z powodu poważnej choroby zerwał wszelki kontakt z paryskimi kołami literackimi. Zgodę na obecny wybór wszyscy uważają za pomyślną oznakę powrotu do zdrowia. Po obecnym wyborze członkowie założyciele Akademii Mallarmé można przypuszczać, że odetchnęli nieco, ponieważ tej samej spotkał już ich parę razy mocno nieprzyjemny zawód: mianowicie rezygnacja z godności pewnych nowoobраниch akademików. Teraz, coprawda, są oni od tego rodzaju niespodzianek zabezpieczeni, gdyż zgóry zapewniają sobie zgodę kandydata.

Na innych Światach. Z kolei po sukcesach angielskiego astronoma Jeans'a, którym kilka lat temu rozbrzmiewała cała Europa, wielką sensacją jest we Francji ukazanie się wspaniałej pracy p. Lucien Rudaux, pt. *Na innych światach (sur les autres mondes)*. Książka ta obok badań autorki obejmuje wnioski wszystkich wielkich astronomów współczesnych, przynosząc nam w rezultacie (jak powiadają *Les Nouvelles Litteraires*) sumę wiadomości ścisłych, nowych, zadziwiających o planetach systemu słonecznego, ich cechach charakterystycznych i ich budowie. J. H. Rosny starszy, przejrawszy tę książkę zauważył: „Ach ci uczeni! — Zagarniają jedną z najpiękniejszych dziedzin literatury! Zresztą nic mnie to nie dziwi; przepowiedziałem, że tak się stanie Edmundowi Goncourt już pół wieku temu...”

Paul Fort o poezji. Jeden z najwybitniejszych żyjących poetów francuskich, Paul Fort, który niedawno wydał 387 tom. swych *Ballad i kronik francuskich* (Ballades fran-

caises et chroniques de France) zatytułowany „Radości zrozpaczone i smutki pocieszone” — przygotowuje już obecnie tom 397. Ostatnio wypowiedział on parę swoich oryginalnych uwag o poezji do Pierre Lagarde'a, (który drukuje je na łamach *Nouvelles Littéraires*). Warto je przytoczyć: „Poezja, to historia, którą przeżyłem. Raz, kiedy się tam dostanie, to już nie wasze życie, to życie samo. Transponuje się ono na inną płaszczyznę. Poezja jest tylko transpozycja...”

„Forma nie ma znaczenia. Jeśli jest urok — to i forma jest dobra. Nie ma innej konieczności w poezji, jak tylko osiągnięcie uroku. Ale trzeba uciekać od naśladowstwa. Naśladowanie jest bezużyteczne. Zato trzeba studiować. Człowiek który naśladuje drugiego jest winnym wobec niego. Jest to impertynencja, brak szacunku...”

Następnie książka Paul Fort'a będzie nosić tytuł: *Przychodzę odnaleźć swe dzieciństwo* — „Bo cały sekret poezji, powiada on, to pozostać dzieckiem, przez całe życie, zachować swą świeżość”.

M. Buyno.

W Polsce.

Sprawy ważne i białe. Józef Birkenmajer w związku z rocznicą Puszkiniowską przetłumaczył na nowo nowelę Puszkina pt. „Zadymka”; przekład ten ukazał się w „Głosie Narodu” i w „Ilustracji”.

Komitet, przygotowujący obchód ku czci biskupa poznańskiego i poety łańcuchowego, Stanisława Ciołka z Żelechowa, zmarłego przed pięciuset laty, wyda w niedługim czasie jego portret, będący reprodukcją drzeworytu z drugiej połowy wieku szesnastego.

Drobne utwory wierszowane, które w różnych okresach życia pisywał Sienkiewicz na marginesie swej twórczości powieściopisarskiej, ukazać się mają w postaci specjalnego tomiku, zebrane i opracowane przez mgr Emiliannę Plasterkównę; wśród nich znajdzie się też całkiem prawie nieznaną bajką pt. „Lekarze”.

Na dorocznym walnym zebraniu Towarzystwa Literatów i Dziennikarzy w Warszawie na wniosek mjra Antoniego Bogusławskiego przyznano godność członków honorowych Towarzystwa trzem zasłużonym dla literatury pisarzom: Ignacemu Chrzanowskiemu, emerytowanemu profesorowi Uniwersytetu Jagiellońskiego, światnemu historykowi literatury, wspaniałemu pedagogowi, którego uczniowie zajmują już dziś parę katedr uniwersyteckich; Arturowi Górskiemu, dramaturgowi, słumaczowi i przede wszystkim redaktorowi pomnikowego wydania dzieł Mickiewicza, zwanego w skrócie „sejmowym”; wreszcie Waławowi Gąsiorowskiemu (Selavusowi), autorowi popularnych i poczytnych powieści oraz organizatorowi polskiej siły zbrojnej na Zachodzie.

Komitet „Dnia lasu”, pragnąc zainteresować literatów i wciągnąć ich do akcji, mającej na celu ochronę lasu i zalesianie nieużytków, na rok przyszły ma ufundować nagrodę, która przyznawana będzie za książkę w artystycznej formie propagującą miłość do lasu i drzew w ogóle.

Emil Zegadłowicz, autor skonfiskowanych w swoim czasie „Zmór”, ogłosił artykuł, w którym tym razem dla odmiany przedstawił się jako stuprocentowy przyjaciel żydów.

Nową książką wiceministra Józefa Ujejskiego — po studium o Josephie Conradzie będzie wybór mów, wygłaszanych w

BALSAMICZNA
SÓL
DO
NÓG
GASECKIEGO
(Z KOGUTKIEM)
AGEPIN

usuwa ból, pieczenie,
nabrzmienie nóg, zmiękczą
odciski, które po tej kąpieli
dają się usunąć nawet
paznokciem. Przepis
użycia na opakowaniu.

charakterze urzędowym; między innymi książka przyjmie do swej bogatej zawartości mowy, wygłoszone na obchodzie ku czci Wojciecha Bogusławskiego, na pogrzebie Karola Szymanowskiego, oraz wszystkie przemówienia radiowe z związku z zajściami antyżydowskimi na wyższych uczelniach polskich.

„Gazeta Polska” rozpoczęła druk nowej powieści Zofii Kossak-Szczuckiej, zatytułowanej: „Bez chwały”.

Nagroda marynistyczna im. Jerzego Szareckiego przypadła w tym roku na mocy orzeczenia jury... kobiecie; laureatką została Wanda Karczewska-Jasińska autorka powieści pt. „Żagle pod wiatrem”, przedstawionej jury nagrodowemu w postaci obitek korektowych — jeszcze przed ostatnim wykończeniem druku książki.

Maria Friedrich-Brzozowska przygotowała do druku tom nowel, który nosi tytuł: „O czym świat nie wie”; szczególną wartością ze względu na pomysł oraz ze względu na opowiadanie „Apostoła Maryi”, dla którego warto przeczytać cały tom.

W Warszawie zmarł. prof. dr. Waław Tokarz, głęboki historyk polski, stosujący w badaniach nowe aspekty, dzięki czemu ostatnia zwłaszcza jego praca, „Insurekcja warszawska”, na długie lata pozostanie wzorem nowej metody historycznej.

Wanda Grochowska oddała do druku powieść „Biała róża”; wydzie ona w książce zapewne już w czerwcu.

„Lenora” Juliusza Kadena-Bandrowskiego ukazała się w nowym, całkowicie przeobrażonym wydaniu.

Dzwon na trwoję. Publicysta polityczny „Gońca Warszawskiego”, K. Żegota, poświęcił osobny artykuł nawiązujący do pytania Kornela Makuszyńskiego, „jakim prawem wolno każdemu przygodnemu rzeźmieszkowi plwać na naszą mowę”.

„Istotnie — pisze — wyżej czas na to pytanie. Książka polska i mowa polska znalazły się w niebezpieczeństwie. Przede wszystkim zaśmiecają je ohydnymi nieraz tłumaczeniami przygodni tłumacze, przeważnie żydzi i żydówki, nie umiejący się wczuć w ducha języka polskiego. Po drugie masę obcych polskiej mowie „szmoncesów” i „wiców” przenika z piosenkami, produkowanymi w teatrykach również przez żydów. Po trzecie akrobatyczne sztuczki z mową polską wyprawiają różni „pisarze” o dziwacznych nazwiskach, rekla-

mowani przez tzw. pisma „literackie”. Ponieważ i dziennikarze w pośpiechu redakcyjnym nie zawsze mogą dopilnować czystości języka, więc istotnie mowa polska w pismach i książkach upodabnia się do jakiegoś żargonu.

Smutne te fakty nasuwają konieczność powołania do życia instytucji, która by czuwała przynajmniej nad czystością i duchem mowy polskiej w książkach. O to gromkim głosem woła K. Makuszyński stwierdzając, że cenzura, tak gorliwa pod innymi względami, puszcza w świat obok arcydzieł śmieci, przyczyniając się do zaplugawienia mowy polskiej.

Niestety, śmieci tych więcej, jak książek pisanych choćby poprawnym językiem. Arcydzieła, które by się mogły stać pomnikami języka polskiego, to białe kruki. Książka — tandeta, plugawa w treści i niechlujna w formie, pastwiąca się nad mową polską, zalewa rynek księgarski w Polsce. Nie tylko wózki i stragany, ale często i okna wystawowe księgarń...

Krzyk K. Makuszyńskiego przychodzi w porę. Trzeba ratować książkę i mowę polską. Trzeba wytepić morderców książki i mowy polskiej!

Z wywodami Żegoty solidaryzujemy się bez zastrzeżeń.

Trochę o Parandowskim. Jan Parandowski, autor bluznierczego „Nieba w płomieniach” i kierownik wydziału literackiego „Polskiego Radia”, jest w tej chwili pisarzem... reprezentatywnym. W Paryżu wygłosił niedawno odczyt pt. „Polska leży nad Morzem Śródziemnym”. Koła literackie Rumunii czynią starania, ażeby pozyskać go na kilka dni do Bukaresztu z odczytem. „Król życia”, powieść o Oskarze Wilde'zie, ukazała się w nowym wydaniu. W chwili obecnej pracuje Parandowski nad nową powieścią, nareszcie historyczną, rozgrywającą się w czasach rzymskich.

Prococtwo Grubińskiego. Błyskotliwy krytyk literacki, Waław Grubiński, w jednym ze swych felietoników „I tak, i nie” zabawia się w... proroka. O co mu chodzi? O to, co będzie czytane w niedługim czasie. Oto fragment tego interesującego ze wszech miar dialogu:

— I z książek się wyrasta; jak z ubrania.

— Ale czasem się spostrzega, że się przed laty nie dorosło do książki, którą się wówczas czytało. Ogarnia nas olśnienie, zachwyt. Przed piętnastu laty wydawała się nam powieść, nowela czy komedia prosta, płynna, płytka. Teraz widzimy, że jest głęboka, wstrząsająca i odśniana zawiłe perspektywy. Popadamy w zdumienie, że tyle przepaściściwych ciemności może się ukrywać w słonecznej jasności stylu.

— Na tym polega siła klasycyzmu, tajemnica jego wiecznotrwałości. „Edypa króla” Sofoklesa zrozumie nawet dwunastoletni chłopiec, lecz zmierzyc głębie tego prostego utworu potrafi dopiero człowiek dojrzały który wiele przeżył i przemyślał.

— Dlatego ludzie po czterdziestce coraz niechętniej czytają „nowości literackie” i z coraz większym zamiłowaniem rozzytują się w dziełach dawnych autorów. W ten sposób, na przykład u nas, wyręczając naszą tradycyjnynie niedojrzałą krytykę (poza rzadkimi osobnościami wyjątkami) sprawią — ci ludzie po czterdziestce — że wkrótce nadejdzie powrotna moda na powieściopisarską twórczość naprawdę wielkiego Kraszewskiego”.

Grubiński obraca się w sferze domysłów, intuicji, przeczuć i prococtw; realista do dałby coś więcej: w początkach rb. wyga-

śły prawa autorskie po Kraszewskim, wydawcy więc nie potrzebując płacić honorariów mogą skusić się na wydawanie jego dzieł, które na pewno będą czytane, ponieważ zwiększająca się sieć bibliotek popularnych potrzebuje materiału książkowego co raz więcej.

Guzik z wyborów akademickich! Kwietniowe wybory nowego członka Polskiej Akademii Literatury (na miejsce Wincenego Rzymowskiego) nie przyniosły żadnego rezultatu. Żadna ze zgłoszonych kandydatur nie otrzymała wymaganych trzech czwartych głosów, wskutek tego głosowanie odłożono do następnego zebrań za miesiąc. Satyryk „Gońca Warszawskiego” (X. Y. Z.) dowcipkuje sobie, że oto

Wybierali — nie wybrali.
Nikt na fotel się nie p.a.li.

Dobre to jako dowcip; w gruncie rzeczy jednak niesłuszne, bo o wolę kandydatów na razie nie pytano. Kandydatami, których kandydatury dyskutowano najpoważniej, są: Kornel Makuszyński, Jan Lorentowicz, Zofia Kossak-Szczuczka i Kazimierz Wierzyński.

Dla orientacji warto wspomnieć, że jedyną akademicką polską jest do tej pory Zofia Nałkowska.

KS. ST. SZPETNAR, Anielska dusza. Głębie serca małej Polki, Kraków — 1937 — Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy, Ks. Jezuitów. Stron 288. Brosz. 1.40. Opr. kart. 2.—, płótno 2.30.

W szeregu świetlanych postaci ostatniej doby, które chlubnie świadczą o wysokim poziomie cnoty polskiej duszy, staje 13 letnia Krysią Hrabarówna. Zawsze pogodna, wesoła, uśmiechnięta. W życiu religijnym wysoko zbliżona do Boga a jednak bez cienia przesady. W gronie rodzinnym i koleżanek to anioł dobroci. W pracy szkolnej wzór sumiennosci. A najwięcej zachwyca wielkim miłosierdziem. Wobec wszystkich biedaków, nędzarzy i cierpiących staje jako anielska dusza nie tylko ze słowem współczucia i pociechy na ustach, lecz również ze szczodra i otwartą dłonią. Dla ubogich potrafi wyrzec się własnego śniadania, oddać im ostatni grosz czy sukienkę. Zyciorys Krysi — to żywy katechizm dziecięcych cnót. Nie tylko młodzież, ale dorośli i rodzice czytać będą z zachwytem, znajdą tam dużo niezwykłych i wzniosłych momentów psychologicznych w głębi młodocianej duszy: Nazwano ją polską Terenią. Całość napisana pięknie, żywo i zajmująco, zdobi ją sześć fotografii z życia Krysi. Symboliczna, barwna okładka gustownie wykonana. Bardzo miłym będzie podarkiem dla młodzieży. Znaleść się winna nie tylko w bibliotece młodzieży, lecz i dorosłych. Szczególnie dzisiaj kiedy Akcja Katolicka rzuciła hasło katolickiego wychowania w rodzinie, Anielska Dusza staje jako imponujący wzór dla wszystkich.

O. HARDY SCHILGEN T. J., Dlaczego nie przychodzisz? Myśli o częstej Komunii św. Kraków 1936. — Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy. Str. 209. Brosz. 1 zł 60 gr, opr. 2 zł 70 gr.

Jakkolwiek częsta Komunia święta została wprowadzona w życie już od dłuższego czasu i literatura na ten temat jest bardzo bogata, to jednak można powiedzieć, że z powyższą książką wchodzi rzeczywistość coś nowego i pożądanego. Po przeczytaniu jej widzi się, że sprawa częstej Komunii świętej wymaga jeszcze wyjaśnień, że o niejednym się dotychczas zapomnieli, nie rozumieli, lub nie doceniali należycie. W praktyce codziennej zatarły się pewne nie-małej wagi szczegóły; kładziono nacisk na

rzeczy podrzędne, a pomijano ważniejsze. Książka ks. Schilgena, starannie przeczytana, oświecili i pomoże do usunięcia tych niedomagań, a przytym rzuci nowe jakby światło na znaczenie częstej Komunii świętej w naszym życiu.

Autor rozpoczyna od objaśnienia istotnego znaczenia uczy eucharystycznej, jej związku z Mszą świętą, tłumaczy warunki godnego brania w niej udziału. Następnie poświęca parę rozdziałów wyjaśnieniu szczegółowemu, w jaki sposób Komunia święta przyczynia się do podniesienia naszej godności, wyrobienia charakteru, jak pomaga w nabyciu cnoty czystości i jaką radość i szczęście wnosi w życie nasze. Materiał jest więc bogaty, a jest to zasługa autora, który ma za sobą szereg cennych prac z dziedziny wychowawczej, że umiał zestawić go systematycznie, uzasadnić i podać praktycznie, bez zapuszczenia się w czysto teoretyczne dyskusje.

Toteż z książki jego odniosą korzyść wszyscy, zwłaszcza że autor daje mnóstwo uwag życiowych, wyjaśnia wszędzie pojęcia, podaje ściśle naukę Kościoła, uzasadnia ją z pierwszych źródeł, nie przesadza w niczym, owszem przeciwstawia się stanowczo tym, którzy chcieliby wymagać więcej niż Kościół. Pomoże ona do pogłębienia uświadomienia religijnego, nauczy cenić Komunię świętą i odnosić prawdziwy z niej pożytek. Osoby wykształcone znajdą tu odpowiedź na różne wątpliwości i zarzuty. Dla duchowieństwa książka ta będzie cenną pomocą, daje bowiem materiał bogaty, rzeczowo ujęty, oświetlony i uzasadniony.

Bądź Apostołem. Wzniosłe czyny młodych dusz, Kraków 1936. Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy. Stron 221. Brosz. 1 zł 50 gr. Opr. 2 zł 30 gr.

Jak obfita dosyć jest literatura religijna dla starszych, tak stosunkowo uboga dla dzieci. Wielki znawca duszy dziecięcej, Fidelis, podaje bogate treści czytanki dla średniej diatwy. Ma na oku przede wszystkim dzieci z krucjaty; lecz wszystkie w ogóle dzieci dużo mogą skorzystać z jego dziełka. Autor stawia sobie zasadę, że katolików czynu należy wyrabiać już od dzieci. Uczy przeto dzieci apostołować. Oto tytuły rozdziałów: Bądź apostołem w szkole, w rodzinie, w parafii. Bądź apostołem przez modlitwę, rozmowę, dobry przykład, dobrą prasę itp.

Czytanki są pełne werwy i apostołskiego zapału. Zawierają liczne i zajmujące przykłady. Wewnątrz zdobi je szesnastie fotografii dzieci z naszych krucjat. Kapłani, wychowawcy i rodzice znajdą również dużo materiału do nauk, czy pogadanek do dzieci.

O. FRANCISZEK KSAWERY MORETTI, Cudowne działanie wody św. Ignacego.

Kraków 1936. Wydawnictwo Apostolstwa Modlitwy. Stron 162, brosz. 80 gr.

Od najdawniejszych wieków istniało w Kościele katolickim przekonanie, że przedmioty materialne, np. medaliki, woda, szkaplerze itd., przez poświęcenie Kościoła i wstawiennictwo Świętych Pańskich mogą ściągać rozliczne błogosławieństwa Boże, a nawet cudowne skutki sprawiać. Są to tak zwane sakramentalia. Należy do nich i „cudowna woda św. Ignacego”, założyciela Zakonu OO. Jezuitów.

Wiara w nadprzyrodzoną skuteczność tej wody jako też jej używanie datują się od pierwszych lat po śmierci św. Ignacego. Początek zaś swój mają w następującym zdarzeniu: w r. 1535 przebywał św. Ignacy jako pokutnik w Aspeitzia. Otóż pewna niewiasta, która miała uschnięte, sztywne ramię, odzyskała w cudowny sposób pełne zdrowie, piorąc jego bielizną. Po tej pierwszej łasce następuje w ciągu wieków cały szereg niezwykłych uzdrowień i innych przeróżnych łask na skutek użycia z wiarą i pobożnością wody św. Ignacego. Fakty te stwierdzone są ponad wszelką wątpliwość.

Całe mnóstwo takich cudownych zdarzeń przytacza Autor w swym dziełku, a przytacza je z pierwszorzędnych źródeł, jak *Acta Sanctorum* słynnych Bollandystów, jak najlepsze dzieła dotyczące historii jezuitów, jak najstarsze żywoty św. Ignacego. Prócz tego podaje historię tej cudownej wody i jej rozpowszechnienie. Na początku dziełka umieścił krótki ale wyczerpujący zyciorys św. Zakonodawcy. Pod koniec zaś formułę poświęcenia wody św. Ignacego, sposób jej używania i krótką a miłą nowennę do Świętego. — Niechże więc to dziełko, zasługujące na gorące poparcie, idzie w świat. Niech szerzy znajomość „cudownej wody św. Ignacego” ku pocieszeniu wielu cierpiących i strapionych.

Pamiętnik Pielgrzymki Katolickiego Związku Kobiet na Jasną Górę we wrześniu 1936 — Wyd. Katolickiego Związku Kobiet — Poznań Aleje Marcinkowskiego 22 — str. 62. Cena — 40 gr.

Na treść ilustrowanej broszury składają się: Opis pamiętnych dni pielgrzymki w której uczestniczyło około 60.000 członkiń Katolickich Stowarzyszeń Kobiet z całej Polski — List J. E. Ks. Kardynała Pacellego, nadesłany na tę uroczystość — Przemówienie J. E. Ks. Kardynała Hlonda, Prymasa Polski — 3 kazania: J. E. Ks. Biskupa Lisowskiego, O. Generała Paulinów Przeddzieckiego i ks. prof. Zieji — 2 referaty wygłoszone na akademii na wałach: p. Zofii Rzepeckiej, prezski Katolickiego Związku Kobiet: „Wpływ katolicki na rodzinę i społeczeństwo” i dr Zofii Włodkowskiej „O ducha chrześcijańskiego w wychowaniu”, oraz rezolucje uchwalone na jeździe.



PROSZKI
MIGRENO-NERVOSIN

Kogutek

ZASTOSOWANIE:
GRYPA. PRZEZIEBIENIE
BÓLE GŁOWY, ZĘBÓW i t.p.

ŻĄDAJC ORYGINALNYCH PROSZKÓW W FABR. Z. KOGUTKIEM

PATRZCIE JAKIE PROSZKI WAM DAJA
BOŻE SA JUŻ NAŚLADOWNICTWA

ORYGINALNE PROSZKI „MIGRENO-NERVOSIN” Z KOGUTKIEM

SA TYLKO JEDNE
I ZAWSZE Z RYSUNKIEM KOGUTKA

PROSZKI „MIGRENO-NERVOSIN” SA TEŻ I W TABLETKACH



Dziś masz być tu, a jutro tam,
Jechać, załatwić, być z powrotem;
Swych spraw pilnujesz wszędzie sam
Bez trudu — podróżując L O T E M!

Dział Kobiety

DLA DUSZY

Staw się zawsze najniżej, a najwyżej wzniesion będziesz: bo najwyższe na najniższym wznosi się i opiera.

Najwyżsi święci w oczach Boga, najniższymi są w oczach własnych: a im wyżej są w chwale, tym głębiej w pokorze.

Pełni prawdy i chwały Niebieskiej, nie są chciwi marnej chwały.

Ugruntowani i utwierdzeni w Bogu, żadną miarą dumnymi być nie mogą.

Ci którzy wszystko, cokolwiek mają dobrego, Bogu przypisują; nie szukają ludzkiej chluby, lecz chcą tej chwały, która pochodzi od samego Boga: i nade wszystko pragną i ku temu jedynie dążą, aby Bóg chwalony był sam w sobie i we wszystkich Świętych swoich.

Tomasz à Kempis.

O Naśladowaniu Jezusa Chrystusa.

ZJAZD L. M. K. W POZNANIU

Po wysłuchaniu Mszy świętej, którą odprawił J. E. Biskup Okoniewski, otaczający stałą opieką całe nasze wybrzeże i wzniosłego przemówienia od stóp Ołtarza, którego motywem była praca, wytrwanie, jedność i zgoda a z wolą Bożą — pomyślność i rozwój kraju.

Wielka Aula Uniwersytecka, mieszcząca tysiąc parę set osób, świątecznie wystrojona w barwy narodowe i godła morskie — otwarła szeroko gościnne swe podwoje dla Zjazdu Ligi Morskiej i Kolonialnej.

800 delegatów, przedstawiających półmilionowy zastęp członków Ligi, z całej Polski zajęło miejsca w Auli. Galerie sali pełne. Sprawozdanie za rok ubiegły składa prezes obecny Zarządu Ligi, generał bryg. St. Kwaśniewski. Przemawiają prof. dr Pawłowski, marszałek J. Dębski, dyr. F. Rostkowski, p. Wachowiak wice min. Kożuchowski. Sprawy Gdańska, budowy wszelakiej floty, budowy stoczni, rozbudowy Gdyni — wywołują oklaski jako ten doraźny wyraz zainteresowań ogólnych. Głosy się różniczkują w oddzielnych zadaniach, jednoczą się zawsze w poczuciu ogólnego dobra sprawy. Komisje pracują sumiennie w Gimnazjum im. Ignacego Paderewskiego, aby na plenum przedstawić rezolucje. Drobne sprzeciwy nie trwają długo. Następują wyjaśniające motywy i... zgoda.

Doskonale prowadzi zebranie od stołu przydziałnego poseł dr Surzyński.

W drugim dniu obrad przybywa wicepremier Kwiatkowski, twórca Gdyni.

Oddając cześć pamięci generała Orlicz Dreszera stwierdza z radością rozrost Ligi, przypominając ciężkie warunki przy poczuciu pracy nad brzegiem Bałtyku i stwierdzając że, „Liga zaczęła tworzyć psychikę morską” w Polsce i że ona zaczęła w nas wszczepiać przekonanie: że: tam właśnie, nad morzem, leży kamień węgielny bytu i przyszłości Polski, że Gdynia to symbol twórczości, wkwit kultury XX wieku. „Szczęście ludzkie, mówił premier, leży w pracy a nie w sporach”. Na całej przestrzeni Polski jest bezmiar prac. byle chcieć pracować. Tworzą się już lepsze warunki dla całego świata i dla Polski. I oto, mówił dalej premier nadszedł moment, w którym naród polski powinien podać sobie rece.

Gdynia, morze, polityka morska, nasze aspiracje kolonialne, oto wskazania dla naszej przyszłości. Jeżeli natrafimy przekreślić te szczegóły, które nas różnią, pokonać elementy anarchii nadindywidualizmu, które drzeźnią na dnie duszy, jestem przekonany — że nie miną dwa pokolenia, a cała Polska będzie tak wielką, jak

pewna siebie, tak dumna ze swoich prac, jak dziś z tego wszystkiego, co mówi to jedno słowo: Gdynia.

A mówił to w chwili, w której właśnie pisma przyniosły nam radosną wieść, że w dn. 3 maja br. odbyło się w Gdańsku zebranie na którym pos. Lenzion odczytał następujący akt:

„W rocznicę pamiętnej konstytucji 3 maja, my przedstawiciele organizacji i towarzystw ziemi gdańskiej wzorem ojców naszych w poczuciu odpowiedzialności nasz przed narodem polskim i przyszłymi pokoleniami, oświadczamy uroczyście, że zapominamy o wszystkim, co nas dotychczas dzieliło. Podajemy sobie bratnią dłoń do zgody, zespalamy się w jednym obozie polskim. Witamy z radością połączenie gminy polskiej i Związku Polaków i zjednoczenie uznajemy za naczelną polską organizację ziemi gdańskiej. Pod jej przewodnictwem będziemy ze wszystkich sił walczyć o świętą naszą sprawę. Tak nam dopomóż Bóg”.

W takiej podniosłej atmosferze przeżywalimy w Poznaniu zebrania Zjazdu Ligi Morskiej i Kolonialnej, na której obecne przedstawicielki Oddziału Kobiet L. M. K. i Rady Naczelnej, do której mają zaszczyt należeć, przeżywały niebywale uroczyste chwile.

Atmosfera jedności serc dla umiłowanej Sprawy Morza, przeświadczenie że nikt na tej sali nie myślał ani na chwilę o niczym innym jak o oddaniu najlepszych swych dorobków duchowych i fizycznych dla choćby najcięższych wysiłków w pracy — byle ona się rozwijała i w pełni żyła, to było coś tak podniosłego, że trudno się tymi wrażeniami nie podzielić z naszymi Szanownymi Czytelniczkami. Tym więcej, że sprawa wychowania morskiego, sprawa wpajania w dzieci potęgi żywiołu wodnego, należy do matek. Na to duży kładziono nacisk. Wycieczki, nad morze, nad jeziora, których kraj nasz liczy tysiące, oswajanie dzieci z wodą, nauka pływania, wiosłowanie, kierowanie do szkół zawodowych morskich, to wszystko sprawy, które muszą wejść w program domowego życia, bo one już się łączą, a łącząc się będą z każdym dniem więcej z całą konstrukcją naszego wewnętrznego ustroju.

Rolnictwo, przemysł, rękodzieło, handel, a potem i sztuka i literatura i wykształcenie, to wszystko jednym stanie się łańcuchem, który spajać będzie oddzielne ogniwa — obrony naszej wolności. Słowami hymnu: „Boże coś Polskę” wspólnie skierowanymi do Pana przestworzy skończyliśmy te dni pamiętne, ufni w Jego pomoc.

L. Kotarbińska.

Dzień 29 czerwca jako „Dzień Morza” ma zadokumentować zrozumienie ważności rozkwitu naszego wybrzeża dla całego kraju. Kto Polak nie odmówi w tym dniu grosza ofiarnego, na co czekają setne potrzeby, a każda to cząstka tego organizmu, która dając pracę milionom odda wzamian miliony dla rozkwitu naszego przemysłu rękodzieła i handlu, co stać się może tylko przez rozbudowę Gdyni.

Dnia 29 czerwca niech popłyną grosze całego Narodu dla wzmoczenia ogólnego dobra kraju.

Z INSTYTUTU GOSPODARSTWA DOMOWEGO

Praca Instytutu, pod przewodnictwem p. Marii Strasburger, rozwija się w doświadczałni, komisjach i referatach, uzupełniania przez pomoc biurową, kierowaną przez dyrektorkę p. Jadwigę Brzozowską-Romanową.

W Doświadczałni, pod kierownictwem inż. Wacława Kączkowskiego przerobiono około 30 prób, doświadczeń i analiz, w związku z cechowaniem i normalizacją sprzętu gospodarskiego i zestawianiem recept na zmiękczenie wody. Poza tym przeprowadzono doświadczenia nad działaniem roztworów soli o różnej koncentracji na metale, stosowane do wyrobu naczyń kuchennych. Doświadczenia te miały na celu ustalenie sposobów taniego i nie niszczącego oczyszczania naczyń domowych. — Wydano 25 „cech” na przedmioty pochodzenia krajowego i 3 „polecenia” na towary zagraniczne. Przedłużono prawo używania cechy Instytutu w r 1937 dla 30 wytwórców, odmówiono przedłużenia cechy dwóm, a odrzucono 4 zgłoszone przedmioty, jako nie nadające się do cechowania. Dotychczasowa cecha Instytutu została uzupełniona napisem. „Zbadane i polecane przez Instytut Gosp. Domowego”.

Praca w Komisjach. W skład komisji wchodzi przedstawicielki organizacji jako czynnik społeczny i specjalści jako czynnik fachowy w Instytucie.

1. Komisja dla normalizacji sprzętu gospodarskiego w Instytucie pracuje pod przewodnictwem p. Jadwigi Brzozowskiej-Romanowej i przy pomocy p. Wandy Narkiewiczowej, jako organ Polskiego Komitetu Normalizacyjnego przy Ministerstwie Przemysłu i Handlu. Zadaniem jej jest opracowywanie najbardziej praktycznych typów sprzętu gospodarskiego tzw. norm. W roku sprawozdawczym pracowano nad normalizacją kształtów dla naczyń ze stali nierdzewnej i z aluminium. Ponadto rozpatrywano na zebraniach sprawę uporządkowania wymiarów łożek, a co za tym idzie pościeli i bielizny pościelowej. W związku z wydanymi w roku ubiegłym tablicami, ilustrującymi podział tuszy wołu, przeprowadzono wstępne prace nad znormalizowaniem podziału mięsa zwierząt rzeźnych w ogóle. Prace te prowadzi Instytut przy współudziale Rzeźni Miejskiej w Warszawie w osobie p. doc. dr Ireny Maternowskiej. W roku 1936 niektóre normy, opracowane przez Instytut zostały zatwierdzone i opublikowane przez Polski Komitet Normalizacyjny. Są to normy na pokrywy aluminiowe, cedzaki i garnki z pokrywami do gotowania systemem wieżowym.

2. Komisja Racjonalizacji Mieszkań. Przewodnicząca p. Stefania Szoberowa przy współpracy pp. inż. Jankowskich, inż. Rudolfa i innych.

Komisja ta przeprowadza opracowywanie planów małych mieszkań 2-izbowych, w których przy obliczaniu przestrzeni i kubatury uwzględnia się pracę, wykonywaną przez rzemieślnika i codzienną pracę gospodarską, którą musi kobieta wykonać w domu. — Komisja współpracuje z Polskim Komitetem Mieszkaniowym, urzędującym przy Lidze Narodów.

3. Komisja Kwalifikacyjna Wydawnictw, pod przewodnictwem dyr. Anieli Komornickiej rozpatruje i oce-

nia wydawnictwa z dziedziny gospodarstwa domowego, krajowe i zagraniczne, orientując czytelniczki co do ich zakresu oraz poziomu opracowania. W roku sprawozdawczym przedyskutowano 26 wydawnictw, z czego polecono do użytku 19. Wobec tego, że poziom i sposób opracowania takich wydawnictw przeważnie jest niewłaściwy, Komisja opracowała „Wytyczne dla pp. Wydawców, odnośnie do wydawnictw z dziedziny gospodarstwa domowego”.

4. Komisja Programowo-Wydawnicza, pod przewodnictwem p. Marii Strasburger zajmuje się opracowywaniem programów na różne kursy dokształcające gosp. domowym dla różnych środowisk, — oraz przygotowywaniem do druku wydawnictw Instytutu. W roku sprawozdawczym zajmowano się broszurą „Odplamianie”, opracowaną przez inż. Wacława Kączkowskiego, oraz tablicami grzybów jadalnych i trujących, opracowanych przez inż. Orłosia, wydawanych przez Tow. Wydawnicze „Książnica Atlas”. Opracowano 2 programy kursów „przyrządzania potraw” dla gospodyń i dla absolwentek szkół średnich.

5. Komisja Słownictwa gospodarskiego, pod przewodnictwem Janiny Huberowej a pod kierunkiem prof. Stanisława Szobera, opracowywała terminologię gosp. domowego, ustalając ją na zasadach poprawności języka. Uporządkowanie słownictwa stało się sprawą konieczną nie tylko dla użytku domowego i literackiego, lecz także jako podstawowy materiał do katalogów odnośnych wytwórni fabrycznych.

6. Komisja dla spraw wiejskich. Najmłodsza komisja Instytutu zawiązana w listopadzie ub. roku pod przewodnictwem p. Marii Zdanowicz w celu opracowania źródłowych wiadomości potrzebnych do podniesienia poziomu gospodarstw domowych na wsi. Na zebraniu organizacyjnym postanowiono, że pierwszym etapem pracy będzie przystąpienie do akcji propagandy dobrej wody i umożliwienia jej dostarczenia wszystkim obywatelom wiejskim.

Referaty.

1. Referat budżetowy, prowadzony przez p. Izę Mandukową ma za zadanie opracowanie budżetów rodzin polskich, opartych na bardziej zdrowych zasadach niż ma to miejsce obecnie. W tym celu opracowano ankietę budżetową, która posłużyła jako materiał do wykładu H. Mamelokowej, wygłoszonego w Warszawie, z okazji Zjazdu Delegation Zw. Pań Domu w Warszawie nt.: „Uzdrowienie gospodarki pieniężnej rodzin”. — W listopadzie ub. r. przystąpiono do współpracy w akcji oszczędnościowej, organizowanej przez Komunalną Kasę Oszczędnościową wśród gospodyń Warszawy. Opracowano tematy pogadanki gospodarskich dla akcji oszczędnościowej Kasy i ankietę budżetową roczną, za której najlepsze wypełnienie K. K. O. daje premie.

2. Referat jadłospisów, pod przewodnictwem p. Zofii Czerny, prowadzi pracę nad postępowaniem w sposobie w myśl wymagań dietetyki, głównie w środowiskach zbiorowych. W roku sprawozdawczym opracowano jadłospisy: dla kolonii letnich dla dzieci skłonnych do gruźlicy,

dla półkolonii i dla harcerskiego obozu letniego, dla pracowników szpitalnych i dla pracowników fizycznych, i innych środowisk.

Prace różne.

Poza wymienionymi pracami, Instytut Gospodarstwa Domowego załatwił cały szereg referatów, opracowań na życzenie Ministerstwa W. R. i O. P. (zadania z zakresu organizacji) Izby Przem. Handlowej) pieczywo, mleko i mięso w handlu) itp.

Sprawozdania z prac nad cechowaniem, normalizacją i kwalifikowaniem wydawnictw publikowane są w organie Instytutu dwutygodniku „Pani Domu”. Po zakończeniu sprawozdań i udzieleniu absolutorium ustępujące

F. POCHMARA

Warszawa, Zgoda 3. Telefon 6-79-24.

Sklep kapeluszy męskich i czapek sportowych oraz szkolnych.

mu Zarządowi, wybrano przez głosowanie 9 następujących osób do Rady Instytutu:

1) Bartłowa Maria 2) Czarnowska Eleonora 3) Huberowa Janina 4) Kączkowski Wacław 5) Laskowska Irena 6) Mering Andrzej 7) Romanowa Maria 8) Strasburger Maria 9) Wyczółkowska Felicja. Wybór Zarządu Instytutu należy do kompetencji Rady.

WALNY ZJAZD NARODOWEJ ORGANIZACJI KOBIEC

Ograniczona w swym programie, nieograniczona w swoim działaniu, Narodowa Organizacja Kobiet zgromadziła, w wielkiej sali u Wioślarzy, parę set swych członkiń z prowincji.

J. E. Ks. Biskup Szlagowski w poważnym, pięknym przemówieniu, nawoływał kobiety do utrzymania swej roli w pełnieniu szczytnych obowiązków strażniczki domu a w nim wiary i obyczaju.

Piękne i wysoce kulturalne przemówienie przewodniczący N. O. K. p. J. Szabeko, poprzedziło doskonale opracowane sprawozdanie z działalności N. O. K. przez czł. Z. p. Zofię Cichońską i referaty pp. prof. B. Winiarskiego, prezesa Stron. Narodowego p. J. Bartoszewicza i p. red. S. Sacy, którzy mówili na tematy: „Ideologia narodowa dawniej a dziś”, „Najważniejsze przejawy w polityce wszechświatowej” oraz „Polityka wewnętrzna w Polsce”.

Omawiano szeroko ważną sprawę warunków gospodarczych

i kulturalnych naszych kresów składając hołd niestrudzonej pracownicy narodowej w 3 województwach Małopolski Wschodniej p. Marii Demelównie. Sprawa żydowska, oczywiście poważnie traktowana, nasuwała różne praktyczne tematy do omawiania jak udział żydów w służbie wojskowej, handel przedmiotami kultury religijnej co istotnie jest zupełnym dziwołganiem, niczym nieusprawiedliwionym.

Przemówienie p. Zarzyckiej-Słowińskiej Jej nie tylko znajomość ale głębokie wczucie się w historię narodu, doskonała dykcja i niebywale interesujące ujęcie całości przemówienia pełnego wiary w przyszłość i moc przekonania wprowadzały młode ożywcze technię.

Uchwały wzywały wszystkie kobiety do niezłomnej pracy dla narodowych ideałów i wytrwania, mimo chaosu, jakiego obraz daje dziś niemal cały świat w swej polityce.

CO ROBIĄ NASZE KOBIEC?

P. Wanda Karczewska-Jasińska otrzymała nagrodę im. Jerzego Szareckiego za powieść pt. „Ludzie spod żagli”. Jury orzekło, że utwór ten, młodziutkiej Autorki, o wysokiej wartości artystycznej, jest wybitną polską powieścią, dającą obraz morza, widzianego z żaglowca, oraz życia marynarzy w całym jego żywiolowym pięknie i grozie.

P. Nina Rydzewska-Baytugan na tymże konkursie była wyróżniona przez jury za powieść pt. „Akwa maryna”, jako dzieło niepospolitego talentu, opisujące życie nadbrzeżnych mieszkańców morza.

Nagroda im. Jerzego Szareckiego, autora książek: „Groźny kapitan”, „Na pokładzie Lwowa” i „Czapka topielca” ufundowana została przez ojca przedwcześnie zmarłego pisarza i jest przeznaczona corocznie za utwór literacki z dziedziny marynarki.

P. Halina Heftmannowa wygłosiła odczyt zorganizowany przez Polskie Tow. Higieniczne, na temat: „O wpływie atmosfery rodzinnej na rozwój dziecka”

A. P. Romana Millerówna: „O zagadnięciu dojrzałości szkolnej”.

W *Katolickim Związku Polek* p. Józef Rzański wygłosił odczyt na bardzo ważny temat w obecnej chwili, bo mówił o „Kasach Pożyczkowych bezprocentowych”. Drobny handel, który powinien być w naszych wyłącznie rękach, jest w rękach obcych, chociaż nasze kobiety podczas wojny, tak zwane „szmuglerki”, zdały doskonale egzamin ze swych zdolności kupieckich i sprawiły jednak to, że wszystkie handel na rogach ulic, są już wyłącznie w rękach naszych kobiet. Ci którzy kasy bezprocentowe pożyczkowe zapoczątkowali z Czcigodnym Ks. Godlewskim na cele stwardzając wypłacalność dłużników i obroty zadawalniające. Szczęść im Boże!

Zasopismo kobiece wychodzące w Białym Cieszyńskim pt. „Hasło Polki” rozwinęło w roku bieżącym swą działalność podejmując zagadnienia wychowania dzieci, i pracy kobiet poza domem itp. Wszystko to kwestie niebywale ważne i często trud-

ne do teoretycznego rozwiązania. Bo np. jedni potępią chałupnictwo, a drudzy pytają: co lepsze czy żeby matka brała robotę do domu, czy żeby zostawiała dzieci, które wylatują oknem albo topią się małaństwa w szafliku.

W *Zgromadzeniu Pań Kanoniczek* odbyła się uroczystość przyjęcia nowej Kanoniczki hrabianki Teresy Zamoyskiej, córki śp. Andrzeja i Karoliny z książąt de Bourbon obojga Sycylii.

Niezmiernie malowniczo wyglądał orszak pań kanoniczek w błękitnych płaszczach, białych welonach i orderach wraz z księżną Zgromadzenia Elżbietą Szymanowską.

Mszę św. celebrował ks. superior Jan Rostworowski. Ks. prałat Władysław Kępiński odczytał list z błogosławieństwem dla nowo zaprzysiężonej Kanoniczki Zamoyskiej od J. E. Ks. Kardynała Kakowskiego. Tak się odbyła poważna ceremonia w Zgromadzeniu, które służy „chwale Bożej i pomocy krwi zacnej”.

CO KAŻDA Z NAS WIEDZIEĆ POWINNA?

Wiedzieć trzeba i opowiadać komu należy, że ofiarność na cele Armii naszej jest samorzutna i daje godne naśladowania przykłady, a mianowicie: *Kolejarze pomorscy* pod przewodnictwem p. inż. Bogusława Dobrzyckiego zawiązali Komitet który wydał odezwę wzywającą wszystkich kolejarzy Pomorza do składania miesięcznie od swych poborów od 1 do 3%, na zakup dla jednego z pułków piechoty szesnastu karabinów maszynowych.

Pracownicy Zjednoczonych Fabryk Związków Azotowych w Mościskach i w Chorzwie dobrowolną składkę 1% od zarobków przez sześć miesięcy, co wyniesie 60.000

złotych, ofiarowali na Fundusz Obrony Narodowej. A Dyrekcja tychże zakładów postanowiła dodać 20.000 co stanowić ma razem na F. O. N. 100.000 zł.

Górnicy, również ludzie ciężkiej pracy, przeprowadzili zbiórkę pieniężną, która przyniosła 47.000 zł i postanowili za te pieniądze kupić dla wojska czołg ofiarując go na ręce p. wojewody dr Grażyńskiego.

Są to wszystko dokumenty, jak wielkie sumy zbierać można małymi kwotami i, jak wielkie składać dla dobra kraju dary bez uszczerbku swego mienia.

Wiedzieć przede wszystkim należy, że powietrze to najlepsza odżywka dla organiz-

mu i dlatego znaleźć trzeba czas na godzinę spaceru, korzystając z wiosny i słońca. Oczywiście, mało mamy powietrza w mieście. Ogród Saski już przestał być rezerwuarem zdrowia dla płuc i nerwów, bo już w nim nie ma ciszy kojącej. Ale jest jeszcze piękny park Paderewskiego. Tramwaj dowiezie do samego wejścia, więc wśród otwartej przestrzeni przebyć bodaj godzinę dla odświeżenia organizmu i nabrania sił do normalnej pracy jest koniecznością.

Wiedzieć każda z nas powinna, że spośród mieszkańców Warszawy w wieku 10 lat i wyżej podług ostatniego spisu, nie umiało

czytać ani pisać 10,1 proc.; poza tym 2,5 proc. umiało czytać, lecz nie umiało pisać. Odsetek analfabetów, nieprzekraczający 5 proc., wykazuje tylko kilka obwodów w centrum miasta.

Gdyby tak każda z nas, umiejących czytać nauczyła bodaj jedną istotę ludzką, która czytać nie umie, jakże by ten przykry dokument zmalał. Na to — wystarczyłoby mniej czasu poświęcać na grę w bridża! Nie znajdzie się aż tak ofiarnych kobiet — trudno wiedzieć, wobec epidemii, która grasuje na wyścigi z grypą, kto wie nawet czy jej nie przerasta.

Każda z matek szczególną bacznością otoczyć powinna sprawę, o której cała prasa pisze głośno, a mianowicie „o szerczym się alkoholizmie wśród dzieci”.

Doktorzy już ogłosili ankietę zainicjowaną przez dr. Jana Adamskiego, a zebraną przez dra Jarosława Neczaj-Hruzewicza, dyrektora Państwowego Zakładu Leczniczego dla nerwowo chorych w Gościejowie. Szczegóły tej sprawy, którą podajemy za „Kurierem Warszawskim” z artykułu p. Jana Cz. są istotnie zatrważające. Odpowiedzi na ankietę dotąd nadeszły 110 powiatów i 10 województw, które stwierdzają, że jest już duża liczba dzieci nałogowców a dają je przeważnie duże miasta jak: Lwów, Łódź, Katowice, Toruń, Grudziądz — miast które dały odpowiedzi. Matki interesujące

się tą sprawą odsyłamy do Nr 115, „Kurier Warszawski” z dn. 27 kwietnia br. bo to sprawa poważna i nie można przejść nad nią do porządku dziennego. Zdrowie pokoleń — to zdrowie kraju, państwa. *Rodzina* ma obowiązek nad nim czuwać.

Wiedzieć pożytecznie, że: zgodnie z ostatnim zarządzeniem Minist. Komunikacji wprowadzona będzie inowacja w stosowaniu zniżek powrotnych dla wyjeżdżających z uzdrowisk krajowych.

Od dn. 1 maja rb. dozwolone będą dla wracających z uzdrowisk na zasadzie zniżki powrotnej, przerwy w podróży na ogólnych zasadach w tym zakresie; dotychczas przerwa podróży dozwolona była tylko w Krakowie. Jednocześnie zastrzeżono przepis w sprawie legitymowania się korzystających ze zniżek. Bez dowodu tożsamości z fotografią zniżki nie będą udzielane.

Dn. 1 maja rb. wprowadza się zniżki kolejowe dla powracających z uzdrowisk, nie prowadzących sezonów zimowych, oraz kąpielisk nadmorskich. Zniżki te przysługują będą przy wyjeździe z uzdrowisk i letnisk nadmorskich: Busko, Bystra, Ciecuchówek, Delatyn, Goczałkowice, Hrebennów, Jastrzębie, Krościenko, Krzeszowice, Kuty, Kosów, Lublin Wielki, Morszyn, Muszyna, Miłowody, Niemirów, Ojców, Piwniczna, Rymanów, Solec, Swoszowice, Smu-

Każda z nas wiedzieć powinna, że akcje organizowania półkolonii letnich dla dzieci wiejskich już oddawna wprowadziła Narodowa Organizacja Kobiet w województwach południowo-wschodnich i że za jej przykładem powinny wszystkie inne województwa uczynić to samo. Łączenie się różnych warstw, poznawania się wzajemnie, przenikanie wewnętrzne, to zadatki zespolenia, które nam jest tak bardzo potrzebne. kała, Szkoło, Ustroń, Wysowa, Wilkowice, Zaleszczyki, Gdynia-Orłowo Morskie, Puck, Swarzewo, Wielkowieś, Wielkowieś-Hallerowo, Chłapowo, Chałupy, Cetniewo, Kuźnica, Jastarnia, Jurata, Bór, Hel, Karwia, Karwieńskie Błota, Jastrzębia Góra, Jasne Wybrzeże, Rozewie, Dąbki, Mały Kack, Ostrów i Tupadły. Ponadto przez cały rok obowiązują zniżki przy wyjeździe z uzdrowisk: Czarniecka Góra, Druskieniki, Horyniec Zdrój, Inowrocław, Iwonicz, Jaremcze, Jaworze, Krynica, Nałęczów, Otwock, Rabka, Rudka, Szczawnica, Truskawice, Wisła, Worochta, Zakopane i Zegiestów.

Zniżka służy osobom, które były w uzdrowisku conajmniej 14 dni i powracają do stałych miejsc zamieszkania, oddalonych conajmniej o 100 km. Ulga wynosi 33% ceny normalnego biletu we wszystkich klasach pociągów osobowych i pociągów

ZDOBIENIE LETNICH BLUZEK

Coraz cieplej i jaśniej na świecie, za parę dni maj, znikną więc futra, a ukażą się kostiumy. Warto więc pomyśleć jak ozdobić zwykłe i strojne bluzeczki.

W oknach wystawowych i w licznych pismach kobiecych widzimy bluzki z lekkich materiałów ozdobione na przodzie lub

na ramionach pięknym haftem. Haft taki należy umieścić odpowiednio do figury. Dla osób cięższych a niskich należy umieszczać wszelkie ozdoby i hafty od ramion ku dołowi, ażeby figury nie poszerzać. Dla szczupłych a słusznych dobrze wyglądać będzie haft umieszczony przez szerokość piersi i na rękawach u góry, ażeby rozszerzyć górną część figury. Bardzo odpowiednią ozdobą letnich bluzek są szerokie rękawy, nieco poniżej łokcia zmarszczone, zarzucone na całej szerokości haftowanymi bukietkami.

Od ramienia poniżej zmarszczek rękawa dajemy najdrobniejsze motywy, zaś nad łokciem wyhaftujemy większe bukietki.

Takie haftowane rękawy są ozdobą całej sukni i nie wymagają wiele roboty.

Podajemy naszym Czytelnikom w rysunku takie trzy rozmaite wielkości bukietki z haftów słaskich. Motywy takie nazywają tam „rzucankami” gdyż rzeczywiście rozrzucają je ślączki na białych batystowych lub tiulowych fartuchach.

W największym motywie widzimy środek listka i jednego kwiatka przystrojone ażurem tak zwaną „robótką”. W obu zdobinkach robi się tę „robótkę” w podobny sposób. Najpierw haftujemy listki w obwodzie następnie nacinaamy środkki i zaginamy materiał w spód i obrzucamy całe dziurki wokoło jak w angielskich haftach.

Na zakończenie zasnuwamy delikatną kratkę cieńszą nitką.

Jeżeli do haftu używamy bawełny z połyskiem Nr 25 lub 39, to do środkowej kratki użyjmy bawełny do szydełka Nr. 150 lub 200 w małych kłębuszkach.

W największym motywie cienkie gałązki ze szpilkami można zrobić również bawełną do szydełka, ścięciem wodnym.

Ścieg ten wykonujemy robiąc nieduże, równe ścięgi w górę nabierając na igłę po kilka nitok tkaniny, a następnie wprowadzając igłę w materiał z lewej strony w poprzedni otwór. Powstaje w ten sposób na lewej stronie również stebnowka.

Podane w rysunku motywy zaczerpnięte są z pracy o haftach żywieckich Stanisławy Matuszkówny, wydanej przez Polską Akademię Umiejętności w Krakowie.

Hafty żywieckie są tak piękne w układzie i sposobie wykonania, że warto je wprowadzić do ozdoby letnich, białych sukien.

Maria Stefkowa.



Piękne myśli

Błagamy Ciebie, stwórz w nas serca czyste,
Odnów w nas zmysły, z dusz wypełń kąciki
Złud świętokradzkich — i daj wiekiuste
Śród dóbr swych dobro, daj nam dobrą wolę!

Zygmunt Krasiński.

LETNIA SUKNIA DLA MŁODEJ PANNY

Materiałem na suknię jest jedwab drukowany w kwiaty, ale obecnie można dostać tyle różnych gatunków modnych materiałów, że pod tym względem stosować się można do ochoty i możliwości. Suknia szeroką aksamitką związaną w pasie na kokardę. Słomkowa pasterka z bukietem kwiatów dopełnia całość stroju.

Osobno podany fason bluzki z koronkowym żabotem.



ESKO



ESKO

SUKNIA NA ULICĘ

Najwłaściwszym materiałem na tę suknię jest jedwab lub krepon drukowany w duże kwiaty. Baskina długa, mocno kloszowa u dołu, spódniczka wąska. Pasek aksamitny i takąż aksamitką opasany kapelusz.

Osobno podany model koronkowego przodu do modnych obecnie żakietów, kołnierzyk z kokardą i fason paska o długich końcach — jest to najmodniejsze wykończenie letnich sukien rZpyoeajemykoao

E. Kotwicz-Onichimowska.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

Pannie Zofii L. Park Narodowy Tatrzński nie tylko istnieje, ale jest otoczony wielkim staraniem. Na czele Komisji Opieki stoi poważny uczony prof. Un. Jagiel. Krakowie Szafer, który był jedynym z twórców parku i jest jego opiekunem. Park będzie ogromny w swych pięknościach drzew nietykalnych, roślinności górskiej, strumieni i zbiorników wód zwierzyny i ptactwa, słowem, byle człowiek, ten największy szkodnik, nie dostał się tam na królowanie, to i Niebo łaski swej nieposkapi, omijając park burza i piorunami. Zwiedzić go będąc w Zakopanem konieczne, i to pieszo dążąc na górskie pokłady, gdzie, chwalić Boga, nie będzie wolno ani linami wagonów ciągnąć, ani szyn układać, ani dróg bitych tworzyć, ani budować hoteli. Wolno będzie tylko w ciszy i spokoju chwalić Stwórcę w Jego dziele i dziękować Mu, że pozwała człowiekowi, kornemu wobec cudów natury, przeżywać z łaską Jego darów.

P. Emilii N. w Milanówku. Z małych ofiar powstają duże sumy. Ile Pani może, niech Pani daje na Fundusz Obrony Morza, byle dawać stale co miesiąc, a pomnoży Pani dobro ogólne kraju.

Obywatelce z Mszczonowa. Ruch emigracyjny bardzo osłabł, w roku ubiegłym wyemigrowało do Stanów Zjednoczonych nie-

POJAWIŁY SIĘ NAŚLADOWS
NICTWA BEZWARTOSCIOWE
ABY OTRZYMAĆ ZNAKOMITY,
PRAWDZIWY PRÓSZEK JAPONSKI,
NALEŻY
ZADAC



KATOL
ZABIJA ROBOTWÓ
OWADY I T.P.

Ostrzeżenie! Ważne dla Pań!

Kupując w sklepach nieplączące się zwiłki nici lub jedwab do szycia (namiastka) prosimy zwracać uwagę na nasz znak



z napisem

„TRZY LILJE“

w razie braku tego znaku prosimy nie kupować bezwartościowych naśladownictw

„TRZY LILJE” — jedyna fabryka chrześcijańska.

cały tysiąc ludzi. Na razie lepiej nie namawiać do opuszczenia kraju.

Pani W. Z. w Radomiu. Królowa włoska z rąk nuncjusza papieskiego otrzymała złotą różę, którą złożyła przez ręce starszego kapelana, na ołtarzu.

P. W. Z. ze Zwolenia. Proszę Sz. Pani — dziś już nie ma „niemożliwości” a potwierdzię to powtórzeniem tego com przeczytała, a co w wycinku z „Kur. Warszawskiego” przytaczam:

„Słynna powieściopisarka duńska, Karin Michaelis, wybrała się w tych dniach, po dłuższym pobycie w Stanach Zjednoczonych, z powrotem do ojczyzny.

Gdy wszakże niewielki parowiec duński, na którym odbywała przejazd, znajdował się jeszcze niedaleko od wybrzeży amerykańskich, Karin Michaelis rozchorowała się ciężko. Ponieważ zaś

na niewielkim parowcu nie można było otoczyć chorej odpowiednią opieką, kapitan parowca przesłał radiodepeszę do innego parowca, płynącego właśnie w przeciwnym kierunku, do Bostonu, z prośbą o zabranie tam chorej.

Wnet też przystąpiono do przenoszenia chorej z parowca na parowiec. Wobec jednak bardzo wzburzonego morza, zadanie to okazało się bardzo trudne do rozwiązania. Musiano łać olej na wzburzone fale, aby łódź, do której spuszczone nosze z chorą pisarką, mogła utrzymać się spokojnie u boku parowca. Taką samą trudność stanowiło wciągnięcie noszy z chorą na drugi parowiec. I tego jednak, dzięki poświęceniu się i zręczności marynarzy, udało się dokonać szczęśliwie, a jak obecnie donoszą z Bostonu, Karin Michaelis znajduje się już w jednym ze szpitali tamtejszych”.

Technika doszła do takiej doskonałości, że staje się człowiek godny miana: „na obraz i podobieństwo Boże”.

P. L. M. — Za miły liścik dziękujemy. W magazynie Jabłkowskiach znajdzie Pani wybór wszystkich tych rzeczy, o które Sz. pani pyta. Fasony piękne, ceny przystępne. Wszystkie sportowe rzeczy w najlepszych gatunkach.

Pannie Władzi K. w Urłach. Trylogię nieśmiertelnego Sienkiewicza można czytać nieskończoną ilość razy. W Urłach, niezawodnie jest czytelnia, abonament pewno niedrogi. Nic lepszego nie można radzić właśnie wtedy, kiedy, jak Pani mówi, po chorobie ma się trochę niespokojne nerwy. Więc niech Pani czyta — Sienkiewicza i wraca do zupełnego zdrowia — życzymy.

P. W. Z. z Wilna. Słusznie Sz. panią informowano bo istotnie Ks. Teresa Sapiieżyna otrzymała order „odrodzenia Polski” jako wybitna działaczka katolicka, będąc przez długie lata prezeską „Katolickiego Związku Polek”, w Krakowie.

P. W. K. w Rudnikach. Choćby grosz, ale codziennie odkładać, aby, gdy się uzbiera złoty — zanieść go do P. K. O. Musimy się nauczyć oszczędzać bez tego nigdy kraj niebędzie bogaty.

KĄCIK DLA DZIECI

ŻARNOWIEC

Okolice jeziora żarnowieckiego i pobraże morskie w tych stronach porośnięte jest żarnowcem. Niewielka to krzewina, o drobnych listkach, kwieciami żółtymi, podobnym trochę do groszku, okrywa się w wiosną, a po przekwitnięciu owoc ma w postaci czarnych włochatych strąków z ziarnkami podobnymi do fasoli.



Roślina ta jest pod ochroną i nic dziwnego, bo żarnowiec rosnąc na piaskach, wiąże je, ustala i nie pozwala lotnym piachom zasypywać pól uprawnych. W dawnych czasach ciągniono z niego jeszcze inne pożytki. Z gałązek jego robiono miotłki delikatne, dlatego lud zwie go też „miotlichą”, z włókien po obdarciu łyka z gałązek, tkano materiały, z łyka pleciono koszyki, a ziarna upalone przypominały smakiem kawę, używano go też jako środka leczniczego. Obecnie już nie ciągną z niego tych użytków, ale jako ochrona przed lotnymi piaskami wykazuje wielki pożytek, a że nie ma go za wiele na wybrzeżu, więc nie wolno niszczyć ni zrywać. O tym żarnowcu taka jest legenda: W dawnych, pradawnych czasach dwoje ludzi osiadło nad wybrzeżem.



Nędznie im się tam działo, głodu nie zaznali, bo rzeka i morze dawało im ryb pod dostatkiem, w lesie sosnowym jagody były, zwierz wszelaki. Ale pole uprawiać było trudno, bo i licha ziemia marnie rodziła i piasek bezlitosny zasypywał pola krwawą pracą lasu wydarte. Trafiła się nieraz kobieta i do męża mówiła: — i cóż my poczniamo, ubranie się już drze, a z czegóż utkać, gdy len ni konopie rosnąć tu nie chcą, toć latem trudno w skórach chodzić, a i łyka na chodaki nie ma, boć z sosny trudno je sporządzić, a i kosze na ryby z gałązek sosnowych marne. Hej! żeby włókno było, nie dłużyłby się mroczny dzionek zimowy, cienkie nitki bym przędła, tkala, przyodziewek by był dla nas i dzieci. — Tak nieraz się żalem serce jej zebrało, ale

DINOL płyn przy poceniu pach i rąk OD POTU proszek przy poceniu nóg

radę na to nie było żadnej. W pocie czoła pole uprawiali, by choć ten marny plon zebrać i trochę czarnej mąki mieć na zimę. Raz, wczesną wiosną to było, straszna burza rozszalała się na morzu, bałwany olbrzymie biły o brzeg i z rykiem podpływały do ubogiej chaty rybaka. Jaskrawe błyskawice oświetlały skłębione fale. Świat cały drżał od ryku morza, huk piorunów. Całą noc nie spała biedna rodzina czekając każdej chwili ostatecznej zagłady. Aż przyszedł świt, ukoilo się morze, rozblęsnęło słońce złociste, wyszli więc zobaczyć jakie szkody poczyniła burza w ubogim ich sprężeniu rybackim. Dzieci jak zawsze swawolne pierwsze na brzeg pobiegły i wnet głośno matki wzywać poczęły. Pobiegli oboje. Dzieci stały na brzegu pochylone nad czymś dużym i czarnym co połową ciała w wodzie leżało a w połowie na piasku. — Rybę jakąś osobiłi w morze wyrzuciło, czy co? — mówił rybak do żony — pamiętasz jakieśmy łoni taką wielką rybę po burzy znaleźli, co prawie całą zimę tłustości z niej nam wystarczyło? — Podeszli bliżej. Nie ryba to była — człeka utopionego morze wyrzuciło. Człek to był w sile wieku, piękne go oblicza, w czarnym odzieniu z drogiej materii, pasem kosztownym spiętym. Włosy jasne rozrzucone miał wokół głowy na piasku, oczy zamknięte, ale na twarzy siniści strasznej topielczej nie było, widno nie dawno w morzu przebywał. — Topielec wykrzyknął rybak — ano cóż pogrześć go trzeba — dodał po chwili i zwracając się do żony — chciałaś odzienie, ano mieć będziesz, temu już nie potrzebne ono. Drgnęła rybaczką. — Nie takiego odzienia jabym chciała i nie odbierałabym go jemu, ale widzi mi się, że ten człowiek nie ze wszystkim zmarły, patrz na jego twarz, powiedziałbyś, że śpi. Ratować go trzeba. — Ano spróbować możemy odparł rybak — ale nic z tego nie będzie, niejednego ja utopionego ratowałem i nigdy się nie obudził, ale jako chcesz. — Wyciągnęli nieszczęśnika z wody i rozcierać a chuścić go zaczęli. Długo to trwało i nawet rybaczką traciła już nadzieję gdy nagle człek drgnął i jęk głuchy wydał. — Żywie! — krzyknęła.

Przenieśli nieznajomego do chaty, na ubogim postaniu ułożyli, skórą okryli i czekali. Po jakimś czasie otworzył oczy, spojrzął błędnie wokoło i znów je zamknął, ale serce biło i żyw był, tylko widocznie z nieszczęść onych w ciężką popadł chorobę. Nie tydzień i nie dwa leżał w choroba onę pograżony. Ale rybaczką czuwała, do lasu chodziła, znajome sobie zioła zbierała, wywarami z nich poiła chorego, do ust mu wlewała posilne z ryb polewki, aż wreszcie raz oczy znów otworzył i spojrzawszy przytomnie wokoło, „gdzie jestem?” — cicho zapytał.

Niejeden dzień jeszcze minął, nim do sił całkowitych przyszedł, ale teraz rychło mu siły wracały, niedługo mógł przed chatę wychodzić i w słońcu wiosennym się wygrzewać. Opowiedział też rybakom swe dzieje. Bogatym kupcem był, z dalekiej wędrowki, po korzystnym sprzedaniu towarów powracał w oczyste strony, gdy tu niedaleko już brzegów, burza ich straszaskoczyła, statek rozbił się o skały nadbrzeżne, co się stało z innymi nie wie, on deski wyrwanej z okrętu się chwycił i tak falami wzburzonymi niesiony przed się płynął, ostatkiem sił zbawczej belki się trzymając, aż nadbiegła fala okrutna, belkę jak wąż trzcinę zdruzgotała, a nim z potworną siłą o brzeg rzuciła, co się dalej działo nie pamięta, bo przytomność stracił.

— Ocaliliście mi życie — kończył — bogatym jest. Złotem was obsypię. I cóż nam panie po złocie tutaj — rybaczką odparła ani się w to odziać, ani się tym najeść. — Czemu was więc obdarować bym mógł — gość się zatroskał. —

Cerę wypielęgowaną, ręce delikatne opalenizną cudowną daje biolog. krem CZARODZIEJ

— Hej! — odparła rybaczką — żeby to włókno miała — co bym z niego nici cieniutkie prząć mogła, tylko żebym miała na chodaki i kosze — ale cóż, len ni konopie tu nie urosną, a ziemia marna i krwawą pracę rąk naszych piasek pochłania..

Zadumał się gość chwilę i nagle pyta. — A sakwa ona, com ją miał na piersiach przewieszoną. Morze ją porwało, czy ocalała? — Ocalała, panie, — rybak — odpowie i do chaty zawróciwszy sakwę przyniósł. Zanurzył kupiec w niej rękę. Szukał długo i gorliwie, aż wreszcie garści parę czarnych ziaren wyjął i wręczając je rybakowi rzekł: — posiejcie to na piaskach, mdła to krzewina, ale piasek wam zwiąże, tylko da na koszyki i chodaki, włókno na odzienie, a ziarnem też pożywić się można. Kiedyś nad brzegiem chodząc, gdy wodę dla statku czerpano, ziarna one znalazłem i znając ich użytek, nazbierałem, próbujcie może to dla was ono przeznaczone było. Posłuchali rady nieznajomego, a gdy ten do sił przyszedł rybak z nim w drogę wyruszył i przebrać się mu przez puszcę dopomógł. Daleka to była droga i drugie lato już w pełni było, gdy obdarowany suto, wracał w rodzinne strony, z daleka mu żona z dziećmi naprzeciw biegły i coś wskazywały w dali. Tam gdzie piaski szare bezlitosne szerekim pasem się ciągnęły, coś złociło się w słońcu ognicie, a cóż to za żar taki? — spytał ręką oczy przysłaniając.

— Roślina to błogosławiona co nam ją człek przez nas zratowany zostawił — rybaczką radośnie odparła. Spełniły się słowa nieznajomego, wdzięcznym sercem dana roślina wyrosła niosąc obiecany użytek i do dziś dnia ochrania brzegi od piasków lotnych zasypania. A że się tak zarzy na piasku, więc ją żarowcem nazwano.

H. Rostafińska-Choynowska.

WESOŁY KĄCIK

— Mamusiu, — pyta Małgosia — czy śledzie dlatego są słone, że się je w morzu łowi?

Zagadka żarcik.

Pytanie. Co to jest? Pełne dziur, a wodę w sobie zatrzymuje? odp. — Gąbka.

WIANKI

Zielone listeczki,
Drobnutki kwiateczki,
Przeplotę wstążkami,
Uwiję wianeczki.
W świętojańską nockę,
Puszcz je na wody,
Niechże płyną szybko,
Nie doznają szkody.
Bez szkody niech płyną,
Na falach Wisłki,
Przez calutką Polskę,
Szmata nasz kraju wielki.
Zanieś je Wisłko
Do morza polskiego,
Z niemi pozdrowienie
Serca gorącego.

H. R. Ch.

UROK i MŁODOŚĆ



czystą i delikatną cerę zapewnią codzienne stosowanie mydła i kremu Herba. Mydło Herba usuwa defekty skóry jak pryszczki, wągry, piegi itp. Krem Herba udelikatnia cerę.

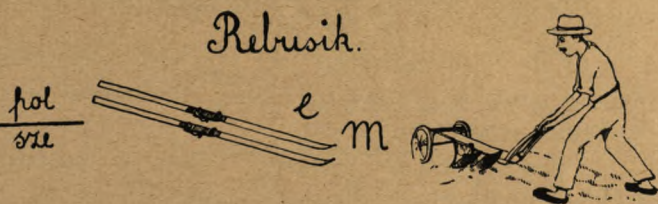
MYDŁO i KREM

HERBA

ŻEGLARZ

Mam ja całą flotę małych okręcików,
Z kory wyrobione, a maszty z patyków
Zagle mi uszyła siostrzyczka kochana,
Dumna, że ma brata — statku kapitana.
Choć me okręciki służą do zabawy,
W myślach mych przeżywam, przedziwne wyprawy.
Lecz kiedy dorosnę stateczki kochane,
Wtedy kapitanem prawdziwym zostanę.
I nieustraszony, dzielny żeglarz, śmiały,
Pod polską banderą optynę świat cały.

H. R. Ch.



DLA MATEK I WYCHOWAWCZYŃ

Ciepło jako czynnik chorobotwórczy.

W naszym klimacie, posiadającym tak mało dni słonecznych, ludzie odznaczają się dziwnym niezrozumieniem ujemnych skutków nadmiaru słońca i ciepła, jak to bywa podczas upałów. A sprawa jest tak prosta: im wyżej ponad 20°C podnosi się temperatura powietrza, tem trudniej organizm daje sobie radę z nadmiarem ciepła.

Ten nadmiar ciepła staje się powodem zaburzeń w organizmie, tym cięższych, im wyższa jest temperatura powietrza.

Ciepło jako czynnik chorobotwórczy.

Dla łatwiejszego uprzytomienia sobie szkodliwego działania ciepła przedstawiam tabelę temperatury i jej wpływów na organizm:

18—20°C	=	obojętna,
20—25	=	wysiłki fizyczne i umysłowe nieco męczące,
25—30	=	” dość męczące,
30—35	=	” bardzo męczące,
35—40	=	” bardzo trudne,
powyżej 40°C człowiek staje się niezdolny do pracy.		
18—15°C	=	dobre do pracy umysłowej i fizycznej,
15—10	=	” do pracy fizycznej,
10—5	=	potrzebne ciepłe ubranie
5—0°	=	” ” ”
0—5°	=	” ” ”
5—10°	=	” ” ”

Ciepło jako czynnik chorobotwórczy.

Z powyższej tabeli łatwo się przekonać, że tylko w wąskich granicach 15—20°C temperatury zewnętrznej człowiek czuje się dobrze.

Dalsze podniesienie ciepłoty powietrza wpływa szkodliwie, obniżenie temperatury także działa szkodliwie.

Jest jednak duża różnica pomiędzy nadmiarem a brakiem ciepła. Brak ciepła łatwo sobie wyrównujemy odpowiednim ubraniem. Nadmiaru ciepła nie umiemy tak łatwo unieszkodliwić. Dlatego podczas mrozów czujemy się dobrze i możemy pracować, a podczas upałów czujemy się źle, ponieważ nasz organizm nie jest do tego przystosowany.

Ciepło jako czynnik chorobotwórczy.

Jeśli dziecko znajduje się w temperaturze zewnętrznej powyżej 20°C — to wtedy zaczyna ono doznawać nadmiaru ciepła, tym bardziej im wyżej sięga ciepłota zewnętrzna.

Na skutek nadmiaru ciepła dziecko się poci.

Pocenie się w tym wypadku nie jest objawem choroby, lecz mechanizmem regulującym ciepłotę

ciała w kierunku jej obniżania, jest ono zatem pożyteczne.

Dzięki parowaniu potu następuje lekkie oziębienie ciała i tą drogą organizm pozbywa się nadmiaru ciepła.

Kiedy jest tak gorąco, że i pocenie się nie skutkuje, wtedy nadmiar ciepła powoduje podniesienie ciepłoty ciała (tj. gorączkę) i różne zaburzenia w całym organizmie.

Ciepło jako czynnik chorobotwórczy.

Teraz rozumiemy, dlaczego dziecko, które cierpi z powodu upałów, obficie poci się i traci apetyt. Tym prędzej może ono zachorować im bardziej będzie czynne, ruchliwe, ponieważ ruchy, wzmagają ciepłotę ciała i może ona nagle dochodzić do 40°C.

Ten stan łatwo prowadzi do tzw. udaru cieplnego, kiedy człowiek mdleje z powodu przegrzania ciała — wtedy serce nie może już podołać swojej pracy i człowiek nagle pada, jakby porażony piorunem.

Tak wygląda udar słoneczny i udar cieplny.

O chorobach dzieci wskutek upałów.

Ochrona dziecka przed upałem jest o wiele trudniejsza, niż ochrona przed zimnem w porze zimowej.

Najbardziej cierpią z powodu upałów dzieci w mieście, a szczególnie niemowlęta sztucznie karmione.

Podczas upałów zdarzają się najczęściej ostre choroby żołądkowe, biegunki krwawe itp.

Chroniąc dzieci od przegrzania moglibyśmy w dużym stopniu tym chorobom zapobiec.

A więc należy dbać o to, aby podczas upałów niemowlęta przebywały na świeżym powietrzu, zaś przegrzane i duszne pomieszczenia należy wedle możliwości przewietrzać. Dziecko należy często kąpać i podawać mu dużo płynów.

Jak chronić dziecko od upałów.

Podczas upałów dziecko nie powinno przebywać na słońcu, tylko w cieniu.

O ile w mieszkaniu jest zbyt gorąco, należy często zmywać podłogę zimną wodą, zawieszać wilgotne prześcieradło itp.

Dziecko należy ubierać tylko w koszulkę, nakrywać prześcieradłem. Z pościeli trzeba usunąć pierzynki i wszelkie ciepłe okrycie.

Jeżeli dziecko bardzo się poci, powinno więcej przebywać na świeżym powietrzu; kilka razy dziennie stosować obmywanie letnią wodą, przy braku łaknienia dawać więcej płynów, jarzyn i owoców.

Dr med. Z. Lamentowski.



ROZRYWKI I UMYŚLOWE

REBUS



POD KIEROWNICTWEM WARSZAWSKIEGO KLUBU SZARADZISTÓW.

MODLITWA

SZARADA

Gdy w wspanak szosty powracam, samotność mnie wita,
puste krzesła i kąty szarostą zasnuła.
Nikt nie biegnie i nikt mnie o zarowie pięć pyta
i nikt mi nie postawi w oknie niezabudek.
Słońce świeci w zenicie — u mnie ledwie świta,
dwa w pokoju panuje żaloba i smutek.
Przez okno tylko czwór-pięć śpiew i zapach wiosny,
brzęczenie pszczoł, piasek strugi i szepc starej sosny.
Wszystko się sześć i siedem. Z samotnego domu
plynie sześć-siódma-ósma w otwarte pięć-wtore...
Nie mam z kim porozmawiać, pożałuj się komu,
by ulżyć pierwszej-siódmej, rozwiać smutku chmurę.
Do Dwa-trzeciego idę — On jeden nikomu
nie da zginąć. Odwróci zagłady wichurę.
Okręt miotany w koło burzą i wichrami
jeden-czwór-pięć szczęśliwie do życia przystani...

Serce czasem dwa-siedem i wtedy myślami
błądzą, jak wieczny tułacz od sióła raz sióła
i od miasta do miasta krętymi drogami.
Nasłuchuję uważnie, czy mnie ktoś nie woła,
czy ktoś za mną nie goni pustyni polami.
We mnie smutek i nicość — a pustka dokoła...
Cicha noc. Księżyc-tułacz przez okno się wkłada
i, jak kiedyś przed laty, baśnie opowiada...

„Tońko” (czł. Kl. Sz.).

LOGOGRYF

Według podanych niżej znaczeń należy utworzyć 16 wyrazów, których początkowe i końcowe litery, czytane z góry na dół, dadzą rozwiązanie.

Znaczenia wyrazów: 1. Krzemionka. 2. Rodzaj dawnej strzelby. 3. Prześladowania (uciski). 4. Część wozu. 5. Zmieniać wartościownika (zastąpić). 6. Góra, znana z Pisma św. 7. Kraj na lewym brzegu Dniepru. 8. Pustelnik indyjski (asceta). 9. Tama kamienna, wchodząca w morze. 10. Rycina światłodrukowa (fototyp). 11. Nauka o nerwach. 12. Budowa i ustrój wewnętrzny żyjącej istoty. 13. Sekta mahometańska w Arabii. 14. Przypuszczam (domyślam się). 15. Brzeg (granica). 16. Imię męskie.

(Dla ułatwienia podajemy litery szukanych wyrazów: 12 a, 2 b, 3 c, 1 d, 1 d, 6 e, 1 e, 3 g, 1 h, 7 i, 3 j, 3 k, 3 l, 2 m, 5 n, 12 o, 4 p, 8 r, 3 s, 1 ś, 2 t, 6 u, 3 w, 3 y, 5 z, 1 ż).

„Anerg” (czł. Kl. Sz.).

TEN SAM...

SZARADA

Ten sam maj, i te kwiaty, i te długie cienie,
co kładły się czwór ziemię przedwiecznym chłodem —
ta cisza druga-czwarta — to głuche milczenie,
to niebo gorejące przed słońca zachodem.

Raz-drugich dużo przeszło pożegnanych z żalem,
jakby się drugi cudny przysznił i rozplynął
powstała siódma-trzecia — lecz w letnim upale
te majowe wspomnienia bezpowrotnie zginą...

W pięć-siódmy sięja zboża balsamiczne wonie
sześć płuc się wlewa świeżość — raz-dwa-czwarta słodycz —
że, chce się czar i miłość brać w otwarte dłonie
i pić — pić — pić bez końca, jak najśodsze miody.

Wieczorem sześć ust tuł róż pachnące płatki
i całują namietnie, jak szkarłatne warci —
kuszą mnie słodką wonią aksamitne bratki
i małego słowika najspiewniejsze skargi

Księżyc, ujrawszy wiosnę, zatrzymał się w chodzie,
nietoperz hałaśliwie skrzydłami łopocę —
piękny jest błękit nieba przy słońca zachodzie,
piękne na Pięć-sześć-siódmy są wiosenne noce...

„Tońko” (czł. Kl. Sz.).

HOMONIMY

1.
Jam asceta, sekciarz, islamu wyznawca, —
żem krewny bociana, wie lajk i znawca.

2.
Jest to termin tenisisty
i Horusa groźny wróg.
Z Ozyrysem bój wieczysty
toczy ten ciemności bóg.

3.
Na mnie rakieta, piłką grają, —
ze mnie krawcy ubranie krają.

4.
To port w Palestynie, — nie blaguję, —
przybywają tam statki...
Lekarz-chirurg tego potrzebuje,
prawie tyle, co watki.

O. Wiszniewska (czł. Kl. Sz.).

FIGIELKI SZARADOWE

1.
Kiedy dwa-pierwsze
i z nieba leją się słoneczne strugi,
kocięta spieszą
wygrzewać się na pierwszym-drugim.

2.
W pierwszym-drugim z futerkiem baraním
idzie dwa-pierwsza pani...

3.
...O wszechwładny dwa-pierwszy!
Twa sprawa będzie górą,
gdy cię ogół najszerzy
będzie słucał raz-wtore!

A. Leitner (czł. Kl. Sz.).

Z CYKLU „PRZYSŁOWIA POLSKIE”

REBUS KOŁOWY



Na treść rebusu składa się cztery wyrazy.

M. Rossa.

TRÓJKĄTY MAGICZNE



Znaczenia wyrazów:

Lewy: 1. Kloc z 4 stron ociosany. 2. Imię biblijne. 3. Współcz. malarz i grafik polski. 4. Inicjały mistrza krzyżaków. 5. Nuta.

Prawy: 1. Urządzenie komunikacyjne. 2. Rewolucjonista rosyjski. 3. Kwiat. 4. Imię żeńskie w 2 przyp. 1. mn. 5. Spółgłoska.

Wyrazy czytają się od linii środkowej w lewo i w prawo, oraz z góry na dół. Wyrazy 1 i 2 w lewym i prawym trójkącie składają się z tych samych liter.

T. Sobiecki (czł. Kl. Sz.).

Za rozwiązania powyższych zadań, lub choćby jednego, przesyła Redakcja do rozlosowania nagrody książkowe. Termin nadsyłania rozwiązań zadań trzytygodniowy.

ROZWIĄZANIA ZADAŃ Z NUMERU KWIETNIOWEGO

Szarada: Na Anioł Pański biją dzwony.
Szarada: Idzie kochana wiosna.
Rebus: Do roboty nie ma was, do krytyki wszyscy wraz.
Szarada: Dostaje cała polska ziemia nową, chędogą szatę, przedpieknie malowaną.
Szarada: Przędwiośnie ma niemały urok.
Szarada: Sygnały idącej wiosny.
Nagrody książkowe otrzymują: p. C. Kwiecień z Ostrowca Kiel. i p. Kaz. Barylina z Warszawy.

NA LETNISKU

umila czas „ROZRYWKI”, pełna ciekawych i zajmujących zadań. Powiększony numer majowy już wyszedł z druku. Prenumerata kwartalna tylko 2 zł. Adres: Klub Szaradzystów, Warszawa, Żulińskiego 7, m. 10. Tel. 7-06-99. Zadzajcie bezpłatnych numerów okazowych! Tamże do nabycia „Tablica alfabetów chorągiewkowego, Morse’go i palcowego, po cenie 50 gr.

M. Śl.

HUMOR I SATYRA

Urządnik siedzi przy biurku. Pukanie do drzwi.
 Klient wchodzi nieśmiało.
 Urządnik: — Wchodzi się bez pukania!
 Klient prędko zawrócił i wychodzi. Po czym wchodzi.
 Urządnik: Dlaczego pan wchodzi dwa razy?
 Klient: Chciałem odwołać niegrzeczne pukanie.
 Urządnik: Czego pan chce?
 Klient: Skradziono mi...
 Urządnik: Do wydziału śledczego — nie tutaj!
 Klient: Skradziono mi w tramwaju...
 Urządnik: Do dyrekcji tramwajów — nie tutaj!
 Klient: ...portfel, w którym był kwit na opłacony telefon...
 Urządnik: Do Cedergrena. Do Szwecji — nie tutaj!
 Klient: ...i mój dowód osobisty.
 Urządnik: Dowód osobisty?! To tutaj.
 Klient: Prosiłbym o duplikat dowodu osobistego.
 Urządnik: Nazwisko i imię? Wiek? Zajęcie?
 Klient: Klemens Bołączko, lat 30, artysta sztuki fryzjerskiej.
 Urządnik: Urodzony?
 Klient: Owszem. W gminie Pstrokatkach.
 Urządnik: Mało! Poczta?
 Klient: Poście restante.
 Urządnik: Czy pan nie jest umyślowo chory?
 Klient: Nie. Ja jestem artysta sztuki fryzjerskiej.
 Urządnik: Są świadkowie pańskich urodzin?
 Klient: Podobno świadkiem mojego urodzenia była moja nieboszczka matka.
 Urządnik: Urzędownie uznana za nieżyjącą?
 Klient: Nie wiem czy urzędownie. Ale już ją pochowali pięć lat temu.
 Urządnik: Czym była matka?
 Klient: Panna.
 Urządnik: Pytam, czym się zajmowała?
 Klient: Czym się tylko dało. Głównie — była panną.
 Urządnik: Ojciec był czym?
 Klient: O ile słyshałem z różnych stron, mój ojciec był podobno mężczyzną.
 Urządnik: Czy pan nie jest pomyłony?
 Klient: Nie. Ja jestem artysta sztuki fryzjerskiej.
 Urządnik: Imię ojca?
 Klient: Nie wiem, bo nawet matka nie wiedziała.
 Urządnik: Czym byli pańscy dziadkowie?
 Klient: Rodzicami mojej matki.
 Urządnik: To nie jest zajęcie. Co robili?
 Klient: Zyli, pili, bili się... różnie jak w każdej rodzinie...
 O pradziadkach nic nie zeznam, bo zdaje mi się że ich wcale nie miałem

Urządnik: Czy pan nie jest bzikowaty?
 Klient: Nie. Ja jestem artysta sztuki fryzjerskiej.
 Urządnik: Ma pan jakiś papier stwierdzający tożsamość pańskiej osoby?
 Klient: Mam. Rachunek z pralni.
 Urządnik: To nie jest dowód wiarogodny.
 Klient: Gdyby pan poszedł go płacić, przekonałby się pan, że to rachunek z wiarogodnej pralni.
 Urządnik: Żaden rachunek nie może urzędownie potwierdzić, że pan jest tym człowiekiem, za którego się pan podaje.
 Klient: Trudno będzie urzędownie udowodnić, że się jest człowiekiem.
 Urządnik: Czy pan nie jest głupkowaty?
 Klient: Nie. Ja jestem artysta sztuki fryzjerskiej.
 Urządnik: A więc niezbędny jest dowód, że pan faktycznie żyje.
 Klient: Myśle, że jeżeli płacę podatek dochodowy, obrotowy, domowy, przemysłowy i chorokasowy, to wprawdzie ledwie żyję, ale jeszcze żyję.
 Urządnik: Ale trzeba wykazać, że się jest właśnie tym który żyje.
 Klient: Skoro czuję się żywym człowiekiem...
 Urządnik: Gdy ktoś nie ma papierów osobistych, nie jest ani człowiekiem, ani w ogóle niczym! Osobiście nie mi na tym nie zależy, czy pan jeszcze jest, czy pan już nie istnieje. Tu potrzebne urzędowe stwierdzenie dla aktów. Musi mi pan dać mocny dowód, że jesteś osobą która żyje.
 Klient: Mocny dowód że żyję? Dobrze!
 Klient chwytając krzesło i zamierza się nim. Urządnik chwytając go za rękę.
 Urządnik: Pan chce znieważać krzesłem urzędnika w stanie czynnym? Pan jest chyba wariatem?
 Klient: Nie. Ja jestem artysta sztuki fryzjerskiej.
 Urządnik: „Paragraf 17, ustęp a, litera b. Za podniesienie ręki lub innego ciężkiego przedmiotu na urzędnika w pomieszczeniu biurowym a nawet w ubikacjach pobocznych, przewiduje się kara aresztu od dni siedmiu”. Pan podniósł i rękę i krzesło. A więc podwójny areszt, czyli dni czternaście. Spiszemy protokół i odeślemy pana do aresztu miejskiego.
 Klient: Czy zamknięcie mnie w kozie to dowód że ja żyję?
 Urządnik: Oczywiście. Umarłych się nie aresztuje. Chyba w rzadkich wypadkach.
 Klient: Więc moje aresztowanie jest urzędowym dokumentem?
 Urządnik: Naturalnie. Aresztowanie to dowód pańskiego obywatelstwa.
 Klient: Więc po odsiedzeniu mogę otrzymać dowód osobisty?
 Urządnik: Natychmiast go panu wystawię. Będzie zaraz potrzebny do wylegitymowania się w areszcie.
 Klient: Co za radość! Dziękuję.
 Urządnik: Mógł pan starać się o ten dokument przepisową drogą, ale to trwałoby o wiele dłużej. Zdobył pan rekord szybkości. Gratuluję!

przy
hemoroidach
 (KRWAWIENIE, SWĘDZENIE, PIECZENIE, BÓLE)
CZOPKI i MASĆ "VARICOL"
 GAŚECKIEGO
 DO NABYCIA W KAŻDEJ APTECE

ZAKŁAD OGRODNICZY
WITOLD LISZEWSKI
 WARSZAWA, POZNAŃSKA Nr. 28, RÓG ŻÓRAWIEJ
 TELEFON 8-75-81
 OGRÓD — CHEŁMSKA Nr 48
 Duży wybór ciętych kwiatów w ogrodzie.
 Ceny niskie.

Cena ogłoszeń zatekstowych: 1/1 str. — zł 700, 1/2 — zł 380, 1/4 — zł 200, 1/8 — zł 120, 1/16 — zł 70, 1/32 — zł 40.

PRENUMERATA „RODZINY POLSKIEJ” W KRAJU I ZA GRANICĄ WYNOŚI:

R O C Z N I E:

Polska 6 zł.
 Niemcy 4 Rmk
 Francja 23 frank.

Czechosłowacja 35 kor. cz.
 Ameryka 2 dolary
 Inne kraje 6 fr. szw.

PÓLROCZNA prenumerata w Polsce — 3 zł; KWARTALNA — 1.50 zł. CENA POJEDYŃCZEGO numeru — 50 gr.
 Przesyłki pieniężne adresować: P. K. O. 14.664, Stowarzyszenie Misyjne Księży Pallotynów (Rachunek Wydawnictw).

Adres REDAKCJI I ADMINISTRACJI: Warszawa 1, Krakowskie Przedmieście 71. — Telefon 2-40-15.

Redaktor przyjmuje w poniedziałki i piątki od godz. 15 — 17. Rękopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Drukarnia Archidiecezjalna — Warszawa, Krak. Przedmieście 71.